Czy praca ma przyszłość ■ Szkoła bez ocen ■ Izrael: apoteoza wojny
Człowiek, który wyręczył episkopat ■ Duchy istnieją ■ Moda dla sportu

Kraków 11-17 września 2024 nr 37 (3923) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

IMIGRACJA
PRZESTĘPCZOŚĆ
RECESJA
RADYKALIZM

Niemcy na skraju chaosu

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

EKSTRA STRONY
TUTKI I ZWIJKI.
100 LAT HISTORII HERBEWA

*„Niektórzy ojcowie nazywają uwagę **strażą umysłu**, inni **strzeżeniem serca**, inni **czujnością**, inni **duchowym wyciszeniem**, a jeszcze inni w odmienny sposób. Wszystkie te określenia oznaczają to samo"*
– Nicefor Pustelnik

SZLAKI DUCHOWOŚCI POWSZECHNEJ

– nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego, w którym Piotr Sikora, teolog, trener uważności i nauczyciel medytacji, przedstawia pomocne praktyki duchowe

Uważne badanie samego siebie ma aspekt psychologiczny, który może się przyczynić do lepszego funkcjonowania wśród codziennych spraw. Aspekt ten jest otwarty na wymiar, który można nazwać „duchowym", tj. który jest ściśle związany z ostatecznym **sensem życia** i **doświadczeniem fundamentalnego poziomu rzeczywistości**.

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj na
TygodnikPowszechny.pl/Podkast
lub platformach streamingowych

Śledź
Podkast Tygodnika na Spotify

Uważna świadomość pozbawia złudzeń i ukazuje prawdziwy stan ducha.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAŻYNA MAKARA // WIKIMEDIA

KS. ADAM

Boniecki: *Smak pracy*

Jedni lubią swoją pracę, inni nie. Jedni robią to, co wybrali, świadomie, po nieudanych lub udanych próbach. Znałem człowieka, który, owszem, pracował, ale ta jego praca miała mu tylko przynieść porządny dochód, byle nie zajmowała czasu i umysłu. Bo kochał filozofię i całe życie jej poświęcił. Chciał dowieść ponad wszelką wątpliwość, że Boga nie ma. Pracował więc tylko po to, by zarobić na myślenie. Nie wiem, czy go to uszczęśliwiło.

Inna historia: opowiadał mi jeden z najważniejszych ludzi w „Tygodniku", prezes naszej fundacji Olek Kardyś, że wśród różnych zajęć, jakie w życiu wykonywał, najmilsza była praca na traktorze. Przez wiele lat wyjeżdżał na wakacje na Zachód i pracował u właściciela ziemskiego. Znakomita maszyna dostarczała dziecku PRL-u niezwykłych radości. Wykonywał i dziś wykonuje prace wymagające wybitnie sprawnego intelektu, ale najlepiej czuł się jako operator potęgi tamtego traktora. Ciekawe.

Są ludzie, którzy całe życie pozostają w tym samym miejscu pracy. Szczególnie imponowali mi w tym pracownicy naukowi. Oczywiście nie robią wciąż tego samego, choć pracują w tej samej dziedzinie. O takich pasjonatach można było (nie wiem, jak jest teraz) powiedzieć, że ten gatunek ludzi potrafił pracować, nie patrząc na zarobki i na trudnych szefów. Ich interesuje niemal wyłącznie to, co robią. Tacy byli i są moi znajomi naukowcy.

Ale domyślam się, że są też pasjonaci-mechanicy, pasjonaci-organizatorzy, pasjonaci w rozmaitych dziedzinach, świetnie się na swojej dziedzinie znający, których walka z przeciwnościami inspiruje do działania. Są jednak ludźmi, więc czasem nie wytrzymują piętrzonych przed nimi trudności. Zawsze będę miał w pamięci architekta, który wygrał konkurs na Świątynię Opatrzności. Nagle jego projekt został zaniechany, a on potraktowany dość podle. Nie chodziło o ambicje, bo dość miał już świetnych budowli na koncie, żeby ambicje zaspokoić. Ciężko to przechorował, bo jego pracę zniszczono.

Wiem, że mówię tu o przypadkach nadzwyczajnych, bo przecież większość z nas pracuje, żeby z czegoś żyć. Ludzie wykonują różne zawody, różne prace, tworzą różne dzieła, o których nie powstają poematy, choć na nie zasługują. Jest mnóstwo zawodów, bez których społeczność nie mogłaby egzystować. I nie zastąpi ich żadna sztuczna inteligencja (zawsze myślę wtedy o pielęgniarkach).

Są ludzie, którzy po dobrze wykonywanej pracy bez nadających się do opisania sukcesów odchodzą na emeryturę, ale nie w pustkę. Ale są i tacy, którzy po zakończeniu pracy zawodowej mogą wreszcie poświęcić czas temu, co ich naprawdę pasjonuje. Zmarła w ostatnim czasie moja siostra była takim człowiekiem. Opracowała i wydała zbierane przez wiele lat materiały rodzinne ostatnich lat. Na wydane przez nią trzy tomy składają się listy, kroniki, zapiski, zdjęcia. Uporządkowanie i opracowanie tego materiału przez niespecjalistę wymagało gigantycznej pracy. Była to dla niej jednak praca uboczna. Główną były dorosłe i samodzielne córki i ich dzieci. Lubiła wielkie podróże po świecie, organizowane dla niej przez wnuka. Miała klarowne poglądy polityczne, lecz nie była w tym agresywna. Przyjęła do siebie odchodzących z tego świata siostrę, potem brata. Robiła to jak coś oczywistego, choć to wcale oczywiste nie było. I jak tu rozdzielić pracę od miłości?

Zapominamy, że po młodości następuje starość, potem przychodzi śmierć. Nie zawsze pamiętamy, że życie mamy tylko jedno i że od nas zależy jego smak. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego".

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

ROZMOWA Z OJCEM LUDWIKIEM WIŚNIEWSKIM!

Znany dominikanin komentuje rzeczywistość.

- Czy ubiegłoroczna zmiana polityczna spełniła nasze nadzieje?
- Co zrobić ze sporem o religię w szkole – jakie byłoby najlepsze rozwiązanie?
- Czy w tak gorącym temacie jak aborcja możliwy jest społeczny kompromis?
- O czym chciałby zakonnik napisać w liście do papieża?
- I jak zmagać się z kryzysem wiary?

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zawód przyszłości jest jeden. To **PIELĘGNIARKA**. „Gdyby na emeryturę przeszły w Polsce wszystkie pielęgniarki po sześćdziesiątce, trzeba by zamknąć 272 szpitale” – pisze **JAKUB DYMEK**, dowodząc, że „sektor zatrudnienia, jaki czeka największy rozwój, to wbrew pozorom nie robotyka, AI czy zielona energia”.
PIOTR SIKORA – zainspirowany dawną rozmową z córką, która pochwaliła się otrzymaną w szkole szóstką, ale na pytanie, za co ją dostała, odpowiedziała, że nie pamięta – analizuje, co robią z nami oceny. „Współczesna nauka to potwierdza: szkolne oceny niewiele dają, za to szkodzą procesowi uczenia się” – zapewnia Sikora. Czym więc je zastąpić?
Niemcy nie dają rady, na przekór pamiętnym zapewnieniom Angeli Merkel z 2015 roku, gdy komentowała politykę otwierania granic. Dysfunkcyjnemu czy raczej pogrążonemu w chaosie – i to chaosie, który dla sąsiednich krajów nie może pozostać obojętny – państwu przygląda się **ŁUKASZ GRAJEWSKI**.

To trzy główne tematy tego numeru. Kolejne trzy – ode mnie. Kto zachwycił się książką „Upiór” Łukasza Kozaka, niech przeczyta tekst **PIOTRA SZYMANKA** i **MATEUSZA HOHOLA** – autorzy postanowili sprawdzić, czy **DUCHY I DEMONY** istnieją. „Ludzie na całym świecie donoszą o kontaktach z istotami nadprzyrodzonymi. Współczesna psychologia nie traktuje tych świadectw jako objawów zaburzeń myślenia. Pozwalają one zrozumieć, jak działa zdrowy umysł” – piszą autorzy.

Kto chętnie wraca do obrazów **TAMARY ŁEMPICKIEJ**, niech nie ominie tekstu **DOROTY MALINY** „Sznyt mody”. Choć Malina, która ogląda wystawę „La mode en mouvement” w paryskim Palais Galliera i pisze o modzie na użytek i na szczytach sportu, o Łempickiej, a właściwie pilotce z obrazu „Autoportret w zielonym Bugatti”, tylko wspomina. A pilotka jest warta wspominania. Stalowa, idealnie dopasowana, z lekko opadającym, ale podtrzymującym zadarty podbródek paskiem. Przód ścięty ku górze w trójkąt, uwydatnia i tak wysokie czoło. Nauszniki nie aż tak duże, by nie mógł spod nich wydostać się kosmyk włosów.

I ostatni – dla tych, którzy lubią nieużywane słowa – o „repasaczce cudzych opowieści”, jak Maryse Condé, pisarkę z Gwadelupy, nazywa **MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK**. Przekład „Ewangelii Nowego Świata”, którą tracąca wzrok pisarka dyktowała mężowi i przyjaciółce, właśnie ukazał się w Polsce. ©℗

ANNA GOC
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu” oraz „Głuszy”, za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak.

34 Marzenie o Kościele
ROZMOWA Z RAFAŁEM DZIEDZICEM, TWÓRCĄ STRONY SYNOD.ORG.PL:
W wielu polskich diecezjach nie ma wizji, jest chaos – tysiące spraw, tysiące rzeczy. Ale kilka diecezji ma pomysł na siebie.

72 Ewangelia i sztuka repasacji
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Maryse Condé toczy wojnę o duszę. Jej matka była oddaną wyznawczynią Chrystusa. Ojciec był zadeklarowanym ateistą. Córka z rozmysłem nie została ani pisarką jednej religii, ani świata bez Boga.

86 Sznyt mody
DOROTA MALINA
Cały ambaras ze strojami sportowymi polega na tym, że muszą łączyć przyzwoitość, praktyczność i elegancję. Taki melanż bywa problematyczny.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // OLA DZIEDZIC / ADOBESTOCK.COM // MONTAŻ TP // ARNOLD JEROCKI / GETTY IMAGES // SIROBI 2018 / DOMENA PUBLICZNA CC 2.0

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Polityka czasów wojny
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Gwiazdy jednego sezonu
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Czym zajmują się europosłowie*

24 Obyś cudze dzieci katechizował
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Awantura o organizację lekcji religii to tylko przedsmak tego, co czeka nas za kilka miesięcy*

26 Duma i uprzedzenia
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Wyczyny paraolimpijczyków imponują milionom, ale na co dzień mistrzowie potykają się o schody*

■ ■ OPINIE

30 Stopnie do piekła
PIOTR SIKORA: *Współczesna nauka to potwierdza: szkolne oceny niewiele dają, za to szkodzą procesowi uczenia się*

■ ■ WIARA

34 Marzenie o Kościele
ROZMOWA Z RAFAŁEM DZIEDZICEM

38 Dzień z życia ulicy
ZUZANNA RADZIK Z BUENOS AIRES: *W faweli ksiądz jest gościem*

40 Tajemnica kobiety na smoku
MAGDALENA ŁANUSZKA *opowiada historię obrazu z kościoła w Krośnie*

■ ■ ŚWIAT

44 Niemcy nie dają już rady
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HANOWERU: *Na rok przed wyborami do Bundestagu Niemcy grzęzną w kryzysie*

TEMAT TYGODNIKA

FLORENCE LO / REUTERS / FORUM

12 Praca przyszłości
JAKUB DYMEK
Zielona (jak energia), siwa (jak starcza głowa), biała (jak pielęgniarski czepek) i blado rozświetlona wiecznie włączonymi aplikacjami. Czeka nas nie jedna rewolucja świata pracy, a kilka połączonych.

■ STRONY SPECJALNE ■

61 TUTKI I ZWIJKI. 100 LAT HISTORII HERBEWA

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **60** ELIZA KĄCKA
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

MONTAŻ NA OKŁADCE:
AQUATARKUS / FTOMASZ STOCK.ADOBE.COM X2

47 Izrael. Apoteoza wojny
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Premier Izraela otwiera kolejne fronty – wojna stała się treścią jego polityki*

50 Przymknięte wrota tajwańskiego azylu
MARIA WIŚNIEWSKA Z TAJPEJ

53 Głos Latynosów liczy się dziś szczególnie
ROZMOWA Z MIKIEM MADRIDEM, KONSULTANTEM POLITYCZNYM, AUTOREM KSIĄŻKI „STULECIE LATYNOSÓW"

■ ■ HISTORIA

56 Punkt widzenia
WOJCIECH JAGIELSKI *o Erneście Pyle'u, najwybitniejszym amerykańskim korespondencie wojennym, i cenie, jaką zapłacił za swoją pracę*

■ ■ NAUKA

68 Bliskie spotkania trzeciego stopnia
PIOTR SZYMANEK I MATEUSZ HOHOL: *Czy duchy istnieją?*

■ ■ KULTURA

72 Ewangelia i sztuka repasacji
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

76 Kurier z Bejrutu
JAN BŁASZCZAK: *Nieprzypadkowo muzyka improwizowana znalazła swój dom w Libanie*

78 Bogowie też krwawią
JAKUB MARMUREK *o serialu „Kaos"*

82 Sens życia i jego brak
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Wytłumaczenie wszystkiego"*

83 Bezdomność i wolność
LEKTOR *o książce Jerzego Jarniewicza „Frotaż"*

■ ■ ZMYSŁY

86 Sznyt mody
DOROTA MALINA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 59

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

POLITYKA CZASÓW WOJNY

Największa od początku inwazji rekonstrukcja ukraińskiego rządu zwiększa kontrolę nad nim ze strony administracji prezydenta. Odbywa się to w cieniu kolejnych nalotów na miasta i niezmiennie trudnej sytuacji na froncie.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Dymisja części ministrów ukraińskiego rządu oczekiwana była od dawna. Prezydent Wołodymyr Zełenski uzasadnił to potrzebą nadania gabinetowi „nowej energii", choć ważniejsze było zademonstrowanie społeczeństwu, że mimo braku wyborów – niemożliwych w warunkach wojny – odbywają się ważne rotacje na najwyższych szczeblach. Łącznie parlament powołał aż dziesięciu nowych ministrów, co wynikało również z tego, że część resortów od wielu miesięcy pozostawała nieobsadzona.

KONCENTRACJA WŁADZY | Można powątpiewać, czy dokonane zmiany wpłyną na efektywność działania rządu. Natomiast z pewnością zwiększeniu ulegnie wpływ na jego pracę ze strony Biura Prezydenta. Administracja prezydencka jest dziś ważniejszym ośrodkiem władzy niż rząd, a jej szef Andrij Jermak jest politykiem znacznie potężniejszym niż premier Denys Szmyhal.

Najważniejsi z nowo powołanych ministrów są ludźmi Jermaka, zaś aż trzech z nich do niedawna było jego zastępcami w Biurze Prezydenta. Ukraińskie media nie bez kozery piszą o „rządzie Jermaka". Na niekonstytucyjną koncentrację władzy w ośrodku prezydenckim, który kontroluje też parlament, od dawna z niepokojem patrzą społeczeństwo i partnerzy zagraniczni.

Stanowisko stracił też Dmytro Kuleba, od ponad czterech lat sprawujący funkcję szefa dyplomacji. Trudno odmówić mu w tym czasie efektywnej i wytężonej pracy dla swojego kraju. Kilka dni przed dymisją zasłynął jednak wyjątkowo niefortunnym wystąpieniem, w którym zrelatywizował zbrodnię wołyńską, przeciwstawiając jej akcję „Wisła" i nazywając polskie regiony południowo-wschodnie „terytorium ukraińskim".

DESTRUKCYJNY WPŁYW | W reakcji na to w Polsce od lewa do prawa odezwały się głosy oburzenia, w tym ze strony premiera Donalda Tuska, który stwierdził, że „rzetelna ocena tego, co stało się w czasie II wojny światowej, jest konieczna do tego, aby ułożyć dobre relacje polsko-ukra-

POWYŻEJ:
Jarosław Bazylewicz (pierwszy z prawej) towarzyszy ratownikom, którzy po nalocie wynoszą z ruin jego żonę Eugenię oraz córki Jerynę, Darię i Emilię. Okazało się, że wszystkie zginęły. Lwów, 4 września 2024 r.

ińskie". Dodał też, że Ukraina nie zostanie członkiem UE bez polskiej zgody.

Emocje dotyczące historii po raz kolejny położyły się cieniem na stosunki dwustronne, pokazując beztroskie podejście Kijowa do tematu i tradycyjne lekceważenie polskiej wrażliwości. Ani Kuleba, ani władze ukraińskie nie są w stanie przekonująco wyjaśnić Polakom, dlaczego od ponad siedmiu lat utrzymywany jest zakaz poszukiwań i ekshumacji nie tylko pomordowanych w trakcie zbrodni wołyńskiej, ale w ogóle polskich ofiar wojen (np. także Września 1939 r.). Kijów najwidoczniej nie chce zrozumieć, jak destrukcyjny wpływ ma to na relacje dwustronne i wizerunek Ukrainy w Polsce.

PIERWSZA ROZMOWA | Nowy szef ukraińskiego MSZ, Andrij Sybiha, jest jednym z niewielu ukraińskich decydentów najwyższego szczebla, którzy świetnie znają Polskę. Jako dyplomata spędził łącznie osiem lat w Warszawie i świetnie włada językiem polskim. Jest też zaufanym człowiekiem Jermaka, przez którego może mieć bezpośredni wpływ na prezydenta Zełenskiego.

Nie należy się spodziewać, że Sybiha dokona jakiejkolwiek rewolucji w ukraińskiej polityce zagranicznej. Ale optymistycznie można sądzić, że w trudnych sprawach polsko-ukraińskich wykaże się on większą subtelnością niż jego poprzednik. To, że pierwszym zagranicznym rozmówcą Sybihy był minister Radosław Sikorski, każe sądzić, że Kijów dostrzega potrzebę rozładowania złej atmosfery.

NALOTY NA MIASTA | Politycznym zmianom nad Dnieprem towarzyszyły zintensyfikowane w ostatnich tygodniach rosyjskie ataki rakietowe i dronowe na ukraińskie miasta, w tym szczególnie intensywne na Połtawę i Charków. Ucierpiał też Lwów, dotąd postrzegany jako względnie bezpieczny – zniszczonych zostało kilka zabytkowych budynków (Polska zadeklarowała pomoc w ich odbudowie). Wśród ofiar nalotów na Lwów była m.in. matka z trzema córkami – z rodziny ocalał tylko ojciec.

Ostrzał infrastruktury cywilnej jest barbarzyńską zemstą Rosji za ukraińską okupację części obwodu kurskiego. Ukraińcy utrzymują się tam od ponad miesiąca, nieznacznie poszerzając kontrolowany teren. Rosjanie zaś mają problem z ich wyparciem, co dla Kremla generuje głównie problemy wizerunkowe.

„Operacja kurska" Kijowa nie zrealizowała bowiem kluczowego celu wojskowego, jakim było zmuszenie Moskwy do przerzucenia części sił z Donbasu na ten odcinek. Jednak z politycznego punktu widzenia odniosła spory sukces – nie tylko tworząc problem wewnętrzny dla Kremla, ale pokazując też Zachodowi, że siły ukraińskie są zdolne do działań zaczepnych na terytorium wroga.

ZACHODNIE GŁOSY | Najważniejszą areną wojny niezmiennie pozostaje jednak front w Donbasie – dziś głównie okolice Pokrowska. Od kilku tygodni rosyjskie natarcie systematycznie postępuje, tworząc coraz większy problem dla obrońców. Dlatego na Ukrainie nie brakuje głosów krytyki, że kilkunastotysięczne zgrupowanie ukraińskie operujące w obwodzie kurskim bardziej przydałoby się dla wzmocnienia obrony w Pokrowsku.

Na Zachodzie z kolei wzmagają się głosy wzywające do rozmów. W ostatnią niedzielę dobitnie wyraził to kanclerz Scholz, mówiąc: „Przyszedł czas na poważne rozmowy dotyczące sposobów wyjścia z wojny i osiągnięcia pokoju szybciej, niż mogłoby się to wydawać". Takie głosy będą zapewne coraz głośniejsze, także po listopadowych wyborach w USA i to niezależnie, kto zasiądzie w Białym Domu.

Łatwiej jest jednak mówić o potrzebie pokoju, niż do niego doprowadzić. Kreml doskonale to rozumie i w powracających zachodnich wezwaniach do negocjacji upatruje szansę dla siebie, by podyktować Kijowowi własne warunki zawieszenia ognia. ©

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich.

YURIY DYACHYSHYN / AFP / EAST NEWS

Wizyta na pokaz

ANNA ŁABUSZEWSKA

Władimir Putin odwiedził Mongolię właściwie w jednym celu: aby zademonstrować światu, że choć jest ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK), za nic ma i Trybunał, i zasady międzynarodowego prawa.

Trzeba przyznać, że miejsce na zorganizowanie takiego spektaklu wybrano idealnie. Mongolia jest sygnatariuszem statutu rzymskiego – stanowiącego prawny fundament Trybunału, który ma ścigać sprawców zbrodni przeciw ludzkości, ludobójstw, zbrodni wojennych i zbrodni agresji – jest więc zobowiązana do stosowania jego postanowień. W tym nakazu aresztowania Putina, który wydał Trybunał.

Wystarczy rzut oka na mapę, by zobaczyć, że Mongolia graniczy tylko z Rosją i Chinami. Gdyby założyć, że władze w Ułan Bator ugną się pod naciskiem instytucji prawa międzynarodowego, władz ukraińskich i organizacji praw człowieka, które apelowały o zastosowanie się do nakazu MTK, to jakie byłyby dalsze ich posunięcia? Którędy miałyby go wywieźć do Hagi? Przez Rosję czy Chiny, które przecież go popierają?

To tylko teoretyczne rozważania. Jeszcze przed podróżą władze Mongolii podkreślały, że nie chcą zadrażnień z Rosją, od której zależy ich gospodarka (kraj jest uzależniony od rosyjskiej ropy, która pokrywa 90 proc. potrzeb). Oficjalnym powodem wizyty było zaproszenie od prezydenta Uchnaagijna Chürelsücha na rocznicę zwycięstwa połączonych sił sowieckich i mongolskich nad armią japońską w 1939 r. Zamiast go zatrzymać, w Ułan Bator witano Putina z honorami.

Jakie to może mieć skutki dla globalnego prawa i porządku? Trybunał wydał nakaz aresztowania Putina 17 marca 2023 r.; zarzucono mu sprawstwo kierownicze nad deportacją ukraińskich dzieci. Rosja nie uznaje jurysdykcji MTK, ale musiała wziąć pod uwagę ryzyko wyjazdu do kraju-sygnatariusza statutu rzymskiego. Dotąd Putin nie odwiedził państwa, gdzie obowiązuje ten statut. To była upokarzająca sytuacja i dyplomacja Kremla wykonała wielką pracę, by ją przełamać.

Odegrany w Mongolii pokaz nietykalności Putina to kolejny krok w rosyjskim planie zrujnowania ładu międzynarodowego.

Był on adresowany głównie do krajów Globalnego Południa: zobaczcie, Haga nie ma nad nami władzy. Teraz można się spodziewać bisów w kolejnych krajach – tych, które są zależne od Rosji i/lub Chin. Zdaniem dobrze poinformowanych komentatorów to Pekin udzielił Putinowi gwarancji bezpieczeństwa podczas jego podróży do Mongolii. ©

Papieska taktyka

ARTUR SPORNIAK

Papież jest w trakcie najdłuższej podróży po krajach Azji i Oceanii. Odwiedził już Indonezję – najliczniejszy kraj muzułmański, oraz Papuę Nową Gwineę. W chwili pisania tego tekstu jest witany w Timorze Wschodnim, a w kolejnych dniach ma przybyć jeszcze do Singapuru. W ciągu 12 dni Franciszek przebędzie ponad 32 tys. kilometrów.

Historycy Kościoła odnotują przede wszystkim podpisanie przez papieża w Dżakarcie, w największym w Azji Południowo-Wschodniej meczecie Istiqlal, wspólnej deklaracji z wielkim imamem Nasaruddinem Umarem, potępiającej przemoc na tle religijnym. Dokument ten nawiązuje do Deklaracji z Abu Zabi o „Braterstwie Ludzkim" z 2019 r. i potwierdza, że w dialogu międzyreligijnym Franciszek zainteresowany jest przede wszystkim dobrym kontaktem ze światem muzułmańskim.

W pałacu prezydenckim w Dżakarcie papież chwalił władze Indonezji za dążenie do „harmonii w różnorodności". Komentatorzy zauważają jednak, że słowem nie wspomniał o prześladowaniach w przeważającej mierze katolickiej ludności Papui, zaanektowanej przez Indonezję w 1969 r. Teren bogaty w złoża miedzi, niklu, złota i gazu zamieszkuje 6 mln ludzi żyjących w biedzie. W konflikcie z wojskiem indonezyjskim zginęło dotychczas 150 tys. Papuasów, a 100 tys. zostało wysiedlonych.

Sytuacja w Papui przypomina tę w Timorze Wschodnim sprzed osiągnięcia przez ten kraj niepodległości w 2002 r. Timor także został zaanektowany przez Indonezję (w 1975 r.). Podczas okupacji życie straciło 183 tys. spośród 800 tys. ówczesnych mieszkańców. Kościół katolicki aktywnie angażował się w negocjacje pokojowe. Timorczycy wspominają, że impulsem do działań niepodległościowych była pielgrzymka na tę część wyspy Jana Pawła II w 1989 r. Tymczasem podczas obecnej pielgrzymki do Franciszka nawet nie dopuszczono biskupa Jayapury – stolicy Papui, który chciał wręczyć papieżowi książkę opisującą prześladowania katolików. Skąd taka postawa następcy Jana Pawła II?

W pewnym sensie Franciszek jest w swoim postępowaniu konsekwentny. Gdy ma do czynienia z agresywnym rządem, prześladującym katolików, ogranicza się do ostrożnych działań dyplomatycznych. Taka jest polityka papieska względem Chin, Wietnamu czy Rosji. Jak dotąd, jedynie w Wietnamie przynosi ona pozytywne efekty. ©℗

ADITYA AJI / REUTERS / FORUM

Papież Franciszek i wielki imam Nasaruddin Umar po spotkaniu międzyreligijnym w meczecie Istiqlal, Dżakarta, 5 września 2024 r.

Duży zawód

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Miało być lepiej, skuteczniej i bliżej życia. Rozpoczęta przez PiS sześć lat temu reforma szkolnictwa zawodowego, wprowadzająca – w miejsce popularnych „zawodówek" – szkoły branżowe dwóch stopni, miała przybliżyć placówki do realiów nowoczesnego rynku pracy. Ale niespecjalnie się powiodła – taką przynajmniej tezę stawia w ogłoszonym dopiero co raporcie Najwyższa Izba Kontroli.

O tym sektorze edukacji mało się mówi: szkoły ponadpodstawowe to w potocznym rozumieniu głównie licea, podczas gdy te – z nieco ponad 800 tysiącami uczniów w roku szkolnym 2023/24 – stanowiły w tej kategorii placówek mniejszość. Do szkół zawodowych uczęszczała armia niemal miliona uczniów, z czego 755 tys. to chodzący do techników, 217 tys. to liczba uczniów placówek branżowych I stopnia, a 12 tys. – „branżówek" II stopnia. To właśnie te ostatnie miały zmienić oblicze polskiego szkolnictwa zawodowego. Wprowadzono w nich nowe podstawy programowe, zaplanowano zwiększenie udziału biznesu w kształceniu. Ale – wedle NIK – niewiele z tego wyszło.

Główny zarzut, jaki stawia NIK, jest powtórką refrenu granego przy okazji każdej reformy – chętnie system zmieniamy, niechętnie sprawdzamy rezultaty zmian.

„Pomimo kompleksowego przygotowania reformy, Minister nie przeprowadził ewaluacji kształcenia w szkołach branżowych I stopnia pozwalającej na ocenę efektów kształcenia w tych szkołach" – ocenia Izba, przypominając, że taka ewaluacja była możliwa, bo pierwsi absolwenci „branżówek" opuścili te szkoły już w 2020 r. Poza tym resort edukacji dysponował danymi Instytutu Badań Edukacyjnych. Wynika z nich, że znacząca część absolwentów szkół branżowych I stopnia (ponad 40 proc. we wrześniu, czyli po zakończeniu szkoły, a około 30 proc. w maju następnego roku) ani nie pracowała, ani nie kontynuowała nauki.

NIK krytycznie oceniła również powołanie 120 branżowych centrów umiejętności, kosztujących aż 1,4 mld złotych, a także realizację praktycznej nauki zawodu przez szkoły (nieprawidłowości dotyczyły m.in. braku programów praktyk).

Nowa szefowa MEN Barbara Nowacka powtarza, że szkolnictwo zawodowe jest dla jej resortu „absolutnym priorytetem". Ale na razie nie wiadomo, jak nowa ekipa chce wyciągnąć ten sektor z kryzysu, z którego nie wyprowadziła go poprzednia oświatowa władza. ©℗

NA PUNKTY

POŻEGNANIE
81 365 widzów przyszło na mecz w Dortmundzie, by pożegnać byłych piłkarzy Borussii, Jakuba Błaszczykowskiego i Łukasza Piszczka. Dochód był przeznaczony na cele charytatywne.

ODLICZANIE
Donald Tusk nie może się doczekać pożegnania Andrzeja Dudy. „To, że prezydent się czasem kompromituje jako osoba w czasie swoich misji zagranicznych, to do tego zdążyliśmy się przyzwyczaić" – skomentował jego niedawną wypowiedź na temat rzekomego dopuszczenia rosyjskiego szpiega do tajnych akt, i dodał, licząc czas do końca prezydenckiej kadencji: „Bogu dzięki to już tylko 333 dni".

PLANOWANIE
Jeszcze zanim dojdzie do zmiany prezydenta, rząd chce zająć się sytuacją w wymiarze sprawiedliwości. Na spotkaniu premiera i ministra Bodnara ze środowiskami prawniczymi mówiono o cofnięciu awansów i wprowadzeniu instytucji czynnego żalu dla tzw. neosędziów, likwidacji dwóch nowych izb Sądu Najwyższego oraz rozdzieleniu funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. ©℗

Barnier, premier flegmatyk

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Nowy szef rządu – stary wyga: tak można streścić decyzję prezydenta Macrona o powołaniu na premiera 73-letniego Michela Barniera, prounijnego konserwatysty (na zdjęciu).

To jeden z najbardziej doświadczonych francuskich polityków: były deputowany i były senator, czterokrotny minister, dwukrotny komisarz unijny (najpierw ds. polityki regionalnej, później ds. rynku wewnętrznego i usług). W szerszej pamięci Barnier zapisał się jako Monsieur Brexit – główny unijny negocjator wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii.

LUDOVIC MARIN / AFP / EAST NEWS

Nominacja ta kończy dwa miesiące niepewności, które trwały od wyborów parlamentarnych. Blok lewicy pokonał w nich rządzącą dotąd centrową partię Macrona, a trzecie miejsce zajęła nacjonalistyczna prawica Marine Le Pen. Tak powstały trzy niemal równe bloki, przy czym ani lewica, ani lepeniści nie mieli zdolności koalicyjnej. Z impasu skorzystał Macron: odrzucił kandydatkę lewicy na premiera, wybierając człowieka umiarkowanej prawicy, który wywodzi się z niewielkiej dziś partii Republikanie. Barnier ma utworzyć centroprawicową koalicję, być może też z udziałem lewicowych „rozbitków".

Według Macrona premier ma trzy atuty. Po pierwsze, jest do strawienia dla lepenistów (a więc zapewnia przetrwanie nowego rządu w obliczu zapowiedzianego już przez lewicę wotum nieufności). Po drugie, zapewnia kontynuację w polityce zagranicznej. Po trzecie, cechuje go gotowość dialogu, czemu towarzyszy brytyjska flegma (jak pisze „La Croix"). A to cecha kluczowa, gdyż przyszły mniejszościowy gabinet będzie skazany na kompromisy.

Zaraz po nominacji Barnier oświadczył, że chce odpowiedzieć na „gniew" Francuzów. Wśród priorytetów wymienił reformę szkolnictwa, kontrolę imigracji i zwiększenie bezpieczeństwa oraz redukcję rekordowego długu publicznego (w 2023 r. wyniósł on prawie 111 proc. PKB Francji).

Już w minioną sobotę, ledwie zaczął się formować rząd, na apel radykalnej lewicy tysiące manifestantów protestowały przeciw nominacji Barniera. A to tylko początek. Jego zimna krew pewnie przyda mu się jeszcze wiele razy. ©

Bodnara ruchy na polu minowym

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Spektakularne zatrzymanie w Londynie byłego prezesa RARS to kolejny cios w PiS, a zwłaszcza w Mateusza Morawieckiego. Choć w swojej jedynej medialnej wypowiedzi Michał K. oskarżył prokuraturę o działania na zlecenie polityczne, a nawet zarzucał wymuszanie zeznań na świadkach, prawda w tej sprawie raczej nie leży pośrodku. Wina Michała K. wydaje się mocno udokumentowana, a działaniom prokuratury pod kierownictwem Adama Bodnara trudno stawiać zarzut zbytniej gorliwości. To dobrze, bo rozliczanie z państwem PiS powinno polegać na odejściu od stosowanych w latach 2015-23 praktyk, głównie prób politycznego podporządkowywania śledczych oraz sędziów.

Zresztą, w kwestii tych ostatnich minister Bodnar działa dwutorowo, właśnie przedstawił pomysły na rozwiązanie konfliktu wokół tzw. neosędziów. Koncepcja generalnie się broni, bo jest przynajmniej próbą zawarcia kompromisu z opozycją. Nie odbiera mianowanym po 2018 r. sędziom ich statusu ani nie unieważnia wydanych przez nich wyroków, a jedynie cofa awanse na wyższe funkcje.

Nie ma się też co dziwić, że minister sprawiedliwości nastawia się na to, że do zmian dojdzie po wyborach prezydenckich za niecały rok. Doświadczenia z ustawą o Krajowej Radzie Sądownictwa, przywracającej jej konstytucyjność, pokazują, że na porozumienie z Andrzejem Dudą w podobnych sprawach nie ma co liczyć. I to mimo że Bodnar był gotów na kompromis, forsując do pewnego momentu kontrowersyjną poprawkę o dopuszczeniu neosędziów do członkostwa w KRS.

Do przeprowadzenia pozostanie jeszcze tryb wyboru członków Trybunału Konstytucyjnego większością 3/5, a także rozdzielenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Jeśli to się uda, można będzie uznać, że bałagan w wymiarze sprawiedliwości został posprzątany. ©℗

Aborcja: prawo czy widzimisię urzędnika

ZDROWIE ▪ Dwa cytaty. Izabela Leszczyna (30 sierpnia): „Występowanie przez lekarza lub szpital o drugą opinię specjalisty lub konsylium zostanie uznane za utrudnianie dostępu do świadczeń gwarantowanych". Też Leszczyna (5 września): „Występowanie o drugą opinię lub konsylium jest możliwe, lekarz ma do tego prawo, jednak nie jest to obowiązek i ma być wyjątkiem od reguły".

Można dociekać, co sprawiło, że w ciągu niespełna tygodnia poglądy ministry zdrowia wyewoluowały w kierunku, który ma więcej wspólnego z prawem (choć nie w pełni, skoro projektuje ona jakieś zewnętrzne ograniczenia w postaci „wyjątków od reguły"). Leszczyna już kilka miesięcy temu wsławiła się innowacją prawniczą, która miała pozwolić korzystać z tzw. usługi farmaceutycznej, niebędącej świadczeniem zdrowotnym (pilotaż pigułki „dzień po"), niepełnoletnim nastolatkom bez wiedzy i zgody opiekunów. Zderzenie z rzeczywistością musiało być bolesne: farmaceuci odmówili przyjęcia tak frywolnej interpretacji prawnej, przypominając, że przed sądami liczą się przepisy, a nie to, co sądzi na ich temat urzędnik, po drugie – z pilotażu korzystają niemal wyłącznie osoby pełnoletnie.

Umiejętność uczenia się na błędach w procesie rządzenia jest bezcenna. Pytanie tylko, czy wycofanie się z radykalnych stwierdzeń to rzeczywiście „przyznanie się do błędu"? Bo nie same wytyczne ws. aborcji, ale komentarz Leszczyny i polityczny kontekst jego wygłoszenia, czyli obecność premiera i ministra sprawiedliwości, stwarzały wrażenie, że lekarzom rzeczywiście przyjdzie honorować zaświadczenia uzyskane w drodze teleporad, nawet jeśli będą mieć wątpliwości co do ich zasadności.

A może konferencja 30 sierpnia była tylko politycznym humbugiem? Może tak naprawdę wytyczne co prawda trochę porządkują rzeczywistość, przypominając szpitalom o oczywistych okolicznościach, w których kobiecie nie można odmówić zabiegu terminacji ciąży – ale nie zmieniają reguł gry? Zwracali na to uwagę i prawnicy, i aktywistki organizacji działających na rzecz prawa kobiet do aborcji, oraz sami lekarze. Przepisy pozostają – i to ich muszą się trzymać obywatele. A tym bardziej urzędnicy.

Również ci z NFZ i Biura Rzecznika Praw Pacjenta, którzy 30 sierpnia dostali wyraźny sygnał, że każdy przypadek nie tylko odmowy wykonania aborcji, ale też podjęcia przez lekarza lub szpital czynności weryfikujących zasadność zaświadczenia o wystąpieniu przesłanki do legalnej aborcji ma być ścigany. Egzegeza komunikatu, jaka nadeszła kilka dni później, koryguje ostry kurs. Tak to jest w państwie opartym na wytycznych, zamiast na prawie. © MAŁGORZATA SOLECKA

TOMASZ GZELL / PAP

Ministra zdrowia Izabela Leszczyna przed rozpoczęciem posiedzenia rządu w siedzibie KPRM, Warszawa, 3 września 2024 r.

Romeo i Julia z Watykanu zostali ukarani

KOŚCIÓŁ ▪ Historii miłosnych Watykan miał wiele. Te najgłośniejsze, o miłości zakazanej, zazwyczaj kończyły się fatalnie – wstydem, wygnaniem i karami kanonicznymi (w przypadku zakochanych monsiniorów), a nawet tragicznie (śmierć Aloisa Estermanna, dowódcy Gwardii Szwajcarskiej, jego żony i domniemanego kochanka w 1998 r.). Jednak tym razem chodzi o związek dwojga osób świeckich, wolnego stanu i różnej płci. Ukaranych przez Watykan za ślub kościelny.

W ostatnią sobotę sierpnia sakrament małżeństwa zawarło dwoje pracowników Instytutu Dzieł Religijnych (IOR), zwanego potocznie „watykańskim bankiem centralnym". Dwa dni później nowożeńców poinformowano, że – zgodnie z obowiązującym prawem – zostaną zwolnieni z pracy. Wprowadzony kilka miesięcy temu regulamin IOR zabrania „zatrudniania małżonków i krewnych do czwartego stopnia oraz powinowatych pierwszego i drugiego stopnia", a także zakazuje zawierania małżeństw pomiędzy pracownikami instytutu (lub z innymi pracownikami Watykanu) pod sankcją utraty zatrudnienia. Władze IOR tłumaczą, że nowe przepisy pozwalają skutecznie walczyć z nepotyzmem, z którego instytut, podobnie jak inne urzędy Watykanu, był znany. I że dzięki nim udało się na nowo odzyskać zaufanie klientów i firm ratingowych. Dodają, że pracownicy znali prawo i byli świadomi konsekwencji swojego czynu (w domyśle – mogli nie decydować się na ślub).

Historia watykańskich nowożeńców godna jest szekspirowskiego pióra. Tym razem na przeszkodzie miłości nie stanęły jednak skłócone rody, a sprzeczne przepisy: ogólne, zabraniające parom życia bez ślubu kościelnego, i szczegółowe, jak regulamin IOR, zakazujące zawarcia sakramentu małżeństwa. Młodzi małżonkowie poprosili papieża Franciszka o interwencję – kilka dni temu wysłali do niego list. To jedyna szansa, by historia zakazanej miłości watykańskiego Romea i Julii po raz pierwszy zakończyła się happy endem.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

FLOW: pawilon artystyczny na Wiśle

INSTAGRAM PROJEKTU @FLOWCZYLIPRZEPLYW

SZTUKA ▪ To pierwszy raz, gdy gościmy w Polsce europejski pawilon artystyczny. Nie jest to stacjonarny budynek, a łódź, która zmierza pod prąd, jak przystało na działania twórcze. Hasło przewodnie flisu brzmi: „W dzikiej kocham się Wiśle!".

FLOW – tak nazywa się wykonany z modrzewia galar krakowski (szeroki na 3,5 m i długi na 12 m), który z końcem sierpnia wypłynął z Warszawy. Podróż z trzydniowym przystankiem w Kazimierzu Dolnym zakończy się w Krakowie 27-29 września. Na pokładzie znajduje się siódemka artystów i trzy kuratorki. Przedsięwzięcie ma charakter międzynarodowy, a podobne działania podjęto na Dunaju, Renie i Tagu. Łącznie artyści pokonają prawie 1400 km tras wodnych. Następnie załogi wszystkich łódek spotkają się w Lizbonie, by podsumować akcję wystawą.

„Gdy już raz się tego spróbowało, patrzy się na rzeczywistość inaczej" – przekonywała artystka Ewa Ciepielewska, która wspólnie z Agnieszką Brzeżańską oraz Fundacją Razem Pamoja realizowała wcześniej wodne „transdyscyplinarne" rezydencje twórcze i od dekady spędza na pływaniu Wisłą kilka tygodni rocznie.

Artystyczne działania mają trafić do szerokiej publiczności, przy okazji uwrażliwiając ją na zagadnienia związane z ekologią, zmianami klimatycznymi czy regulacją cieków wodnych. A jest o co się troszczyć. Niespełna tydzień po wyruszeniu pawilonu z Warszawy pomiar automatycznej stacji hydrologicznej na stołecznych bulwarach wiślanych wskazał zaledwie 25 cm stanu wody – to najniższy wynik w historii.

Przedsięwzięcie wymyśliła i opisała grupa artystów z 17 krajów pod wspólnym szyldem Espaço Agora Now, uzyskując grant od European Culture Foundation. Polska grupa, jako najbardziej doświadczona w pływających rezydencjach, ma wspierać praktycznymi wskazówkami ekipy z zagranicy. Oprócz zaplanowanych przystanków artyści będą schodzić na brzeg nocą, rozbijać namioty, wspólnie gotować, siedzieć przy ognisku. Zapewne też pracować – malować, robić zdjęcia – i, oczywiście, kąpać się w Wiśle.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

Przynieś to, kotku! Nie tylko psy aportują

PSYCHOLOGIA ▪ Zoolodzy uważają, że psy zostały poddane sztucznej selekcji pod kątem aportowania. Nie chodziło rzecz jasna wyłącznie o zabawę. Psy towarzyszyły ludziom przy polowaniach; te osobniki, które chętniej biegły za ustrzeloną z łuku czy przebitą oszczepem zwierzyną i przynosiły ją swoim opiekunom, były lepiej traktowane i miały większe szanse na rozmnożenie się. Zaś spłodzone przez dobre pieski potomstwo dziedziczyło cechy przydatne z ludzkiego punktu widzenia. Można przypuszczać, że taka forma współpracy z ludźmi była dla psów przyjemna i dzisiaj wiele z nich z taką samą radością oddaje się aportowaniu dla zabawy. Dlatego widok psa przynoszącego opiekunowi piłeczkę czy gumową kość nie zaskoczy nikogo.

Aportujące koty są rzadszym zjawiskiem, ale – jak przekonują w „Plos One" Mikel M. Delgado z Uniwersytetu Purdue i współpracownicy – nie niespotykanym. Według tych badaczy można to zrozumieć, jeśli przeanalizuje się kocią historię naturalną. Delgado i współpracownicy zebrali odpowiedzi na szczegółowe ankiety od kilkunastu tysięcy właścicieli psów i kotów i ocenili, że aportować może nawet powyżej 40 proc. kotów trzymanych w domach (w porównaniu z 80 proc. psów). Wcześniejsze badania, prowadzone na znacznie mniejszą skalę, nie dały nawet zbliżonych wyników (aportowanie odnotowano u kilkunastu procent kotów).

ADOBE STOCK

Z zebranych danych wynika, że najchętniej aportują osobniki młode, częściej samce niż samice, a także rasy wywodzące się z dalekiego wschodu (koty tonkińskie, bengalskie, syjamskie i birmańskie). Aportowanie u kotów jest zachowaniem spontanicznym, nie wymaga treningu. Skąd się wzięło, biorąc pod uwagę to, że koty chodziły własnymi ewolucyjnymi ścieżkami?

Wspomniani autorzy zauważają, że także kocie sposoby polowania (czyhanie na ofiarę w bezruchu, po którym następuje skradanie się, zwieńczone błyskawicznym atakiem) czynią z nich dobrych kandydatów do aportowania. Koty mają też tendencję do przenoszenia pochwyconej ofiary z miejsca ataku – po to, by usunąć się w cień lub dostarczyć ją do śmiertelnej zabawy swoim młodym. A nade wszystko, choć wywodzą się od samotnych drapieżników, potrafią tworzyć więź z człowiekiem – i uwielbiają zabawę.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

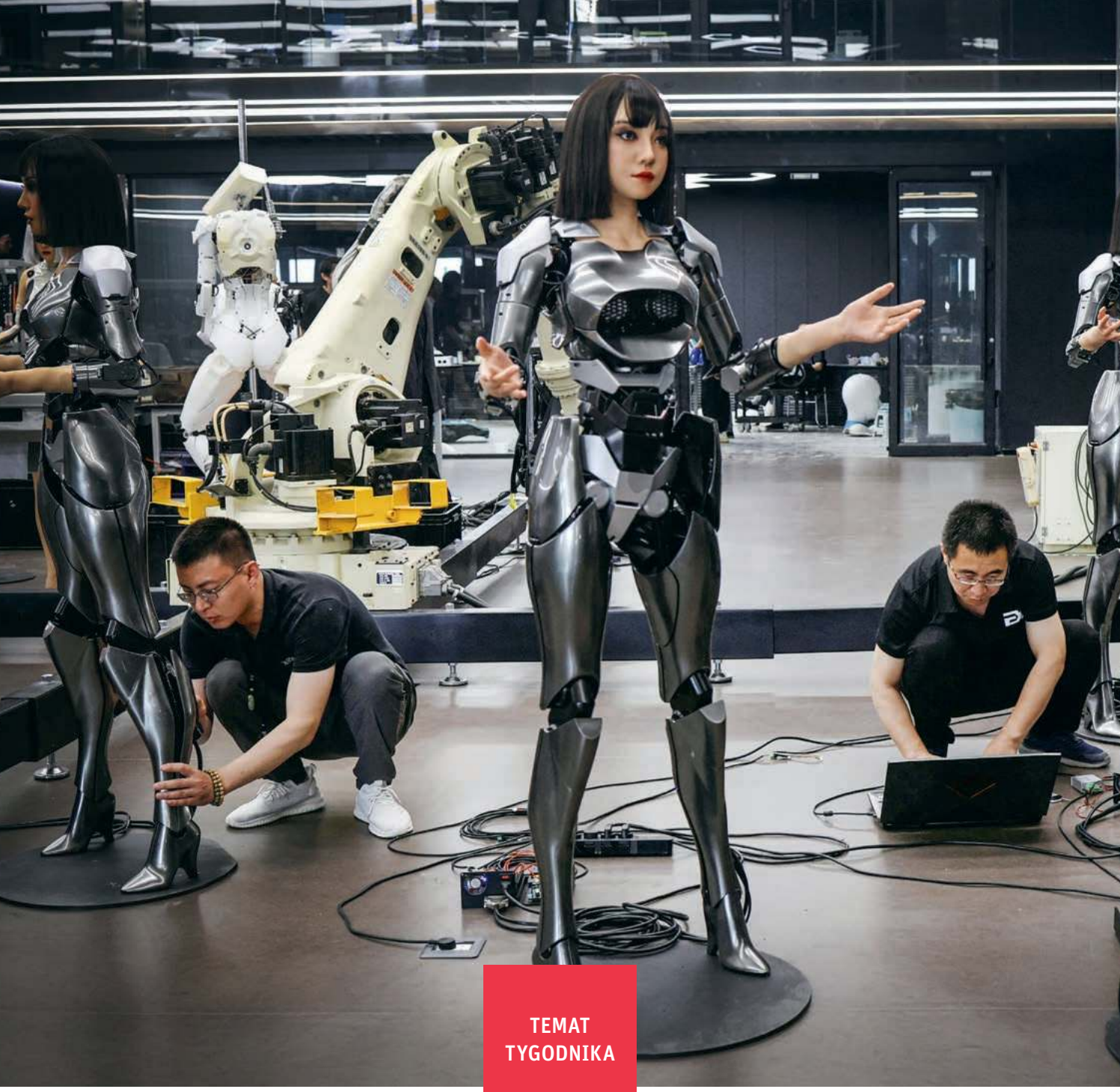

TEMAT TYGODNIKA

PRACA PRZYSZŁOŚCI

Zielona (jak energia), siwa (jak starcza głowa), biała (jak pielęgniarski czepek) i blado rozświetlona wiecznie włączonymi aplikacjami. Czeka nas nie jedna rewolucja świata pracy, a kilka połączonych.

JAKUB DYMEK

FLORENCE LO / REUTERS / FORUM

Pracownicy firmy Ex-Robots programują humanoidalne roboty, Dalian, Chiny, czerwiec 2024 r.

Gdy myślimy o pracy przyszłości, jesteśmy rozdarci między skrajnymi wizjami. Z jednej strony sielankowe obrazki powszechnego dobrobytu, automatyzacji i robotów oraz spokojnej starości w napędzanych sztuczną inteligencją enklawach „smartdomów". Raj usług dostępnych w aplikacjach, o których opowiadają kolejne generacje politycznych i technologicznych utopistów. Z drugiej koszmar wyzysku i tyrania maszyn. Praca bez sensu, ponad siły i do późnego wieku, obecna w dystopijnej popkulturze, cyberpunkowych powieściach i narracji wróżących kolaps systemu polityków.

Mroczne wizje

Czy więc na hasło „praca przyszłości" reagujemy nadzieją, czy obawą? Chyba jednak tym drugim. Boimy się, że skończymy jak Sonmi-451, zmuszona do usługiwania w fast-foodowej restauracji napastliwym klientom z Nowego Seulu dziewczyna-klon z „Atlasu chmur" rodzeństwa Wachowskich. Takie jak ona czeka po zużyciu przerobienie na pastę, którą wykarmi się kolejne klony – czego dowiaduje się przerażona, zaglądając za kulisy upiornego kompleksu, w którym śpi i pracuje. Jeśli do niektórych nie przemawia wizja aż tak drastyczna, to ciarki po plecach wywoła im wspomnienie „Ludzkich dzieci" Alfonso Cuaróna – gdzie w Europie dzieci się nie rodzą, migrantów trzymamy za murami, mało kto chce pracować, za to samobójstwo jest legalne i wspierane przez państwo. Albo coś z Kena Loacha czy serialu „Years and Years", którego bohaterowie imają się tymczasowych zajęć, znosząc kolejne upokorzenia tzw. pracy platformowej, w zamian za grosze ciułane na aplikacjach jako kurier czy kierowca, pozwalającej uniknąć bezrobocia, ale nic więcej.

Widzimy też nieodległą przyszłość oczami rodzeństwa Fisherów z powieści – i serialowej ekranizacji – „Peryferal" Williama Gibsona, którzy aby utrzymać siebie i chorującą matkę, najmują się do wirtualnych prac i grają w gry on-line za pieniądze. Choć tak naprawdę to ktoś gra (i bawi się) nimi. Wszak po drugiej stronie świata przyszłości są też ci, którzy pracować nie muszą – miliarderzy, globalna elita majątków poukrywanych w rajach, właściciele prywatnych wysp albo nawet księżyców i kolonizatorzy Marsa, dla których to my będziemy tanią siłą roboczą.

Wszystkie te wizje są tak mocne, bo zawierają realną przestrogę i więcej niż ziarnko prawdy o już istniejących nierównościach. Odwracają jednak naszą uwagę od tego, że obok sadystycznych miliarderów i żądnych dominacji nad ludźmi robotów wiszą nad nami też dużo bardziej prozaiczne problemy. Jako społeczeństwa się starzejemy, nie mamy pomysłu na migrację i sfinansowanie systemów emerytalnych, wielkie platformy cyfrowe destabilizują całe branże, a państwa narodowe są nierzadko słabsze niż wielkie korporacje.

Wszystko to sprawia, że praca przyszłości faktycznie będzie inna niż dziś – jednak zmiana dokona się inaczej, niż się tego spodziewamy.

Pani opieka

Sektor zatrudnienia, jaki czeka największy rozwój, to wbrew pozorom nie robotyka, AI czy zielona energia. To oczywiście prawda, że zatrudnienie znajdzie wielokrotnie więcej monterów paneli słonecznych i specjalistek od testowania sztucznej inteligencji niż dziś. Ale prawdziwym zawodem przyszłości jest nie programista, a pielęgniarka.

Tylko w Stanach Zjednoczonych w najbliższej dekadzie przyrost zatrudnienia w ochronie zdrowia i opiece wyniesie ponad 2 mln nowych miejsc. To dziesięciokrotnie więcej osób niż w branży informatycznej (2,2 mln do 215 tys.). Starzejące się społeczeństwo, upadek wielopokoleniowego modelu rodziny i brak zastępowalności pokoleń sprawi, że płatna opieka nad chorymi i starszymi stanie się chodliwym towarem.

Skąd to wiemy? Regularne szacunki na temat trendów i zmian w zatrudnieniu publikuje w USA Bureau of Labor Statistics, czyli Biuro Statystyki Pracy przy Departamencie Pracy. I pomimo wszystkich nowych technologii, automatyzacji kolejnych dziedzin życia, kryzysu inflacyjnego oraz zmian związanych z migracją, od ponad 10 lat stanowczo twierdzi, że to jedno się nie zmieni. Niezależnie od tego, czy i jakie zmiany przyniesie sztuczna inteligencja albo jaką politykę handlową będzie prowadził kolejny prezydent, amerykańskie społeczeństwo będzie coraz starsze. A jego obywatele będą potrzebowali milionów lekarzy, fizjoterapeutek, pielęgniarzy, asystentów, opiekunów i techników medycznych. Statystycznie – drogi amerykański, ale i polski rodzicu – dużo bardziej prawdopodobne, że twoje dziecko zostanie opiekunem osób z niepełnosprawnością, pielęgniarzem albo specjalistką od zarządzania w ochronie zdrowia, niż znajdzie pracę w kolejnym przedsięwzięciu Muska, Bezosa czy Zuckerberga. ↦

↦ Bo to oczywiście nie jest zjawisko typowe tylko dla USA. Wszystkie rozwinięte państwa stoją u progu podobnych zmian. W Polsce jest pod pewnymi względami łatwiej, pod innymi radykalnie gorzej. Według opublikowanego na początku dekady raportu Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych średni wiek pielęgniarki w Polsce to 53 lata i 51 lat w przypadku położnej. Gdyby na emeryturę przeszły w Polsce wszystkie pielęgniarki po sześćdziesiątce, trzeba by zamknąć 272 szpitale. Pod względem starzenia się personelu medycznego, pielęgniarek w szczególności, Polska znajduje się w niesłychanie trudnym położeniu. Według danych tej samej NIPIP rokrocznie 9-10 tys. pielęgniarek nabywa uprawnienia emerytalne, a do zawodu wchodzi o niemal połowę mniej – 5,5 tys. nowych „białych czepków".

Owszem, migracja kobiet z Ukrainy po 2022 r. pozwoliła nieco złagodzić ten ubytek. Ale dane Ministerstwa Zdrowia mówiły jeszcze rok temu o tym, że znalazło u nas pracę zaledwie 2,3 tys. lekarzy i 1000 pielęgniarek z kraju naszego sąsiada. Tak czy inaczej już wchodzimy w rywalizację z innymi krajami rozwiniętymi na ściąganie pracowników sektora ochrony zdrowia i opieki.

Kraje dawców

Dlaczego to rywalizacja? Ano właśnie dlatego, że choć oficjalna retoryka polityków amerykańskich, brytyjskich, polskich czy niemieckich jest coraz bardziej sceptyczna wobec migracji – potrzeby starzejących się społeczeństw dyktują odmienną od tych deklaracji politykę.

Żeby zobaczyć migawkę z przyszłości, nie trzeba spoglądać na Izrael czy bogate monarchie arabskie – gdzie 50, 60 a nawet ponad 70 proc. pracowników ochrony zdrowia to obcokrajowcy.

Wielka Brytania miała, jak przekonywali zwolennicy Brexitu, dzięki wyjściu z UE zadbać o swój system ochrony zdrowia i ograniczyć migrację. Stało się inaczej. Dziś brytyjski NHS cierpi na najdłuższe w historii kolejki, postępuje prywatyzacja usług medycznych i opiekuńczych, a urodzeni za granicą to już blisko jedna trzecia wszystkich praktykujących w Zjednoczonym Królestwie lekarzy (i ponad jedna piąta wszystkich pielęgniarek). Deficyty są tak duże, że związki zawodowe apelują nie o przymknięcie, lecz szersze otwarcie drzwi dla kolejnych tysięcy przedstawicieli personelu medycznego z innych krajów.

Przyszłość pracy w tym kluczowym sektorze będzie więc oznaczać także pogłębiające się nierówności na skalę planety. Jedne kraje będą kształcić kadry opiekuńcze, inne będą milionami ściągać opiekunki dla starzejących się generacji rodziców i dziadków. „W globalnej wymianie pracowników ochrony zdrowia są regiony, które pełnią rolę dawców" – ujmuje to brutalnie jeden z raportów Międzynarodowej Organizacji Pracy. Są kraje takie jak Filipiny, skąd wyemigrowała połowa wszystkich pielęgniarek – 51 proc. wszystkich osób z uprawnieniami pielęgniarskimi pracowało za granicą w 2021 r. – mimo że w kraju pracy dla nich nie brakuje. Zamożny Zachód chętnie z takich „dawców" korzysta. Ułatwienia w pracy filipińskich pielęgniarek w Niemczech były choćby tematem niedawnej wizyty Olafa Scholza w Manili. Nieświadom chyba kolonialnego brzmienia swoich słów kanclerz powiedział, że jego kraj chce skorzystać z „bogactwa wykwalifikowanych pracowników, jakim dysponują Filipiny".

272

szpitale trzeba by zamknąć, gdyby na emeryturę przeszły w Polsce wszystkie pielęgniarki po sześćdziesiątce.

Paradoks globalizacji: najwięcej wykwalifikowanych pracowników ochrony zdrowia wyjeżdża z krajów, gdzie najbardziej ich brakuje. A będzie gorzej.

Epoka maszyn

Może jednak sztuczna inteligencja i automatyzacja wybawią nas od znoju pracy i uwolnią więcej czasu? Będziemy może starsi, ale zdrowsi i mniej obciążeni zawodowo? Z pewnością do tego chcieliby nas przekonać miliarderzy z Doliny Krzemowej. A za nimi media, które chętnie pochylają się nad każdą tego typu informacją. Nie od dziś zresztą.

Gdyby ktoś wsiadł w wehikuł czasu i cofnął się do lat 20. poprzedniego stulecia, mógłby odnaleźć w prasie znajomo brzmiące nagłówki. „Przemija czas wiernego osiołka" – donosił „New York Times" nieco jeszcze żartobliwie w 1922 r., ogłaszając nadejście „epoki mechanicznej". Czyli takiej, w której maszyny wyręczą człowieka pracy – mężczyznę i kobietę – od najbardziej niewdzięcznych obowiązków.

Ale im bliżej Wielkiego Kryzysu, tym retoryka „epoki mechanicznej" była bardziej złowroga. Coraz poważniejsze robiły się ostrzeżenia o „technologicznym bezrobociu" – określeniu, którego autorstwo przypisuje się wybitnemu ekonomiście Johnowi Maynardowi Keynesowi, sporo piszącemu o wpływie produktywności na relacje pracy i kapitału.

Sam Keynes był jednak w długim horyzoncie optymistą. Twierdził, że gospodarcze załamanie i „olbrzymia anomalia" bezrobocia przesłaniają korzyści ze wzrostu wydajności, które pozwolą kolejnym pokoleniom cieszyć się wielokrotnie większym dobrobytem przy krótszej pracy. Keynes przewidywał wielki gospodarczy *boom* w przemyśle, wytwórstwie, rolnictwie, górnictwie i transporcie (w czym się nie pomylił) oraz skrócenie tygodnia pracy (w czym jego prognoza sprawdziła się gorzej, ale do tego wrócimy).

Jednak pesymistów nie brakowało. „Pochód maszyn skutkuje bezczynnością ludzkich rąk", donosił ten sam „New York Times" już pod koniec lat 20. I za pomocą statystyk dowodził niepokojących zjawisk. Zwiększone użycie prądu, wzrost produkcji przemysłowej oraz wydajności pracy nie idą w parze z rosnącym zatrudnieniem. A jeśli te tendencje się utrzymają, to Amerykę – i cały świat w „epoce mechanicznej" – czeka nie sezonowy, a trwały kryzys bezrobocia. „Maszyny wkroczyły w każdy kąt świata przemysłu, wypychając ludzi z fabryk" – alarmował nowojorski dziennik. Wszystko w tym materiale – od ilustracji i infografik, przez rozumowanie i przyjęte założenia, aż po konkluzje – jest głęboko współczesne.

Nawet spory tamtych czasów były podobne do dzisiejszych. W 1940 r. prezydent MIT, czołowej technicznej uczelni w USA, miał posprzeczać się z prezydentem Rooseveltem o kwestię wpływu maszyn na zatrudnienie. Spór dotyczył tego, czy – jak ogłosił jeszcze w 1940 r. przed Kongresem amerykański przy-

wódca – „nie ma sposobu, by zatrudnić nadmiar wolnych rąk do pracy, uwolnionych przez wydajność naszego przemysłu". Wkrótce potem USA przystąpiły do wojny i problem bezrobocia zniknął – w kraju nie tylko osiągnięto stan pełnego zatrudnienia, ale stworzono w ciągu zaledwie kilku lat 17 mln nowych miejsc pracy przy zwiększeniu produktywności gospodarki narodowej o 96 proc.

Wydawać się więc może, że tamten spór – jak i wiele późniejszych – wygrali optymiści.

Wolny piątek

Dziś bowiem zastanawiamy się mimo wszystko nie nad rosnącym technologicznym bezrobociem, ale jak – w zgodzie z marzeniami i niespełnionymi przewidywaniami Keynesa – wykorzystać zwiększoną wydajność dla uwolnienia ludzi od znoju.

Zrzeszające rozwinięte gospodarki OECD ogłosiło najwyższe zatrudnienie w historii. I to przy rosnących rok do roku płacach (nawet z uwzględnieniem inflacji) i podwyżce płacy minimalnej od czasów przedpandemicznych we wszystkich krajach, gdzie istnieje prawo o wynagrodzeniu minimalnym.

Nie może więc dziwić, że wracają pomysły mówiące o skróceniu czasu pracy. „Sztuczna inteligencja czyni czterodniowy tydzień pracy nieuchronnym" – orzeka BBC. „Ruch na rzecz czterodniowego tygodnia pracy nabiera tempa" – dodaje biznesowy „Forbes". A rząd Zjednoczonego Królestwa właśnie ułatwia pracownikom, którzy chcieliby pracować mniej dni w tygodniu, negocjacje z firmami.

Nieprzypadkowo tak duże zainteresowanie tym tematem obserwujemy właśnie w Wielkiej Brytanii. To właśnie tam od kilku lat można domagać się krótszego (przy tej samej liczbie obowiązków i płacy) tygodnia pracy, ale także właśnie tam zakończył się pierwszy tak udany eksperyment ze skróceniem godzin pracy w – jak powiedzielibyśmy w Polsce – „budżetówce".

W dystrykcie South Cambridgeshire przez 15 miesięcy pracownicy samorządu wykonywali 100 proc. swoich obowiązków w 80 proc. czasu – czyli o jeden dzień mniej w tygodniu. Po zakończeniu okresu próbnego – którego wyniki analizowali badacze z uniwersytetów Salfordzkiego i Cambridge – okazało się, że zmiana była bardzo korzystna. W 24 przebadanych obszarach działania samorządu zaobserwowano poprawę działania w 11 z nich, brak zmiany lub tylko niewielką zmianę w kolejnych 11, zaś pogorszenie w dwóch. Wśród głównych finansowych korzyści odnotowano też 371 tys. funtów oszczędności na kosztach zatrudnienia – okazało się bowiem, że rotacja pracowników spadła w trakcie eksperymentu o blisko 40 proc.

Wyniki z South Cambridgeshire, choć pionierskie, nie są zaskakujące. Większość firm, które realizują podobne programy pilotażowe, zgłasza później pozytywne wyniki lub wdraża skrócenie czasu pracy na stałe. W Polsce pilotaż – oparty na wolnych piątkach – realizuje choćby firma Herbapol Poznań.

Krócej, dłużej

Tyle że wbrew nadziejom Keynesa nie pracujemy krócej, bo pozwoliła nam na to większa produktywność – albo nie do końca wyłącznie dlatego. Okazuje się bowiem, że w krajach zamożnych średnia przepracowanych godzin spada w ostatnich latach i tak. Bez związku z wzrostami lub spadkami w produktywności poszczególnych gospodarek i niezależnie od tego, czy rządy lub firmy chcą wprowadzić podobne udogodnienia, czy nie.

Nad tą zagadką głowili się eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Europejskiego Banku Centralnego. Doszli do wniosku, że po części wynika to z większego udziału kobiet w rynku pracy, które częściej łączą niepełny wymiar godzin z pracą opiekuńczą i obowiązkami domowymi. Po części z utrzymywania miejsc pracy nawet w niepełnym wymiarze godzin – które, jak kalkulują firmy, opłaca się bardziej niż zwalnianie i zatrudnianie za wyższe stawki na te same stanowiska później. Jeszcze inny powód to rzekoma skłonność młodych ludzi do zaakceptowania niższych honorariów za więcej czasu dla siebie.

Ale niższa średnia przepracowanych godzin bierze się także z tego, że... zwyczajnie chcemy pracować krócej. I nie da się – do tego wniosku doszli badacze MFW – z tym wiele zrobić. Np. zachęcić za pomocą rządowych programów dopłat czy ulg podatkowych do większej liczby spędzanych w pracy godzin ludzi, którzy mają dzieci albo planują założyć rodzinę. Lepiej pozwolić im pracować krócej, ale zwiększyć liczbę ogólnie zatrudnionych w gospodarce – oferując także krótszy dzień pracy osobom starszym.

To kolejny paradoks. Pracujemy coraz krócej, ale nie dlatego, że wyręczają nas maszyny, czy dlatego, że AI uczyniło naszą pracę bardziej wydajną. Jest raczej na odwrót. To właśnie po to, byśmy byli bardziej wydajni i dali z siebie jak najwięcej w jak najkrótszym czasie, kolejne firmy i rządy decydują się skrócić ramy etatu. I to także sposób, by pracując krócej, pracować dłużej – np. po siedemdziesiątce. Co może być w świetle opisywanych wyżej zmian i tak konieczne.

Brudny sekret

Zarazem sztuczna inteligencja – czy raczej zaawansowane algorytmy predykcyjne i modele językowe, bo to je mamy na myśli, mówiąc o AI – faktycznie zmieni świat pracy. Nie chodzi jednak o to, że jutro zastąpi nas przy biurku robot, a pojutrze zniknie praca kierowców, kelnerów i księgowych. AI w świat globalnych podziałów wprowadzi... jeszcze więcej nierówności. Tak przynajmniej wynika z najnowszej analizy badaczy z Banku Rozliczeń Międzynarodowych (BIS).

Giulio Cornelli, Jon Frost i Saurabh Mishra spróbowali oszacować wpływ wdrażania narzędzi AI na nierówności ekonomiczne i rynek pracy. Doszli do wniosku, że inwestycje w ten sektor zwiększają dochody najlepiej zarabiających i tworzą więcej miejsc pracy dla specjalistów, zarazem uderzając w mniej wykwalifikowanych pracowników, np. ograniczając ich udział w podziale zysków z implementacji tych nowych technologii.

To, co badacze wykazali na podstawie danych i modelu, dziennikarze i aktywiści podkreślają w tekstach i apelach. Aby AI – choćby algorytmy „rozpoznające" konkretne obrazy, miejsca czy trasy – mogła działać dobrze, potrzebuje tysięcy godzin niskopłatnej, powtarzalnej i rutynowej pracy. Za wieloma modelami rzekomo napędzanych „sztuczną inteligencją" usług stoją anonimowi ludzie. Jak w „zautomatyzowanej" restauracji typu fast-food, gdzie jedzenie przygotowują pracownicy ukryci za ścianą, aby nie było ich widać. ↦

Delegowanie taniej i energochłonnej pracy na ludzi jest opłacalne oczywiście tylko wówczas, gdy wykonuje się ją nie w centrali w Szwecji czy USA, ale w najbiedniejszych regionach świata. Tam, gdzie energia elektryczna i ludzkie życie są dobrem tanim. I choć mało kto o tym wie i się nad tym zastanawia, popularnym miejscem do „rekrutowania" osób wykonujących pracę „uczenia" algorytmów są obozy dla uchodźców, np. wokół kenijskiego Dadaab czy libańska Szatila.

„Ciasne i duszne baraki pełne splątanych kabli i nieosłoniętych przewodów są jaskrawym przeciwieństwem dla niebiańskich kampusów Doliny Krzemowej, w których urzędują nowi panowie naszego świata (...), ale właśnie to tam praca ofiar globalnych katastrof napędza cyfrową rewolucję" – pisał Phil Jones, autor książki „Work Without the Worker: Labour in the Age of Platform Capitalism".

AI nie wypiera ludzi z miejsc pracy aż tak wprost, jak niedawno nam się wydawało. Jak zwrócił uwagę w eseju „Brudny sekret sztucznej inteligencji" krytyk technologii Paris Marx, dzieje się coś odmiennego. W ciągu ostatniej dekady, gdy autonomiczne pojazdy miały rzekomo zastąpić człowieka za kierownicą, rzeczywiście wdrożono zaawansowane algorytmy w dziedzinie transportu i logistyki. Lecz nie po to, żeby człowieka zastąpić, ale by go jeszcze lepiej nadzorować. Dzięki nim firmy mogą kontrolować każdy krok, ruch ręką i oddech magazyniera, narzucać jeszcze bardziej wyśrubowane normy kierowcom i kurierom, optymalizować obrót towarami na globalną skalę. Co tworzy presję cenową na małych sklepikarzy, lokalnych dostawców i firmy, które nie są w stanie dostosować się do tego typu handlu – gdy upadną, ich miejsce chętnie przejmą kolejne wielkie molochy i ich paczkomaty oraz napędzane „sztuczną inteligencją" procesy.

Kto wygra

Jeszcze gorzej jest w sektorze publicznym, gdzie – to z kolei powiedziała Cathy O'Neil, autorka „Broni matematycznej zagłady" – wdrażanie algorytmów przyjmuje postać transferu finansowego z państwowej kasy do miliarderów z Doliny Krzemowej.

„Algorytmy czy sztuczna inteligencja sprawdzają się doskonale w jednym zadaniu, czyli krótkoterminowym rozwiązywaniu problemów budżetowych narzucanych przez neoliberalizm i politykę oszczędności. Presja na to, by ciąć budżety, narasta – aż dochodzimy do momentu, w którym uznajemy ludzi za zbędny koszt. Mówimy o problemie przepływów w całej globalnej gospodarce. Ludzie tracą pracę w dziedzinie, w której byli wyspecjalizowani. (...) A kto na tym zyskuje? Ci, którzy zastępują to skomercjalizowanym, fatalnym, wadliwym modelem zastępczym. Dolina Krzemowa" – tłumaczyła w wywiadzie dla Fundacji Panoptykon.

Co więcej, o czym O'Neil ostrzegała już blisko dekadę temu: wdrażanie algorytmów do oceny pracy człowieka – np. w systemie oświaty – potrafi być tak nieefektywne, że generuje więcej strat niż pożytku. W tym także ludzkich nieszczęść – zwolnień czy przerwanych karier – których nie da się policzyć w arkuszu i których skutków dla choćby jakości kształcenia nie wyrównają pozorne oszczędności pozyskane z „zastąpienia człowieka robotem".

Nierówności wypływające z inwestycji w AI, o których piszą autorzy badania Banku Rozliczeń Międzynarodowych, mają właśnie charakter podobnego transferu na globalną skalę. Ktoś pracuje w biednym kraju, spalając „brudną" węglową energię, aby napędzać model komputerowy, który ma obciąć koszty działania firm czy instytucji publicznych w zamożnych krajach, generując nadwyżki, które trafią do jeszcze bogatszych superelit globalnej cyfrowej rewolucji. Nawet więźniów – a być może w dalszej kolejności dzieci i staruszków – można zaprząc do klikania w aplikacje. I to nie dystopia, bo naprawdę takie eksperymenty już mają miejsce.

Jedno o pracy przyszłości jest pewne. Będzie miała swoich zwycięzców i przegranych.

© JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TYGODNIK POWSZECHNY

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH X6 // JACEK TARAN

My, dziennikarki „Tygodnika Powszechnego”:

Żeby naprawiać świat, wpierw trzeba spróbować go zrozumieć. Dlatego właśnie piszemy.

Dla kogo to robimy?
Dla ludzi otwartych na to, co trudne i nieoczywiste.
Dla zmęczonych jałowymi sporami politycznymi.
Dla wrażliwych na ludzką krzywdę – bo wierzymy, że tylko takie dziennikarstwo ma sens.

Na zdjęciu:
Anna Łabuszewska,
Ewelina Burda,
Anna Golus, Urszula Honek,
Anna Goc,
Katarzyna Kubisiowska
i Monika Ochędowska

t/

Twoje wsparcie dla Fundacji Tygodnika Powszechnego pozwala zmieniać świat. Naprawdę

powszech.net/dar

» **KRS 0000 125 605**

OPP

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Biblijny kryminał

Z dala od osiedli ludzkich natrafiono na zwłoki. Zamiast wezwać policję, zawiadomiono Sąd Najwyższy. Delegacja sędziów nadzorowała skrupulatne pomiary odległości: od nozdrzy denata do najbliższych miast. Kiedy już ustalono, które z nich leży najbliżej miejsca zbrodni, jego mieszkańcy zorganizowali zrzutkę. Za zebrane pieniądze kupiono roczną krowę. Władze miasta razem z lokalnymi seniorami przyprowadziły zwierzę na nieużytki, w pobliżu których przepływała rzeka. Złamano krowie kark. Potem władze i seniorzy umyli w tej rzece ręce.

To nie jest zalążek powieści kryminalnej – chyba że jakiś autor pokusi się o sfabularyzowanie biblijnego rytuału (zob. Pwt 21, 1-9). Uzupełniłam go nieco o przepisy wykonawcze zaczerpnięte z Talmudu i z kodeksu prawa żydowskiego. Ale to jeszcze nie koniec ceremonii. Starsi miasta, które leży najbliżej miejsca zbrodni, po umyciu rąk deklarują: „Ręce nasze nie przelały krwi tej, a oczy nasze nie widziały!" (wers 7; Cylkow). Następnie zgromadzeni tam kapłani błagają Najwyższego: „Wybacz ludowi Twemu, Israelowi, któryś wyzwolił Wiekuisty, a nie dopuszczaj krwi niewinnej wpośród ludu Twego, Israela, i niechaj wybaczoną im będzie ta krew!" (wers 8).

Rabini w pierwszej części Talmudu komentują deklarację starszyzny: czy ktokolwiek mógłby podejrzewać, że to oni dopuścili się morderstwa? Raczej chcą przez to powiedzieć: „Nie jest tak, że przyszedł do nas, a my go odprawiliśmy, albo że zobaczyliśmy go i pozwoliliśmy mu odejść". Nie do końca wiadomo, kogo mają na myśli mówiąc, że „przyszedł", i to roztrząsa już druga część. Talmud Jerozolimski odnotowuje dwa stanowiska: babilońskich mędrców oraz ich krajowych odpowiedników. W opinii babilońskiej chodzi o ofiarę: nie było tak, że przyszedł do nas, a myśmy go puścili bez prowiantu, ani że widzieliśmy go i pozwoliliśmy mu odejść bez eskorty. W konkurencyjnym stanowisku „przyszedł" morderca: nie było tak, że trafił w nasze ręce, a myśmy go puścili bez egzekucji, ani że widzieliśmy go i pozwoliliśmy mu odejść, nie stosując w jego przypadku standardowych procedur.

Tak czy inaczej, ta ceremonia ma nas otrzeźwić i odświeżyć w pamięci dwie kwestie: źle działający wymiar sprawiedliwości przyczynia się do rozlewu krwi. A także: odpowiedzialność za bezbronne jednostki spoczywa na społeczności. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Boga nie poganiajmy

„Bracia moi! Jaki z tego pożytek, jeśli ktoś mówi, że wierzy, a nie potwierdza tego czynami? Czy taka wiara może go zbawić? Gdyby więc twój brat lub siostra byli nadzy lub głodni, a ty byś im powiedział: Idźcie w pokoju, ogrzejcie się i posilcie, lecz nie dałbyś im tego, czego potrzebuje ciało, jakąż będą mieli z tego korzyść? Tak więc wiara, która nie jest potwierdzona czynami, martwa jest sama w sobie". Wynika z tego, że o prawdziwości wiary, czyli więzi łączącej człowieka z Bogiem, świadczy przede wszystkim nastawienie do ludzi. Nawet wtedy, gdy pełni życzliwości dla przyjaciół i wrogów modlimy się dla nich o „Boże błogosławieństwo i potrzebne im łaski", to jeszcze nie znaczy, że odnoszą oni „z tego korzyść". Przy rachunku sumienia warto o tym pamiętać.

Owszem, po otrzymaniu rozgrzeszenia można się poczuć „lżej na duszy" i mniemać, że między nami i Bogiem wszystko jest już w porządku, ale z tego nie musi wynikać, że również z ludźmi jest w porządku. Zgrzeszę, to się wyspowiadam i jest OK. Przy takim postawieniu sprawy można pomyśleć, że wynaleźliśmy spowiedź dla własnej wygody. Po to, by zrzucić z siebie obowiązek naprawienia wyrządzonych krzywd. Tak myślących Jezus ostrzega: „Co jest łatwiejsze? Powiedzieć sparaliżowanemu: Twoje grzechy są odpuszczone, czy też rozkazać: Wstań, weź swoje nosze i chodź?". Co prawda ten i ów zapominając, że nie jest Jednorodzonym Synem Boży, próbuje nawet wskrzeszać umarłych, kiedy tymczasem chodzi o to, by nie zastępować działania pobożnym „paplaniem" i nie wyręczać się Bogiem.

Przykładem takiego działania bywa modlitwa powszechna – swoisty koncert życzeń, podszyty wezwaniem: „Jezu, ty się tym zajmij!". Pięknie, ale to nie Bóg, tylko my mamy wziąć się do roboty. Bóg nie siedzi bezczynnie gdzieś tam i nie działa dopiero wtedy, gdy go o to grzecznie poprosimy. Nie zjawia się na zaproszenie – on Jest. Szukajmy go nie ponad, ale wewnątrz dziejącej się rzeczywistości.

„Wy jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią" – mówi Paweł Apostoł. Wierzyć Jezusowi nie znaczy „mrużyć oczy", ale je jak najszerzej otwierać i dostrzegać „Boga we wszystkim". A zwłaszcza tam, gdzie, jak myślimy, na pewno Go nie powinno być. Niebo i ziemia to dwie strony tej tutaj rzeczywistości. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

Ćwiczyć trzeba z cierpliwością i wielkodusznością. Lecz podejmując długotrwały trud, zyskasz wolność od pragnienia.

TALAZJUSZ Z LIBII

Niemożliwe, by w duszy jednocześnie zamieszkało szczęście i tęsknota za tym, czego nie ma.

EPIKTET

Wybrał PIOTR SIKORA

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Zlecenie dla grzesznika

Niedawno dzięki liturgii przeżywaliśmy swoje powołanie. Taka jest jej siła, że nie przypomina ona tylko zdarzeń z odległej przeszłości – ona zawsze czyni nas ich uczestnikami. W tym właśnie sensie uczestniczyliśmy wszyscy w powołaniu Szymona, Andrzeja, Jana i Jakuba (zob. Łk 5, 1-11). Ponieważ w tym wydarzeniu Jezus nie powołuje ich jeszcze na apostołów (to wydarzy się dopiero w następnym rozdziale). Zbiera pierwszy Kościół.

Jak on powstaje? Odpowiedź brzmi: z posłuszeństwa Słowu Jezusa („na Twoje Słowo...”). To Słowo jednak nie jest zgoła oczywiste. „Wypłyń na głębię i zarzućcie sieci na połów” – nikt tego nie robi: nie łowi się ryb w południe, a już z całą pewnością nie na głębi. To wbrew całemu rybackiemu doświadczeniu Szymona.

W spotkaniu nie chodzi wszakże o łowienie ryb! Gdy dopłynęli do brzegu, Jezus mówi do Szymona: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił”. Otwiera przed nim (powtórzmy: jako przed uczniem, jeszcze nie apostołem) przestrzeń misji. Powołując go do wiary, w tym samym momencie zleca mu zadanie i odpowiedzialność za innych.

Nie przeszkadza Mu w tym wyznanie, jakie minutę temu wypowiedział Szymon: „Wyjdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiekiem grzesznym”. Słysząc to, Jezus nie mówi: „Ależ skąd! Nie jesteś!”. Nawet nie mówi: „Odpuszczają ci się twoje grzechy...”. Nie! Jezus zleca Szymonowi misję. Dokładnie tak samo, jak trzy lata później, nad tym samym Jeziorem, powie mu: „Paś owce moje”, „Paś baranki moje” (zob. J 21, 15-17). Po tym, jak Szymon trzykrotnie się Go wyparł w czasie Jego męki.

Czy to w ogóle ma prawo zadziałać? Zlecić ciężkiemu grzesznikowi tak poważne zadania? Skoro zawiódł, dopuścił się rzeczy wręcz nieodpuszczalnych. O nie! My tak nie robimy. To skandaliczne i gorszące!

A tymczasem, czy jeśli nie zlecimy grzesznikowi misji i odpowiedzialności, czy mamy prawo mówić, że mu wybaczyliśmy?

I po drugie, czy można posłać w świat i Kościół kogoś, kto nigdy nie zgrzeszył, nie zawinił, nie pomylił się? I ma poczucie własnej niezachwianej sprawiedliwości i nieomylności? Czy można posłać kogoś, kto nie ma rzeczywistego doświadczenia nawrócenia?

Można. Ale wtedy trzeba się bardzo modlić za ludzi, których będzie chciał prowadzić... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 IX)

24. niedziela zwykła: Iz 50, 5-9a; Ps 116; Jk 2, 14-18; Mk 8, 27-35;
Poniedziałek: 1 Kor 11, 17-26. 33; Ps 40; Łk 7, 1-10;
Wtorek: 1 Kor 12, 12-14. 27-31a; Ps 100; Łk 7, 11-17;
Środa: Mdr 4, 7-17 lub 1 J 2, 12-17; Ps 148; Łk 2, 41-52;
Czwartek: 1 Kor 15, 1-11; Ps 118; Łk 7, 36-50;
Piątek: 1 Kor 15, 12-20; Ps 17; Łk 8, 1-3;
Sobota: Ef 4, 1-7. 11-13; Ps 19; Mt 9, 9-13;
25. niedziela zwykła: Mdr 2, 12. 17-20; Ps 54; Jk 3, 16 – 4, 3; Mk 9, 30-37.

KRAJ

GWIAZDY JEDNEGO SEZONU

Duża rotacja wśród polskich delegatów w Brukseli służyć może zbieraniu doświadczeń życiowych oraz ich kieszeniom, ale niekoniecznie jest korzystna dla Polski. Dowodzą tego pierwsze tygodnie funkcjonowania europarlamentu obecnej kadencji.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

5 czerwca 2024 r. w TVP odbywa się debata kandydatów wszystkich komitetów do Parlamentu Europejskiego. Na zakończenie prowadzące zaskakują zebranych, prosząc po angielsku, by pożegnali się z widzami – swoimi wyborcami. Tylko kandydat KO Borys Budka odpowiada w języku Szekspira. Przedstawiciel komitetu Polexit Stanisław Żółtek mówi, że jesteśmy w Polsce, więc powinniśmy mówić po polsku. Kandydatka PiS i była premier Beata Szydło przekonuje zaś, że w Parlamencie Europejskim języki wszystkich krajów członkowskich są równoprawne i apeluje, by nie wstydzić się języka polskiego. Problem w tym, że załatwianie wielu spraw i budowanie sojuszy nie odbywa się na sali obrad w Brukseli i Strasburgu, podczas tłumaczonych obrad, ale w kuluarach.

W tym roku mija 20 lat, odkąd Polacy mogą wybierać europosłów. W tym czasie przez PE przewinęło się około dwustu, spora część była tam przez kilka kadencji. Tyle że tych naprawdę wartościowych, których praca w europarlamencie znaczyła coś konkretnego, mieliśmy niewielu.

Jeden z byłych europosłów przyznaje, że już docierają do niego sygnały o słabości obecnej polskiej delegacji. Na jakość naszej grupy w Europejskiej Partii Ludowej (EPL) miał narzekać osobiście Andrzej Halicki; niezbyt zadowoleni ze swojej reprezentacji są też liderzy grupy PiS, należącej do frakcji Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (EKR). Z 27 europosłów tej partii odpadło aż 18, i to tacy doświadczeni ludzie jak Jacek Saryusz-Wolski czy Anna Fotyga. Z 20 obecnych 11 to tzw. pierwszaki. W tym Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, którzy znaleźli się w Brukseli tylko dlatego, by PiS mógł wyjść z twarzą po wygaszeniu ich mandatów w Sejmie.

Przerwana edukacja

– Trudno się dziwić krytyce, jakości szkodzi ciągła rotacja i przypadkowy dobór za jakieś krajowe zasługi. Z wyjątkiem ludzi wybitnych, nie stanie się dobrym europosłem ktoś, kto jest jedną kadencję. A jak poseł jest inteligentny, pracowity, to w kolejnej kadencji może

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Maciej Wąsik z zaświadczeniem o wyborze na posła Parlamentu Europejskiego. Warszawa, 20 czerwca 2024 r.

już coś znaczyć – mówi wieloletni europarlamentarzysta. Obecny poseł PSL Andrzej Grzyb (spędził trzy kadencje w PE) przyznaje, że każdy nowy europarlamentarzysta co najmniej pierwszą połowę kadencji, czyli dwa i pół roku, musi poświęcić na naukę.

– Praca w PE różni się tym od pracy w parlamentach krajowych, że od momentu zaangażowania się w jakąś sprawę do finału często mijają nawet lata. Jest więc tak, że ktoś rozpoczyna jakąś robotę, ale nie dane mu jest dotrwać do jej końca. Długi i skomplikowany proces podejmowania decyzji trochę też osłabia motywację – przyznaje Zbigniew Kuźmiuk, obecnie poseł PiS, a przez trzy kadencje europoseł, najpierw PSL, potem PiS.

– To jest jak prowadzenie samochodu osobowego i autobusu. To jednak nie jest to samo – mówi inny doświadczony europarlamentarzysta PiS. – Jest szereg nowych elementów, których trzeba się nauczyć, a to trwa.

Debiutant Dariusz Joński z KO, który niespodziewanie porzucił Sejm i komisję, w której rozliczał poprzednią władzę, uważa, że PE różni się od polskiego Sejmu na korzyść pod trzema względami. Ma bardzo doświadczoną, pomocną i profesjonalną obsługę, nie ma problemu z miejscem do pracy, a działalność legislacyjna jest doskonale zorganizowana. – Nie do pomyślenia są sytuacje, codzienne w polskim Sejmie, że dzień przed debatą nad jakąś ustawą dzwoni kolega poseł z pytaniem, czy by się nie wzięło jakiejś ustawy do analizy. A o czym ona jest? Przeczytasz sobie w uzasadnieniu – opowiada Joński. W PE, jak dodaje, żeby zająć się jakąś ustawą, przechodzi się niemal wysłuchanie publiczne w jej tematyce.

53 europosłów z Polski zostało wybranych do PE 9 czerwca 2024 r. Jednak w pierwszych miesiącach po wyborze były kłopoty z obsadą wszystkich 21 komisji, nawet tak ważnych jak komisja rolnictwa, która decyduje o jednej trzeciej unijnego budżetu. W końcu zgodzili się do niej wejść Krzysztof Hetman z PSL (EPL) i Waldemar Buda z PiS (EKR). Nadal nie ma żadnych polskich europosłów w komisji monetarnej, komisji rybołówstwa i podkomisji ds. podatków. Natomiast bardzo wielu europosłów zapisało się do komisji spraw zagranicznych. Są też tacy europosłowie, jak Marcin Kierwiński z KO, którzy zasiadają tylko w jednej podkomisji. Jak można usłyszeć, jest on nadal sekretarzem generalnym PO i ma liczne obowiązki partyjne w kraju. Trochę to jednak niepoważne wobec wyborców.

– W składzie polskiej delegacji mamy niewielu polityków, którzy posiadają dłuższe doświadczenie niż jednej kadencji. Bywa, że ci nowi upierają się np. przy członkostwie w jakichś komisjach, choć nie bardzo nawet wiedzą, na czym polega ta praca – mówi doświadczony europoseł z KO.

To jest o tyle paradoks, że Polska po wyborach w 2024 r. zyskała. Ma drugą po Niemczech frakcję narodową w ramach EPL. Dzięki temu udało się zapewnić dla Borysa Budki stanowisko szefa bardzo ważnej komisji przemysłu, badań naukowych i energii. Tyle że Budka też jest debiutantem i nie wiadomo, jak sobie poradzi.

Większy potencjał niż siła

Polska ma obecnie trzy stanowiska wiceprzewodniczących komisji, a także dwie bardzo ważne funkcje koordynatorów – to ludzie, którzy reprezentują poszczególne frakcje polityczne w komisjach i mają często więcej do powiedzenia niż przewodniczący komisji, bo np. decydują, czym komisje będą się zajmować.

Zdaniem doświadczonych europosłów, z racji siły naszej delegacji moglibyśmy mieć więcej stanowisk koordynatorów. ↦

Wszystkie stanowiska w PE (od przewodniczącego, jego zastępców, szefów komisji, ich zastępców, koordynatorów, szefów frakcji) rozdzielane są proporcjonalnie, na podstawie liczby posłów poszczególnych frakcji, a w ramach frakcji – liczby posłów z każdego kraju. Jednak, jak przyznaje anonimowo doświadczony europoseł, nowi nie do końca wiedzą, czym zajmują się koordynatorzy, więc nie walczą o te stanowiska.

Częste zmiany składu polskiej delegacji wynikają z silnej presji w partiach. Ci, którzy są dłużej w PE, nawet najlepsi, wywołują zawiść u kolegów partyjnych – i trudno się dziwić. Każdy z eurodeputowanych otrzymuje obecnie wynagrodzenie w wysokości 10 075 euro brutto, co po odjęciu unijnego podatku i składki ubezpieczeniowej daje ok. 7850 euro, tj. ok. 34 tys. zł miesięcznie. Są jeszcze diety – blisko 5 tys. euro każdy europoseł ma na prowadzenie biura, a dodatkowo 350 euro można dostać, podpisując listę obecności na posiedzeniach gremiów PE.

Strategia typowania kandydatów w różnych krajach jest odmienna. Niemcy stawiają na specjalizację w PE, ich europosłowie są nimi przez wiele kadencji (choć w ich przypadku nie ma presji materialnej, bo pensje europosłów i deputowanych do Bundestagu są takie same). Nic dziwnego więc, że niemieccy europarlamentarzyści są najwyżej oceniani i stanowią silne lobby swego kraju. Na drugim biegunie są Włosi, którzy mają osobliwą ordynację – u nich wyborcy sami wpisują nazwiska kandydatów na listach, więc do PE dostaje się wiele przypadkowych osób.

W Polsce o tym, kto znajdzie się na tzw. miejscach biorących list, decydują wewnątrzpartyjne rozgrywki. W tym roku wyeliminowały one w PiS tak doświadczonych europosłów jak Jacek Saryusz-Wolski, Anna Fotyga, Zdzisław Krasnodębski czy Ryszard Legutko. Pod partyjną presją ze startu zrezygnowali też Danuta Hübner, Jan Olbrycht czy Jerzy Buzek, bardzo aktywni i cenieni. Na listach lewicy nie znaleziono miejsca dla Leszka Millera, znalazło się za to zarówno dla mało aktywnego Roberta Biedronia, jak i jego partnera życiowego Krzysztofa Śmiszka.

Doświadczeni europarlamentarzyści przekonują, że choć prace nad aktami prawnymi trwają bardzo długo, to w procesie stanowienia prawa PE jest jedną z najbardziej transparentnych instytucji. W przeciwieństwie do Komisji Europejskiej czy Rady Europejskiej, gdzie prawo stanowione jest w sposób znacznie mniej jasny, choć bywa, że wprowadzenie drobnego zapisu skutkuje miliardowymi korzyściami (lub stratami) dla branż i krajów.

Angielski na lotnisku

By w PE móc skutecznie działać, trzeba mieć określony zestaw cech: przede wszystkim posiadać dobre rozeznanie polityczne, co od kogo zależy, a także mieć zdolności dyplomatyczne. Bardzo dobrą okazją do nawiązywania nowych kontaktów jest choćby zwykła podróż samochodem z lotniska, bo europosłowie są wożeni stamtąd po kilku. Jeśli ma się dar zjednywania ludzi, w czasie trwającej pół godziny podróży można nawiązać ciekawe znajomości. Właśnie tu przydaje się dobra znajomość angielskiego, który mimo wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii jest podstawowym językiem porozumiewania się.

Europoseł może też zaistnieć, gdy stanie się ekspertem w jakiejś wąskiej dziedzinie, w czym może mu pomóc możliwość poszerzania wiedzy i zatrudniania asystentów. Ci ostatni to często klucz do sukcesu. Dariusz Joński przyznaje, że w komisji transportu, gdzie jest zastępcą koordynatora EPL i zdążył już przeforsować dwie poprawki, zatrudnił bardzo doświadczoną asystentkę, znającą od podszewki Parlament Europejski.

Ważnym elementem pracy w PE są skomplikowane lojalności – po pierwsze wobec własnej frakcji parlamentarnej, a po drugie – wobec własnego kraju. Można jednak powiedzieć, że w europarlamencie nie ma klasycznej opozycji i koalicji rządzącej. Czasem w grę wchodzą też sprawy personalne. To np. przypadek Beaty Szydło ze sceptycznego wobec UE PiS, która w 2019 r. nie została wybrana na przewodniczącą komisji ds. zatrudnienia, choć stanowisko to z klucza przypadało przedstawicielowi EKR.

Według doświadczonych europarlamentarzystów mniej więcej 70 proc. głosowań odbywa się według lojalności frakcyjnej, a w 30 proc. przypadków w grupach dochodzi do spięć po linii narodowościowej. – Walczyliśmy o dyrektywy w sprawie emisji metanu, by nie zarżnąć polskich kopalni, i wtedy wszyscy Polacy we wszystkich frakcjach lobbowali u siebie i głosowali przeciw. Wszyscy Holendrzy zaś, wrażliwi na punkcie czystego powietrza, byli za – opowiada doświadczony europarlamentarzysta.

Z tych powodów aktywność europosłów można mierzyć w różny sposób. Jeśli oceniać ją częstotliwością zabierania głosu, to w ubiegłej kadencji do czołówki należeli Ewa Kopacz, Joachim Brudziński, Łukasz Kohut, Anna Fotyga, Bogdan Rzońca, Ryszard Czarnecki i Jadwiga Wiśniewska. W dużej mierze były to jednak wystąpienia na potrzeby polityki krajowej. I dlatego doświadczeni europosłowie wymieniają nazwiska kolegów, którzy nie byli widoczni, choć działali w kluczowych miejscach. Najczęściej – i to niezależnie od afiliacji partyjnej – jako pozytywny przykład podawany jest Jan Olbrycht z PO, mało aktywny w Polsce.

– Skuteczny europoseł to często człowiek nieznany szerzej w swoim kraju. Może tak właśnie powinno być – mówi wieloletni europoseł.

Zdzisław Krasnodębski z PiS, dzięki bardzo dobrym kontaktom wśród europosłów niemieckich różnych frakcji, miał szansę wiele wynegocjować w ramach swojej pracy w komisji energii. Dzięki temu doprowadził do szeregu kompromisów, chroniących polskie interesy. Dziś już nie ma go w Brukseli.

Bezcenni doświadczeni

Na wysoką pozycję mogą liczyć też ci, którzy pełnili w strukturach unijnych jakieś ważne funkcje. Europarlamentarzyści niezależnie od przynależności wymieniają w tym kontekście byłych komisarzy – Janusza Lewandowskiego czy Danutę Hübner, a nawet Janusza Wojciechowskiego, który ostatecznie skłócił się z Jarosławem Kaczyńskim o Zielony Ład i protesty rolników. Był on najpierw europosłem, potem zasiadał w Europej-

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

skim Trybunale Obrachunkowym, by w końcu zostać komisarzem ds. rolnictwa, gdzie udawało mu się przez długi czas działać w zgodzie z polskimi interesami, co przyznaje Zbigniew Kuźmiuk.

Bardzo dobrą pozycję miał też Jerzy Buzek, który przez 20 lat był europosłem, a w latach 2009-12 przewodniczącym Parlamentu Europejskiego (to jednak funkcja dająca mniej uprawnień niż rola marszałka w polskim Sejmie). Jako pracowici i skuteczni wymieniani są również Andrzej Halicki, obecnie wiceszef frakcji EPL, czy Bartosz Arłukowicz, zajmujący się sprawami zdrowia, choć ten ostatni nie był najlepszy w kwestiach językowych. Przedstawiciele różnych ugrupowań zgodnie jako wyróżniającego się przez lata wymieniają Bogusława Liberadzkiego z lewicy, działającego w komisji transportu.

Jeśli chodzi o negatywne przykłady, do dziś podawane są nazwiska Zbigniewa Ziobry czy Jacka Kurskiego, którzy nawet nie starali się wgryźć w pracę PE. – To byli typowi podpisywacze list. Brali fortunę, a prowadzili politykę w kraju, nie w UE. Niestety do dziś jest sporo takich europosłów, którzy ani nie nauczyli się języka, ani procedur, nie wiedzieliby nawet, jak złożyć poprawkę na komisji – mówi wieloletni europoseł.

Do tych mniej aktywnych zaliczana była też Beata Szydło. Natomiast znany ze spektakularnych wystąpień na sali plenarnej Patryk Jaki starał się również pracować merytorycznie. Początkowo miał też problem z językiem, ale z czasem stosunkowo dobrze nauczył się angielskiego. To rzadkość. Europosłowie niejednokrotnie starają się zaistnieć w sposób zauważalny głównie dla krajowych wyborców, decydując się na sali plenarnej na przemówienia pod publiczkę, po polsku. – To są tak zwane jednominutówki. Wygłasza się tyradę w języku narodowym, ale mało kto to rozumie, bo tłumaczenia nie są bezpośrednie, tylko na angielski, a potem z angielskiego np. na grecki. Taki poseł jest zwykle na sali trzy minuty, poszczeka przez minutę i wychodzi z sali, często nie zostaje nawet na debacie, w której zabiera głos. Nic z tego nie wynika poza tym, że może trochę przybliża Parlament Europejski do polskich wyborców, bo to dobrze się sprzedaje w naszej telewizji – opowiada doświadczony europarlamentarzysta.

Jakości szkodzi ciągła rotacja i przypadkowy dobór, za jakieś krajowe zasługi. Z wyjątkiem ludzi wybitnych, **nie stanie się dobrym europosłem ktoś, kto jest tu jedną kadencję.**

W takich wystąpieniach bryluje np. Dominik Tarczyński z PiS, który w podobny sposób działał w polskim Sejmie. Zapamiętane zostało zwłaszcza jego wystąpienie ze stycznia 2023 r., gdy po wybuchu afery korupcyjnej w PE grzmiał, że należy oczekiwać wycofania wszystkich krytycznych rezolucji pod adresem Polski, przyjętych przez łapówkarzy.

Krótsza droga do zaistnienia

Europosłowie PiS przekonują jednak, że nie zawsze przemówienia podczas posiedzeń plenarnych są bez znaczenia. Takie wystąpienia były np. jedną z głównych form aktywności byłego szefa grupy PiS, prof. Ryszarda Legutki. Zwłaszcza dwa jego wystąpienia zostały zapamiętane. To, gdy w 2015 r., w obecności kanclerz Niemiec Angeli Merkel i prezydenta Francji François Hollande'a pouczał, że nie może być tak, że w liczącej 28 państw UE dwa państwa decydują o wszystkim (delegaci z wielu krajów czuli to samo, co Legutko). A także to z 2022 r., gdy na uroczystym posiedzeniu z okazji 70-lecia przekonywał, że Parlament Europejski „stał się narzędziem lewicy do narzucania przez nią swojego monopolu z jej zaciekłą nietolerancją wobec wszelkich odmiennych poglądów".

Niektórzy europosłowie wybierali jeszcze krótszą drogę do zaistnienia. W każdej kadencji PE miał swoich *enfants terribles*, którymi na ogół byli przedstawiciele najmniejszych i najmniej wpływowych frakcji. Na pierwszym posiedzeniu w obecnej kadencji europosłanka Ewa Zajączkowska-Hernik z Konfederacji ostro zaatakowała szefową KE Ursulę von der Leyen i podarła kartki z napisem „Zielony Ład".

W przeszłości kimś takim był Janusz Korwin-Mikke, który swoje europosłowanie w 2014 r. zaczął od spoliczkowania innego europosła Michała Boniego (za ukrycie faktu współpracy z SB), a w czasie trwania kadencji miał kilka bardzo kontrowersyjnych wystąpień, np. w 2017 r. stwierdził, że kobiety muszą zarabiać mniej, bo są mniej inteligentne. Wreszcie w 2018 r. zrzekł się mandatu przed upływem kadencji, twierdząc, że zasiadanie w PE to strata czasu.

Niektórzy europosłowie dawali znać o swoim istnieniu w jeszcze bardziej ekstrawagancki sposób – uczestnicząc w różnego rodzaju aferach. Często były to zresztą jedyne ślady ich aktywności, które docierały do opinii publicznej w kraju.

Jacek Protasiewicz z PO, wówczas wiceprzewodniczący PE, wdał się na początku 2014 r. w przepychankę z niemieckimi celnikami, do których miał wykrzykiwać „*Heil Hitler*". Kilku europosłów za wszelką cenę usiłowało dorobić do i tak dobrych wynagrodzeń w PE – w przypadku Jacka Kurskiego czy Ryszarda Czarneckiego kwestionowano ich rozliczenia samochodowe, zaś wielu przychodziło na posiedzenia komisji sejmowych w polskim Sejmie (czasem na krótko), by pobierać dodatkowe diety. Tak robili Joachim Brudziński, Marek Migalski czy Paweł Kowal.

Powroty do polskiego Sejmu nie mają jednak najczęściej związku z pieniędzmi, bo tu są one mniejsze. – Praca w polskim Sejmie stwarza znacznie większe możliwości wpływu na legislację i życie polityczne. Dlatego tu wróciłem – przyznaje Zbigniew Kuźmiuk. Z nieoficjalnych informacji wynika, że nie można wykluczyć powrotu do kraju także kilku obecnych europosłów, i to już po przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Mieliby oni wejść do zrekonstruowanego rządu. W tym kontekście wymieniane są nazwiska Marcina Kierwińskiego, Bogdana Zdrojewskiego, a także Dariusza Jońskiego i Michała Szczerby, choć oni sami temu zaprzeczają.

– Jeśli debiutanci, tacy jak Joński, Szczerba czy Kamila Gasiuk-Pihowicz postanowią zostać w PE, to dobrze, czegoś się nauczą. Jeśli jednak to ma być tylko jedna kadencja albo nawet nie, to chybiona inwestycja – komentuje doświadczony europarlamentarzysta KO.

Można dodać, że nie tylko chybiona inwestycja, ale też robienie sobie żartów z wyborców. © PIOTR ŚMIŁOWICZ

Obyś cudze dzieci katechizował

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Awantura o organizację lekcji religii to tylko przedsmak tego, co czeka nas za kilka miesięcy. A Kościół nie ma – poza przećwiczonym po wielokroć wznoszeniem szańców „w obronie katechezy" – pomysłu na nową sytuację.

Ministra edukacji osiągnęła nienotowany dotąd sukces na polu ekumenicznym, godny jakiejś prestiżowej nagrody. Po raz pierwszy nie tylko w III RP, ale w historii nowożytnego państwa polskiego Kościoły tak różne jak katolicki i wiele mniejszościowych wystąpiły wspólnie. Przeciw rządowi – ironizuje prof. Paweł Borecki, specjalista z zakresu prawa wyznaniowego na Wydziale Prawa i Administracji UW.

– Nie chodzi wyłącznie o Kościoły i katechetów. Przecież uczniowie chodzący na religię to dzieci podatników łożących na polską edukację – mówi Tomasz Poćwiardowski, bydgoski katecheta z 23-letnim stażem, sekretarz zarządu Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, które protestuje przeciw zmianom w organizacji lekcji religii.

„Już skończyły się czasy, które oglądaliśmy przez osiem lat, a może i czasem więcej, że to episkopat, że to biskupi pisali prawo" – powtarza, gdzie tylko może, ministra edukacji Barbara Nowacka (cytat z „Rozmowy Piaseckiego" w TVN24).

O co chodzi w trwającej od tygodni religijnej wojence na linii MEN–Kościoły?

TK Przyłębskiej swoje, MEN swoje

Poszło o rzecz relatywnie błahą: możliwość łączenia na lekcji religii dzieci z różnych klas i oddziałów. Dotąd też było to możliwe, ale tylko w sytuacji, gdy w danej klasie chęć uczęszczania na katechezę zgłosiło mniej niż siedmioro uczniów. Od 1 września można kojarzyć także grupy liczniejsze niż siedmioosobowe – byle nowo utworzona grupa nie liczyła więcej niż 28 dzieci (a w klasach 1-3 – 25). W dodatku możliwe będzie łączenie nie tylko różnych klas, ale i oddziałów – na religię będą mogły teoretycznie chodzić ze sobą dzieci np. z klasy pierwszej i trzeciej, albo czwartej i szóstej.

– To potencjalnie ogromna zmiana – mówi Tomasz Poćwiardowski. – Jest przecież jakiś program nauczania, który w ramach trzech klas, np. czwartej i szóstej, ciężko będzie spiąć. Słyszałem kontrargument, że takie sytuacje już się zdarzają, np. w nauczaniu domowym, tyle że tam mowa o kilkorgu uczniach, a tutaj będzie trzeba ogarnąć nawet dwadzieścioro ośmioro. Może się to okazać niewykonalne.

MEN odpowiada: nowe rozporządzenie to nie nakaz łączenia grup, ale stworzenie takiej możliwości. Dla dobra uczniów i organizacji lekcji w szkołach. Czy zgodne z prawem? „Minister właściwy do spraw oświaty i wychowania w porozumieniu z władzami Kościoła Katolickiego i Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego oraz innych Kościołów i związków wyznaniowych określa, w drodze rozporządzenia, warunki i sposób" organizacji lekcji religii – głosi ustawa o systemie oświaty. Problem w tym, że MEN oraz Kościoły inaczej interpretują owo „porozumienie". Barbara Nowacka powtarza, że przedstawiciele resortu spotykali się z duchownymi nie raz, uwzględniając nawet niektóre ich postulaty. Kościoły twierdzą, że zmiany im narzucono.

Prof. Borecki, którego trudno posądzać o klerykalne odchylenie (mówił np. nie tak dawno na łamach „TP", że „Kościół katolicki od 1990 r. (...) zgodnie z tzw. taktyką salami, wszędzie tam, gdzie się tylko da, usiłuje nadawać przedmiotowi nominalnie dobrowolnemu wszelkie cechy lekcji obowiązkowej"), przyznaje tu rację Kościołom. W wydanej dla Polskiej Rady Ekumenicznej ekspertyzie dowodzi, że każda zmiana zasad nauczania religii wymaga aprobaty zainteresowanych. „W świetle genezy historycznej ustawy z dnia 7 września 1991 r. o systemie oświaty (...) nie sposób ograniczać znaczenia sformułowania »w porozumieniu« tylko do wymogu zasięgnięcia przez organ prawotwórczy [ministra edukacji] opinii zainteresowanych Kościołów i innych związków wyznaniowych (...) To wymóg znacznie dalej idący, oznaczający konieczność wypracowania konsensu ze związkami wyznaniowymi" – pisze prof. Borecki.

A w rozmowie z „Tygodnikiem" dodaje: – Pani minister złamała konwenans prawotwórczy istniejący od 32 lat. Nawet minister Czarnek, będący kimś w rodzaju „psa łańcuchowego" episkopatu, nie posuwał się tak daleko. Teraz każdy Trybunał Konstytucyjny, czy to ten Julii Przyłębskiej, czy jakikolwiek inny, musi rozporządzenie obecnego ministerstwa edukacji odrzucić. Choćby tylko ze względów formalnych.

Na razie TK wydał zabezpieczenie, czyli zawiesił stosowanie rozporządzenia MEN. Resort edukacji nic sobie jednak z tego nie robi, odpowiadając, że zabezpieczenie „nie wywołuje skutków prawnych". Wojenka trwa i będzie trwała jeszcze długo (wedle prof. Boreckiego Kościoły mogą nawet – i to skutecznie – wystąpić w tej sprawie do instancji międzynarodowych, np. Trybunału w Strasburgu).

Co ciekawe jednak, na poziomie funkcjonowania szkół rozstrzygnięcie tego sporu zdaje się nie mieć większego znaczenia.

Burza dopiero przed nami

W Polsce na lekcje religii, pomimo spadkowego trendu, nadal chodzi około 80 proc. uczniów, a w podstawówkach frekwencja ta jest nawet wyższa. Oznacza to, że w przeciętnej polskiej klasie katechezę opuszcza ledwie kilka osób. Tymczasem by nowe rozporządzenie MEN mogło wywołać skutki, grupa „katechetyczna" musiałaby być zdziesiątkowana. To u nas nadal – nie licząc wielkomiejskich szkół ponadpodstawowych – rzadkość.

ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Protest katechetow przeciwko zmianom dotyczącym lekcji religii. Warszawa, sierpnień 2024 r.

Takie jest też stanowisko wielu dyrektorów szkół. Zapytana przez PAP o rozporządzenie MEN Izabela Leśniewska, prezeska Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, zdała krótką relację ze swoich rozmów z szefami placówek: „Właściwie 100 proc. odpowiedzi to: (...) »nic to kompletnie nie zmieniło na dzisiaj, na ten rok szkolny«".

Z kolei rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego, w którym zrzeszeni są niektórzy katecheci, zapewnia w rozmowie z „TP", że w tym roku szkolnym nierealna jest również inna groźba, na którą wskazują nauczyciele religii: groźba zwolnień. – W tej chwili stan zatrudnienia nie może się zmienić. Zwalnianie w polskich szkołach odbywa się do końca maja, bo do tego terminu dyrektorzy kompletują kadrę pod kątem arkusza organizacyjnego zawierającego liczbę godzin danego przedmiotu. A w maju tego roku obowiązywało jeszcze stare rozporządzenie dotyczące religii – mówi Magdalena Kaszulanis.

O ile jednak obecne rozporządzenie MEN nie wpłynie na szkoły, kolejne – te mające wejść w życie w przyszłości – mogą dotychczasowy porządek wywrócić do góry nogami. W tym sensie trwająca obecnie burza wokół organizacji katechezy stanowi tylko przedsmak tego, co czeka nas w ciągu kilku miesięcy. Chodzi głównie o mającą obowiązywać od września 2025 roku redukcję lekcji religii z dwóch tygodniowo do jednej.

Dyrektorzy już wiosną przyszłego roku mogą zareagować na nowe przepisy zwolnieniami.

Jaki los spotka szkolną katechezę i nauczycieli?

Czy księża ustąpią świeckim

– Oferujemy pomoc tym katechetom, którzy są naszymi członkami – deklaruje Magdalena Kaszulanis z ZNP. – Będziemy starali się wypracować idealne rozwiązanie w każdym pojedynczym przypadku, bo jako Związek mamy prawo opiniować arkusze organizacyjne na poziomie konkretnej szkoły – dodaje, przyznając jednak, że w największej nauczycielskiej centrali związkowej w Polsce nie ma wielu nauczycieli religii.

Co z pozostałymi? W Polsce tego przedmiotu uczy niemal 30 tys. katechetów, z czego ponad 60 proc. stanowią świeccy – dla nich praca w szkole to często jedyne źródło dochodu.

– Jestem najstarszy stażem, raczej nie boję się utraty zatrudnienia, ale koledzy i koleżanki są mocno przestraszeni. Nierzadko zdarzają się małżeństwa, w których dwie osoby są katechetami – mówi Tomasz Poćwiardowski.

Co na to MEN? Barbara Nowacka powtarza, że resort nie zostawi nauczycieli bez wsparcia. Rzecznik resortu Piotr Otrębski precyzuje, że jeszcze w tym roku akademickim pojawią się bezpłatne studia podyplomowe, po których ukończeniu nauczyciele (także katecheci) będą mogli zyskać nowe specjalizacje. Chodzi m.in. o edukację zdrowotną, czyli nowy szkolny przedmiot, informatykę, niektóre przedmioty zawodowe, a także pedagogikę specjalną i wczesne wspomaganie rozwoju dzieci.

Co nowa sytuacja zmieni w życiu uczniów? Wiele mogą zyskać ci niechodzący na religię. Dotąd dobry obyczaj, polegający na umieszczaniu – nieobowiązkowej przecież – religii tylko na początku i końcu dziennego planu lekcji, był przez dyrektorów i proboszczów notorycznie łamany. Płacili za to właśnie nieuczęszczający na religię i etykę – „okienka" oznaczały często godzinną bezczynność w środku dnia. Nowe zasady wprowadzane przez MEN (i tegoroczne, i przyszłoroczne) mogą to zmienić, ułatwiając będące zwykle orką na ugorze konstruowanie planu lekcji.

Co z chodzącymi na religię? Kluczowe pytanie brzmi: którzy z pracujących obecnie katechetów pozostaną w szkołach, by spędzać ze swoimi uczniami pozostałe 45 minut religii opłacanej nadal przez państwo? Ci lepsi, bardziej zaangażowani i pomysłowi, czy może – w zgodzie ze znaną zasadą negatywnej selekcji – ci, którzy nie będą mieli na siebie pomysłu lepszego niż trwanie?

– Jest sporo katechetów, którzy mają inne kwalifikacje, i oni już często rezygnują z nauczania religii – mówi Tomasz Poćwiardowski. – To źle wróży na przyszłość: ci mogący też uczyć innych przedmiotów to często dobrzy katecheci, mający szerokie horyzonty i wykraczające poza religię spojrzenie na świat. Boję się, że właśnie tacy będą odchodzić. Polscy nauczyciele nie są przygotowywani do pracy w taki sposób.

Najwięcej znaków zapytania jest na razie przy reakcji Kościoła na nową sytuację. Czy krótka kadrowa kołdra sprawi, że katecheci-duchowni ustąpią miejsca świeckim, czy wprost przeciwnie? Czy Kościół zorganizuje drugą lekcję katechezy na własny koszt? A jeśli tak, to gdzie? Salek katechetycznych w niektórych parafiach brak, w innych są wynajmowane komercyjnie. Nowa sytuacja – choć stosunkowo łatwa do przewidzenia – zaskoczyła Kościół jak zima drogowców. A jedyną reakcją, na jaką tę instytucję na razie stać, jest przećwiczone po wielokroć wznoszenie szańców „w obronie religii".

To na niewiele się już zda. ©℗

Duma i uprzedzenia

SEAN M. HAFFEY / GETTY IMAGES

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Wyczyny paraolimpijczyków imponują milionom telewidzów. Ale na co dzień mistrzowie z niepełnosprawnościami nadal potykają się o schody. Dosłownie i w przenośni.

Oboje są tak ruchliwi, że wciąż tracę ich z oczu, choć poruszają się na wózkach, a ja podążam za nimi na własnych nogach.

Ona: – Pamiętam moją pierwszą paraolimpiadę w Rio, gdy niektórzy polscy posłowie mówili, że nie powinno się nas pokazywać w telewizji, bo nikt nas nie chce oglądać. To, co działo się na paraigrzyskach w Paryżu pokazuje, że to nieprawda. Atmosfera była megapozytywna. W samej wiosce i na stadionie. Tłumy widzów na basenie, na kortach, na stadionie. Wiwatowały, dawały energię głowie i ciału.

On, który był na paraigrzyskach w Tokio, trzy lata temu podczas pandemii, także jest pod wrażeniem euforii kibiców w stolicy Francji. – Na basenie niosła mnie obecność ludzi. To było wielkie święto.

Mówię sobie: „chapeau bas"

Ona – czyli Lucyna Kornobys, rocznik '78, dziś trzykrotna srebrna medalistka w pchnięciu kulą na igrzyskach paraolimpijskich: w Rio de Janeiro (2016), w Tokio (2021) i teraz w Paryżu.

Ma na koncie medale mistrzostw świata i Europy. Najlepsza lekkoatletka niepełnosprawna roku 2018 podczas Gali „Złote Kolce", zdobywczyni nagrody „Sportowiec bez barier" za rok 2019 w plebiscycie „Przeglądu Sportowego".

On – czyli Kamil Otowski, rocznik '99, przezywany dziś „Złotowskim", bo zdobył dwa złote medale w pływackich wyścigach na 50 i 100 m stylem grzbietowym. Rok wcześniej w Manchesterze został mistrzem świata na tych dystansach.

Rozmawiamy w salonie ambasady RP w Paryżu, zaraz po konferencji o promowaniu Polski przez sport, na którą zaproszono naszych paraolimpijczyków. Podczas wywiadu Lucyna „waży" w ręce swoje srebrne trofeum. – Jest cięższe niż to z Tokio, jakby odzwierciedlało ogromną pracę włożoną w jego zdobycie – mówi. Za cztery lata w Los Angeles zamierza powalczyć o złoto. – W Paryżu byłam trzeci raz na paraigrzyskach, to zmienia perspektywę. Czułam presję. Mocno pracowałam, żeby medal zawisł na mojej szyi. Jestem z niego dumna, choć oczywiście to sukces całego mojego świetnego teamu.

Kornobys wspomina o trenerze Michale Mosoniu, psycholożce Karolinie Chlebosz i fizjoterapeutach. Wymienia skrupulatnie wszystkich. – Owszem, to mój start, ale składa się na niego praca wielu osób – powtarza.

Kamil Otowski był na paraigrzyskach po raz drugi, ale dopiero w Paryżu stanął na „pudle". – Po czternastu latach ciężkiej pracy mogę chyba sam sobie powiedzieć „*chapeau bas*" – żartuje.

Sportowe okno

Kornobys wspomina początek drogi na olimpijskie szczyty: – Dzieciństwo spędziłam w domu dziecka. Sport był formą radzenia sobie z życiem w tym miejscu. Pamiętam, że miałam niecałe sześć lat i byłam jeszcze w pełni sprawna. Wystąpiłam w biegu narciarskim dla dzieci. Nie pamiętam, które zajęłam miejsce, ale razem z siostrą bliźniaczką dostałyśmy w nagrodę jaskrawożółte kombinezony. I potem cały tydzień w nich chodziłyśmy.

Gdy jako piętnastolatka miała wypadek na nartach i znalazła się na wózku, zapomniała o sporcie. – Przez pewien czas miałam w sobie upór i męczące pytanie: „dlaczego ja?". Ale potem dostrzegłam, że ten wózek może dać też inne życie, że więcej zyskałam, niż straciłam. Ot, np. mam zawsze swoje siedzenie, nie muszę się o nie z kimś kłócić – śmieje się, dodając: – No i gdyby nie wózek, nie byłabym dziś w Paryżu i nie zdobyłabym medalu.

Zdaniem Kornobys warto patrzeć na świat pozytywnie. – Nie skupiać się na tym, czego nie mogę, ale na tym, co jestem w stanie zrobić. Wtedy moja głowa pracuje inaczej. Nie siedzę z pilotem przed telewizorem i nie użalam się nad sobą – kwituje.

Dopiero w 2008 r. dowiedziała się, że jest coś takiego jak sport osób z niepełnosprawnościami. – Po mszy na stadionie w Jeleniej Górze zobaczyłam pokaz siatkówki na siedząco. To była niedziela, a ja już w poniedziałek byłam na pierwszym treningu. Zaraz później pojechałam na pierwsze zawody siatkarskie. Zaczęłam żyć na nowo – to wyciągało mnie z domu. I do ludzi – opowiada. – Widzę, jak sport mnie otworzył. Jak stałam się osobą komunikatywną, bardziej wesołą.

Przez pewien czas Kornobys uprawiała jednocześnie siatkówkę i lekkoatletykę, jednak potem zdecydowała się doskonalić wyłącznie w tej drugiej dyscyplinie – głównie w pchnięciu kulą. I, jak widać, jej wybór dał znakomite wyniki.

„Z maślanymi oczami"

Otowski choruje na wrodzoną neuropatię, skutkującą niedowładem czterokoń-

ALEX DAVIDSON / GETTY IMAGES

Lucyna Kornobys podczas ceremonii wręczenia medali w pchnięciu kulą kobiet. Paryż, 3 września 2024 r.

Na sąsiedniej stronie: Kamil Otowski ze złotym medalem. Igrzyska Paralimpijskie. Paryż, 29 sierpnia 2024 r.

czynowym i zanikiem mięśni. Jest to choroba postępująca: w dzieciństwie Kamil mógł chodzić, jednak z czasem z coraz większym trudem, aż do momentu, gdy jako 15-latek zaczął poruszać się wyłącznie na specjalistycznym wózku.

– Twoi rodzice nie byli trochę nadopiekuńczy? – pytam Otowskiego. – Raczej tak – przyznaje. – Inaczej niż mój starszy o prawie 10 lat brat. On od małego uczył mnie zawsze samodzielności. Wiele razy kłóciliśmy się z tego powodu, ale on potrafił czasem, brzydko mówiąc, „warknąć" na babcię czy rodziców. Np. „dlaczego Kamil nie może odkurzać, tylko ciągle ja?". Ale teraz jestem megawdzięczny bratu, że taki był. Dzisiaj nie daję sobie w wielu sytuacjach pomagać. Nawet jak nie mogę się pochylić, żeby samemu zasznurować buty, zawsze w końcu znajdę sposób, żeby to zrobić.

Otowski zaczął pływać w klubie, kiedy miał 10 lat. Wspomina: – Do pływania popchnął mnie mój rehabilitant. Z tego się wzięła wielka przyjaźń mojego życia – jego syn Mateusz Żebrowski, który też zaczynał swoją karierę od pływania. Był ze mną teraz na paryskiej Arenie, kiedy zdobyłem złoto. Padliśmy sobie w ramiona i po prostu się popłakaliśmy.

– Kiedy byłem chłopcem, mój rehabilitant zmuszał mnie do przynoszenia biletów z basenu i wręczył telefon do trenera, pana Zbyszka Sajkiewicza – opowiada dalej Kamil. – A ten, jak tylko zobaczył mnie w wodzie – pamiętam do dziś, że zrobiłem wtedy 16 basenów po 25 metrów – od razu zapytał moich rodziców, czy zgadzają się, żebym trzy razy w tygodniu dojeżdżał z Legionowa do Warszawy na treningi. Po dwóch latach jechałem już na mistrzostwa Polski. Z maślanymi oczami patrzyłem na te wszystkie tuzy naszego pływania, które z paraigrzysk w Londynie przywiozły złote medale. Tych największych, którzy mają ten charakter, mentalność zwycięzców.

Dzień jak co dzień

Oboje są bardzo aktywni poza uprawianiem sportu.

Lucyna Kornobys, od niedawna radna miejska Jeleniej Góry, wstaje zwykle o siódmej. Śniadanie, fizjoterapia, codziennie dwa treningi sportowe i dwa mentalne, czyli – jak tłumaczy – praca nad wyobrażaniem sobie, jak występuje się na arenie i co chce się osiągnąć.

– To jest praca z głową, by uwierzyć we własne możliwości. Nie jest to wcale proste, bo dużo osób z niepełnosprawnością ma zaniżone poczucie wartości. Nawet kiedy zdobyłam pierwszy medal w Rio, to do mnie nie docierało. Nie wierzyłam w siebie – mówi.

Kiedy ma sesje rady miejskiej (czasem 2-3 razy w tygodniu), na siłowni pojawia się już o świcie, żeby zdążyć na zebranie. A jeśli jest nieobecna z powodu zawodów – jak teraz – to ma wyrzuty sumienia. Przecież dostała kredyt zaufania od wyborców.

– W niedzielę mam spacer albo pływanie. Nie znoszę bezczynności – przyznaje.

Kamil Otowski codziennie ma dwa treningi w wodzie, poza tym siłownię i pracę z fizjoterapeutą, a także zajęcia z psychologiem i integrację w grupie parapływaków. – To bardzo ważne, żeby nie było zawiści, zazdrości między pływakami. Nie jest tak łatwo, bo wszyscy mamy silne charaktery – tłumaczy.

W zeszłym roku mistrz paraolimpijski obronił z wyróżnieniem dyplom magisterski z prawa w Akademii Leona Koźmińskiego. Po odbyciu aplikacji chce zostać notariuszem.

– Każdemu w karierze zdarzają się gorsze momenty. Czasem nie mogłem patrzeć na wodę. W okolicach osiemnastki przyjeżdżałem na basen, ale nie byłem w stanie wykonać zadań w odpowiednim czasie, więc robiliśmy tydzień przerwy. Ważna jest wyrozumiałość ze strony trenera – uważa parapływak. I dodaje: – Brat powiedział przed moim startem coś, czego nie zapomnę: „Słuchaj, czy przegrasz, czy wygrasz, i tak każdy doceni to, co robisz. Po prostu zrób to, co robisz zawsze na treningu". I tak zdjął ze mnie wielki ciężar.

Nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdzie kontuzja czy kryzys. – Czasem trzeba się przemóc, żeby czwarte miejsce nie zaważyło o końcu naszej kariery. Parę razy sam to przeżyłem – wspomina.

Ostatni kryzys przyszedł z innej strony. Choć miał sportowo wspaniały początek roku, to zaraz potem doznał ciężkiego urazu. Cały jego świat się zawalił, a udział w igrzyskach w Paryżu stanął pod znakiem zapytania. Lekarz powiedział mu: „Panie Kamilu, zdecydujemy, co z panem się będzie działo, w połowie lipca". – Na co ja: „przecież zaraz mam igrzyska!" – wspomina.

Na szczęście sportowiec trafił na wybitnego specjalistę, chirurga Pawła Dąbrowskiego z Warszawy. – Jestem mu niezmiernie wdzięczny. To będzie jedna z pierwszych osób, które odwiedzę po powrocie z Paryża – mówi paraolimpijczyk. ↦

Pochwała cierpliwości

Lucyna Kornobys nie lubi, jak nazywa się ją bohaterką. Chciałaby, żeby ludzie patrzyli na nią z perspektywy pracy, treningów, zachowania. A nie jak na kogoś, kto ma „łzawą" historię do opowiedzenia.

– Niech media traktują nas jak pełnosprawnych sportowców – mówi. – Jak schrzaniliśmy start, piszcie o tym! Nie lubię, jak nam z góry wieszają na szyi medale, i to zanim przyjedziemy na igrzyska. Przecież w Polsce jest kilka tysięcy sportowców niepełnosprawnych. A na paraigrzyska dostało się raptem 84. Samo zakwalifikowanie się na nie jest wyczynem.

Kamil Otowski po części zgadza się ze starszą koleżanką. – Nazywanie nas bohaterami jest przesadą. Ale i tak wielu będzie w nas widzieć herosów, nie ma na to rady. Jeśli o mnie chodzi, sport dał mi bańkę normalności. Chcę być w tej bańce. Chcę też, byśmy byli inspiracją dla ludzkiej cierpliwości. To dzięki niej jestem dzisiaj mistrzem. Nie warto patrzeć na ludzi, którzy rzucają kłody pod nogi, ale warto otwierać się na tych, którzy są nam życzliwi. I tu przydaje się cierpliwość – konkluduje ze stoickim spokojem.

Polski *know-how* i syndrom wuefu

Polscy paraolimpijczycy od lat wypadają nieźle w klasyfikacjach medalowych, często lepiej niż nasi reprezentanci w klasycznych igrzyskach. Prezes Polskiego Komitetu Paralimpijskiego Łukasz Szeliga tłumaczy, że Polska ma dziś „fantastyczną infrastrukturę" do rozwoju sportu dla osób z niepełnosprawnościami (w tym centra przygotowań paraolimpijskich w Wiśle oraz „Mausz" koło Sulęczyna), ma też *know-how*, jak skutecznie rehabilitować ludzi przez sport. Jego zdaniem polscy fizjoterapeuci potrafią czasem rozwiązywać problemy zdrowotne, z którymi nie radzą sobie lekarze. Zresztą, polskie ośrodki odwiedzają sportowcy niepełnosprawni z innych krajów, nawet z Arabii Saudyjskiej.

Problem w tym, że osiągnięcia polskich paraolimpijczyków niekoniecznie przekładają się na uprawianie sportu przez uczennice i uczniów z niepełnosprawnościami. Bardzo często są oni po prostu zwalniani z udziału w lekcjach wychowania fizycznego. Dlatego Polski Komitet Paralimpijski przygotował pilotażowy projekt szkolenia nauczycieli WF tak, aby lekcje były dostępne dla wszystkich.

Lucyna Kornobys, zapalona społeczniczka, ma w tej kwestii własny pomysł. – Ja już od 2011 r. jeżdżę po szkołach na Dolnym Śląsku i pokazuję sport paraolimpijski. Najważniejsze, żeby przekonać mentalnie osobę z niepełnosprawnością, że nie musi siedzieć w domu. I że może mieć swoją pasję – mówi.

Kiedy przed laty pracowała jako urzędniczka w Jeleniej Górze, zorganizowała turniej siatkówki na siedząco, do którego zaprosiła jednocześnie samorządowców (np. urzędników ZUS czy pracowników skarbówki), a z drugiej – osoby z niepełnosprawnością.

– Chodziło mi o to, żeby urzędnicy, z którymi na co dzień mamy styczność, spędzili fajnie z nami czas i zobaczyli, że jesteśmy normalnymi ludźmi. Cieszę się, że ten turniej trwa do dzisiaj, choć już tam nie pracuję – opowiada.

Mistrz tu nie wjedzie

„Bohaterowie" paraolimpijscy mają całkiem prozaiczne problemy. Kamil Otowski, który trenuje w stolicy, uważa, że Warszawa jest dziś miastem dobrze przystosowanym dla osób na wózkach inwalidzkich.

Są jednak dotkliwe wyjątki. – Wciąż należę do Integracyjnego Klubu Sportowego warszawskiej AWF – opowiada. – Problem w tym, że parę lat już tam nie trenuję, bo po prostu nie jestem w stanie dostać się na pływalnię. Jest tam jeden bardzo duży schodek i potem pięć innych, a rampa nie nadaje się *de facto* dla wózków inwalidzkich.

Jak mówi Kamil, sam kilkakrotnie interweniował u władz uczelni, żeby te zainstalowały odpowiedni podjazd. Do tej pory bez skutku. Pieczę nad historycznym obiektem AWF sprawuje konserwator zabytków, powołujący się na przepisy, które mają przeszkadzać w takiej modernizacji.

– Chciałbym znów trenować na „moim" ukochanym basenie, a nie jeździć po innych pływalniach. I przestać zastanawiać się, czy ochroniarz mnie ze schodów zrzuci, czy nie. Dlatego apeluję, aby drobny przepis nie stał na przeszkodzie, żeby zamontować tam zwykłą rampę, nawet blaszaną – oświadczył na konferencji w Paryżu dwukrotny złoty medalista paraolimpijski.

Apel miał jasnego adresata: obecnego tam wiceministra sportu i turystyki Ireneusza Rasia. Ten, wywołany do odpowiedzi, odparł, że „zorientuje się" w sprawie, choć, jego zdaniem, wykracza ona poza kompetencje ministra sportu.

Kamil Otowski kwituje z ironicznym uśmiechem: – Pan rektor AWF zapraszał mnie na inaugurację roku akademickiego. Odpowiedziałem, że bardzo chętnie się pojawię, jak tylko będzie tam nowa rampa.

© SZYMON ŁUCYK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego"

GLIWICE, środa 18 września, godz. 18.00
spotkanie autorskie z Michałem Bilewiczem
„Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości"
Klub Pracowników Politechniki Śląskiej, ul. Banacha 3

TRÓJMIASTO, środa 18 września, godz. 18.00
Spotkanie z Henrykiem Doboszem-Kinaszewskim, Stanisławem Grzybem, Henrykiem Knapińskim
Historia budowy Pomnika Poległych Stoczniowców, spotkanie i projekcja filmu „O tych, którzy zbudowali Pomnik" Oliwski Ratusz Kultury, Gdańsk

WARSZAWA, czwartek 19 września, godz. 18.00
Spotkanie z Danutą Kuroń, Marcinem Napiórkowskim, Mirosławem Wlekłym. Nie zostawiać nikogo w tyle. Solidarność według Jacka Kuronia.
Rozmowa wokół książki „1989. Mit pozytywny"
Sala KIK, ul Freta 20/24A (II piętro)

REZERWUJ CZAS!

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

TOMASZ

Stawiszyński: *Skupienie uwagi*

Coraz częstszym i coraz bardziej efektownym akcjom różnych organizacji alarmistycznych (oblewanie obrazów zupą, a farbą m.in. kręgu Stonehenge albo Złotych Tarasów, blokowanie ulic itp.) towarzyszy specyficzne przekonanie. Mianowicie: że my wszyscy o istnieniu klimatycznego zagrożenia nie wiemy, a nawet jeśli wiemy, to o nim na co dzień nie pamiętamy. Trzeba więc nieustannie nas o tym informować lub nam o tym przypominać. Jak? Środkami adekwatnymi do skali kryzysu. Przy czym te aktualnie stosowane wcale adekwatne nie są. Czymże bowiem jest obraz w muzeum albo sterta starych kamieni w obliczu nadchodzącej apokalipsy (zwłaszcza że obraz jest za szybą, a farby – przynajmniej na razie – nie zostawiają trwałych śladów)? Czymże jest lokalny paraliż przepustowości tej czy innej ulicy wobec perspektywy, że niebawem nie będzie już żadnych ulic?

Co jednak konkretnie mielibyśmy zrobić, kiedy już z tej codziennej obojętności i marazmu zostaniemy wytrąceni, kiedy przypomnimy sobie (lub dowiemy się), jaka jest sytuacja? Co np. w marcu tego roku powinni byli zrobić uczestnicy odbywającego się w Filharmonii Narodowej koncertu z okazji 80. urodzin i 60-lecia pracy artystycznej Antoniego Wita, który to koncert został zakłócony przez dwie osoby rozwijające transparenty i krzyczące ze sceny, że „ten koncert nie może dłużej trwać", bo planeta płonie? Co by się stało, gdyby, zamiast reagować lękiem albo złością, widzowie (oraz jubilat) wstali i powiedzieli: „dobrze, macie rację, przerywamy koncert, wychodzimy z filharmonii – i co teraz?".

Nikt nie zadaje takich pytań, oczywiste jest bowiem, że nie ma na nie odpowiedzi. Są, owszem, mniej lub bardziej sensowne postulaty polityczne i prawne rozmaitych organizacji – do ewentualnego wdrożenia przez parlamenty – nie ma natomiast niczego, co mieliby i mogliby w danym momencie zrobić „wybudzeni" z owego codziennego zapomnienia ludzie. Wysiąść z samochodu na zakorkowanej ulicy? Wybiec z filharmonii, wystawy, teatru albo Złotych Tarasów? I gdzie potem się udać? Proszę bardzo, wybiegnijmy, choćby zaraz. Problem w tym, że nie wiadomo, jaki powinien być następny krok.

Skądinąd – przy całej deklarowanej trosce o planetę, organizatorzy takich akcji wykazują niekiedy zastanawiająco mało troski o tych, których realnie ich działania dotyczą. *Performance* w filharmonii wydał się na początku niektórym obecnym tam osobom – zwłaszcza w starszym wieku – niebezpiecznym atakiem. W dobie nieustannych doniesień o tego typu zdarzeniach jest to przecież odruch zrozumiały. W zamkniętym pomieszczeniu pełnym ludzi łatwo o wybuch paniki, a wiekowy dyrygent również mógł na to, co się działo, zareagować silnym stresem o potencjalnie groźnych skutkach.

Dlaczego właściwie mielibyśmy nie przejmować się losem tych konkretnych osób, ich emocjami i lękiem, a przejmować się wyłącznie losem planety? Dlaczego mielibyśmy przejmować się losem planety, a nie przejmować się losami i uczuciami ludzi próbujących przebijać się przez zakorkowane miasto – w drodze do jakichś ważnych obowiązków, do swoich bliskich, być może w sprawach życia i śmierci? Dlatego, że kiedy Ziemia jest w niebezpieczeństwie, nie ma co martwić się o dobrostan jednostek? Czy aby na pewno jakakolwiek jednostka chciałaby się na poważnie podpisać pod taką tezą? A może dlatego, że w tym rozrachunku najważniejsze są emocje osób blokujących ulice i oblewających coś farbą lub zupą, emocje wszystkich innych natomiast nie są tu za bardzo brane pod uwagę?

I jeszcze jedna wątpliwość. Gdzie są granice takich „wybudzających" interwencji? Skoro argument brzmi: „pomnik, obraz albo ruch miejski są niczym wobec globalnej zagłady, *ergo* wolno dokonywać na nich przekroczeń", to zasadne wydaje się pytanie, gdzie znajduje się tych przekroczeń granica? Czego z całą pewnością nie można zniszczyć, czego z całą pewnością nie można zakłócić w imię „potrząsania" zbiorową (nie)świadomością? Ostatecznie w obliczu „globalnej zagłady" znakomita większość naszych rzeczy, działań, spraw i wartości jawi się jako całkowicie pozbawiona wagi.

Cóż, mam niestety wrażenie – o czym już kiedyś na łamach „Tygodnika" pisałem – że tego typu działania nie zbliżają nas wcale do rozwiązania kwestii zagrożenia klimatycznego, nie mają z nią bowiem tak naprawdę wiele wspólnego. Wpisują się za to idealnie w logikę współczesnego świata, w którym liczy się przede wszystkim – choćby chwilowe – zogniskowanie na sobie uwagi. A najskuteczniej sprawdzają się dziś w tej roli hipermoralizm i maksymalnie podkręcony afekt. Kwestie praktyczne, realne, nie mają większego znaczenia, ba, w złym tonie jest upominać się o nie, kiedy emocje sięgają zenitu.

Oczywiście, takie akcje często są wyrazem ogromnej (i zrozumiałej) bezradności przykrywanej radykalizmem. Tyle że problemu katastrofy klimatycznej nie da się zredukować do krzyku na złych ludzi, obalenia władzy albo zamachu stanu. Jedyne wyjście to głęboka systemowa reorganizacja globalnego rynku, polityki i mentalności. Jak to zrobić? Jak to przeprowadzić? Jak przekonać do tego ludzi? Poszukiwaniom odpowiedzi na te pytania – obawiam się – nie pomoże blokowanie ulic i polewanie budynków farbą. Zapewne też nie zaszkodzi, to prawda. Po prostu przyczyni się do wzrostu naszego codziennego poczucia frustracji i niepewności, które zaraz znowu ktoś zechce zagłuszyć jeszcze większym radykalizmem i silniejszą emocją. I koło po raz kolejny się zamknie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

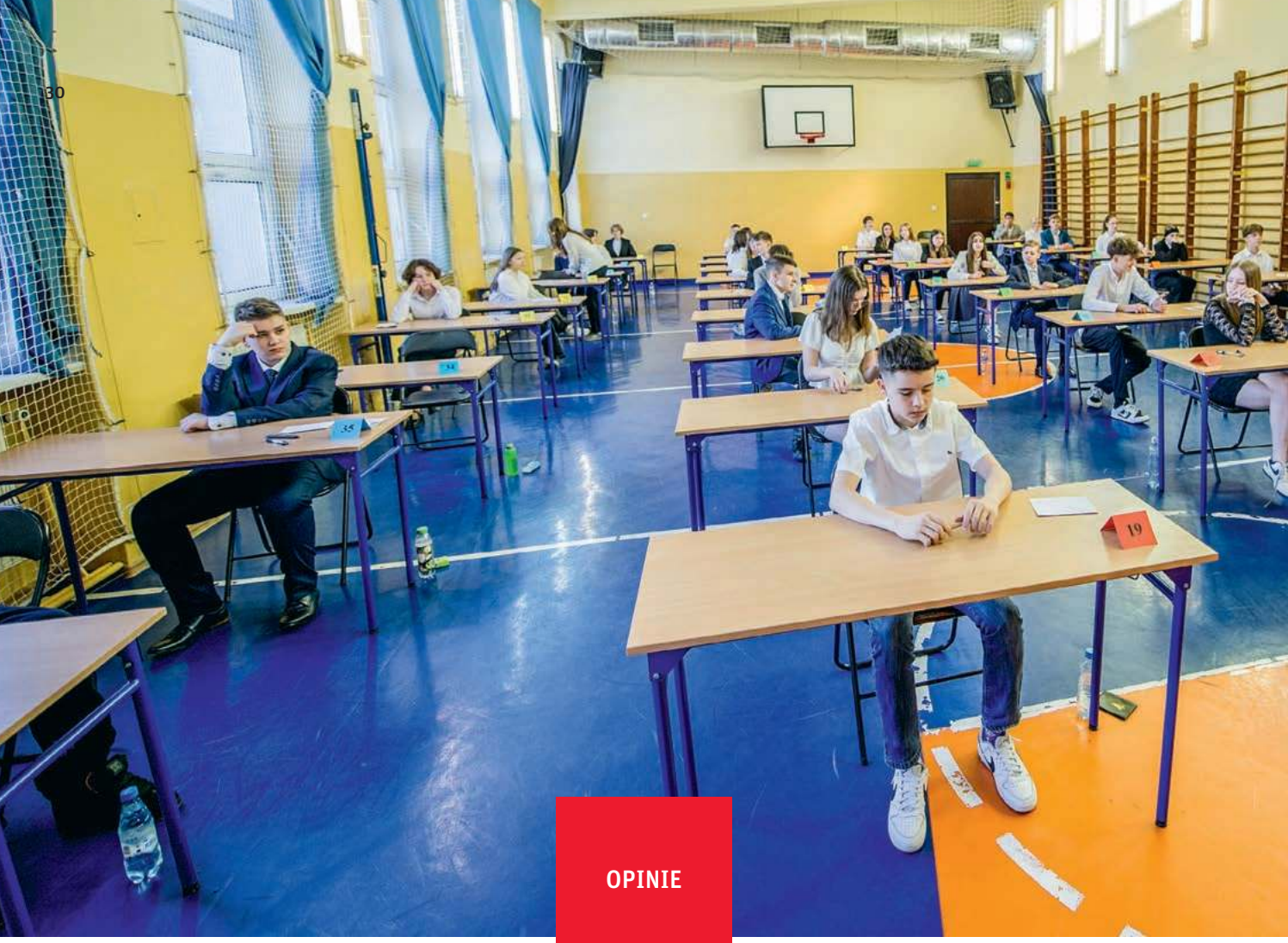

OPINIE

STOPNIE DO PIEKŁA

Współczesna nauka to potwierdza:
szkolne oceny niewiele dają, za to szkodzą procesowi uczenia się.
Jak się od nich uwolnić?

PIOTR SIKORA

Wiele lat temu, na początku szkoły podstawowej, moja córka przybiegła do mnie z radosną nowiną: „Tato, tato! Dostałam szóstkę!". Ucieszyłem się z jej radości: „Super, córeczko, gratulacje!". I zapytałem: „A co umiałaś?". „Nie pamiętam..." – padła odpowiedź.

Pochodzę z rodziny, w której wiele osób uczyło lub uczy w szkołach różnych poziomów (od podstawówki po uniwersytet). Sam od ponad ćwierć wieku jestem nauczycielem akademickim, dane mi też było krótko uczyć młodzież gimnazjalną i licealną. Znam wielu zaangażowanych i mądrych nauczycieli. Wszyscy jednak pracujemy w systemie, którego kilka podstawowych zasad działania uczyć bardzo przeszkadza.

Moja córka zapomniała, za co dostała szóstkę, bo jest kolejną ofiarą systemu.

Ważna uważność

System zaprogramowano według wiedzy, która dziś jest nieaktualna. Czego w ostatnich kilkudziesięciu latach dowiedzieliśmy się z badań? Z neurokognitywnego punktu widzenia uczenie się polega na przyswajaniu informacji, budowaniu na tej podstawie umysłowych modeli otaczającej rzeczywistości i kształtowaniu umiejętności sposobów realizacji ważnych celów. Stanislas Dehaene wyróżnia cztery filary uczenia się: uwagę; aktywne zaangażowanie (ciekawość, poszukiwanie informacji, stawianie i sprawdzanie hipotez); szczegółową, nieosądzającą in-

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Egzamin ósmoklasisty w Szkole Podstawowej nr 3 w Lublińcu, maj 2024 r.

formację zwrotną dotyczącą błędów; konsolidację nabytej wiedzy.

Na poziomie biologicznym proces uczenia się wiąże się zwłaszcza z cechami układu nerwowego, który z jednej strony jest niezwykle plastyczny, a z drugiej – posiada niezmienne aspekty, wyznaczające trwałe reguły uczenia się. Umysł nie jest „niezapisaną kartą", która biernie przyswaja informacje. Jest wyposażony w mechanizmy filtrujące informacje i klasyfikujące je jako mniej lub bardziej ważne. Dlatego np. w plątaninie linii naszą uwagę przykują te, które przypominają ludzką twarz, a wśród wielu twarzy szybko rozpoznamy tę zagniewaną.

Co więcej, przychodzimy na świat z odziedziczoną, tj. wykształconą ewolucyjnie strukturą, która od początku naszego życia generuje rozmaite „hipotezy" na temat otaczającego nas środowiska. Już noworodek ma pewne, nie całkiem jeszcze świadome oczekiwania dotyczące tego, co się stanie w odpowiedzi na jego działanie.

Badacze są zgodni, że kluczem do uczenia się jest uwaga. Ellen J. Langer z Harvardu zauważyła zasadniczą różnicę pomiędzy uczeniem się uważnym-rozumnym (*mindful*) i nieuważnym-bezmyślnym (*mindless*). Tylko w tym pierwszym trybie istnieje szansa, że zapamiętamy informację oraz że będziemy w przyszłości potrafili jej użyć w elastyczny i twórczy sposób.

Uważność (*mindfulness*), jak rozumie ją Langer, ma kilka aspektów: otwarcie na nowość, czujność wobec różnic, wrażliwość na zmienność kontekstu, świadomość istnienia wielości perspektyw, zorientowanie na teraźniejszość. Badania Langer dowodzą też, że przyjęcie informacji w sposób uważny-rozumny jest ściśle powiązane z tym, jak jest ona prezentowana: jako prawdziwa tylko w konkretnym, zmiennym kontekście oraz podatna na wiele interpretacji. Okazało się np., że wystarczy poprzedzić podawane w podręcznikach fakty słowami takimi jak: „prawdopodobnie...", „jedną z możliwych interpretacji jest...", by uczniowie lepiej zapamiętywali i rozumieli materiał danej lekcji.

Uwagę w naturalny sposób przyciąga to, co nowe i osobiście ważne (dlatego im dłużej trwa lekcja, tym trudniej utrzymać uwagę uczniów, zaś w szumie rozmów niemal zawsze wychwycimy swoje imię). Odkrycia neurokognitywne pokazują, że na poziomie biologicznym uzyskiwanie nowej informacji (tą informacją może być nawet zaskoczenie, że nasze przewidywania/hipotezy nie sprawdziły się, a więc, że popełniliśmy błąd) uruchamia dopaminę i układ nagrody – ten sam mechanizm mózgowy, który sprawia, że jedzenie i seks są tak przyjemne.

Chyba że nauczymy nasz mózg innych reakcji – np. regularnie stosując zewnętrzną motywację, tj. nagrodę niepowiązaną z nową informacją. Albo – co gorsza – stwarzając sytuacje, w których mózg będzie kojarzył nabywanie owych informacji ze stresem, np. z oczekiwaniem potencjalnych kar.

Jak to się dzieje

Proces uczenia się ma kilka faz. Za pierwszą uznaje się kierowanie uwagi, czyli aktywne (choć często nieuświadamiane) poszukiwanie nowych informacji napływających z otoczenia. Te bodźce pobudzają do tworzenia hipotez – umysłowych modeli świata i sposobów zaspokajania w tym świecie istotnych egzystencjalnych potrzeb. Jeśli na lekcji chemii nauczyciel pokaże klasie nietypowo zachowujący się przedmiot, w głowach nawet mało pilnych uczniów pojawi się pytanie, co to jest, jak to działa i czy dałoby się to wykorzystać w zrobieniu złośliwego dowcipu nielubianym kolegom.

Hipotezy testujemy w praktyce. Jeśli test wykryje błąd – niezgodność modelu z kolejnymi informacjami lub nieskuteczność działania – umysł wysuwa kolejne hipotezy wyjaśniające, na czym ów błąd polegał. A później odpowiednio do nich koryguje poznawczy model oraz sposób postępowania – i znowu testuje tę zmodyfikowaną „wiedzę". Gdy uczymy się na WF-ie rzucać piłką do kosza i zauważamy, że poleciała za daleko, następnym razem nasze mięśnie automatycznie robią mniej energiczny ruch.

W przypadku człowieka proces uczenia się ma także wymiar społeczny. Jedną z ważnych ewolucyjnych przewag naszego gatunku jest zdolność poznawczej współpracy. Nie musimy do wszystkiego dochodzić sami. Możemy korzystać z wiedzy i doświadczenia zarówno poprzednich pokoleń, jak otaczających nas „współplemieńcow", tych, którzy mają lepsze niektóre zdolności poznawcze lub znajdują się w bardziej dogodnym poznawczo położeniu (np. siedzą w miejscu, skąd wcześniej widać, czy do naszej grupy zbliża się lampart).

Z tego względu działanie uwagi jest ściśle powiązane z relacjami – w naturalny sposób skupiamy się na tym, na czym skupiają się ważne dla nas (i pozytywnie się kojarzące) osoby. Już niemowlak posiada zdolność rozpoznawania, gdzie jego opiekunowie kierują swoją uwagę – podąża wzrokiem w tym kierunku, w którym patrzą oni. Wspólne utrzymywanie uwagi na jakimś obszarze wymaga od każdej osoby mniejszego wysiłku, niż gdyby miała ona robić to samotnie.

Zdobywanie nowych informacji i próbowanie nowych sposobów działania wspólnie z członkami naszej grupy daje najczęściej jeszcze więcej satysfakcji niż podobne działanie podejmowane w pojedynkę – w sposób harmonijny łączą się tu i wzmacniają dwa elementy układu ↦

nagrody: ten czerpiący satysfakcję z doznania nowości i ten wzbudzany przez poczucie przynależności do „stada". Nastolatki częściej eksplorują rzeczywistość (bywa, że ryzykownie) w grupie niż same.

Ważne jednak – zarówno dla społecznie inspirowanego kierowania uwagi, jak i dla wspólnych przedsięwzięć eksploracyjnych – by osoby, z którymi współdziałamy, cieszyły się naszym zaufaniem. Byśmy byli pewni, że z nami współpracują, a nie rywalizują. W przeciwnym razie społeczne mechanizmy wzmacniające uczenie nie zadziałają.

Szkodliwość ocen

Uczeń pisze sprawdzian. To ważny moment, wszak sprawdzanie tego, co – jak sądzimy – wiemy, jest, jak wykazał Dehaene, kluczową fazą procesu uczenia. Podczas sprawdzianu trzeba rozwiązać kilka zadań. Gdy uczeń skończy swoją próbę, dostaje informację o prawidłowych odpowiedziach i prowadzących do nich sposobach rozwiązywania zadań. Z punktu widzenia edukacyjnego jest to wystarczająca informacja zwrotna: uczeń widzi, gdzie jego model rzeczywistości zgadza się z nią, a gdzie nie, orientuje się też, w którym momencie postępował właściwie (skutecznie), a w którym nie. Żadna dalsza ocena nie jest potrzebna.

Nauczyciel stawia jednak ogólną ocenę za sprawdzian: dajmy na to 4 (dobry). Uwaga ucznia oddala się od samego procesu zdobywania informacji i kształtowania umiejętności i od satysfakcji, jaką to daje, a zwraca ku postawionej ocenie. Ta jednak jest silniej powiązana z aprobatą (lub dezaprobatą) społeczną niż z tym, czego się uczymy. Jej wartość i siła oddziaływania opierają się właśnie na naszej społecznej naturze. Stawiając mojej córce szóstkę, nauczycielka – chcąc nie chcąc – powiedziała jej przede wszystkim: jesteś przeze mnie (ważną osobę dorosłą) ceniona, możesz spodziewać się uznania w grupie rówieśniczej i pozytywnej reakcji rodziców. Proces uczenia się zniknął z pola uwagi – nic dziwnego, że Dorota zapomniała, co umiała na szóstkę.

Nawet pozytywne oceny mają więc negatywny wpływ na proces uczenia. Odwracając uwagę od nowo nabywanych informacji i umiejętności ku społecznej aprobacie, oduczają umysł cieszyć się z samej nauki. Liczne współczesne badania dowodzą, że wprowadzanie zewnętrznej motywacji danego działania (w tym przypadku uczenia się) zmniejsza zaangażowanie w nie samo, w konsekwencji obniża jego jakość.

Jeszcze bardziej szkodliwe są oceny negatywne. W proces nauki wprowadzają stres związany z zagrożeniem. Stres zwiększa produktywność tylko do pewnego poziomu – potem radykalnie jej szkodzi. Co więcej, jeśli zdobywanie nowych informacji i umiejętności kojarzy się z zagrożeniem, wzbudza się w nas naturalna w tym przypadku reakcja: walcz lub uciekaj. Za sprawą negatywnych ocen (nawet samej ich możliwości) tak właśnie się dzieje: informacje i umiejętności, których się uczymy, są odbierane przez nasz umysł jako zagrażające. Impulsy do walki lub ucieczki występują zarówno na poziomie zachowań (wagary, prokrastynacja), jak i relacji umysłu do informacji – walczy z nią, blokując jej wpływ na swój model rzeczywistości, lub ucieka od niej (rozprasza się, odwraca uwagę). To wszystko jest przeciwieństwem otwartej ciekawości, kluczowej dla procesu uczenia się.

POPTECH2013 / WIKIPEDIA

ELLEN J. LANGER:

Nasze szkoły są problemem. Bezwiednie uczą nas być nieuważnymi-bezmyślnymi. Uczą nas bowiem oceniać siebie i innych.

ELLEN J. LANGER jest profesorką psychologii na Uniwersytecie Harvarda. Prowadzi badania nad uważnością i jej wpływem na uczenie się, zdrowie i dobrostan. Zajmowała się także złudzeniem kontroli, psychologicznymi aspektami starzenia się i poznaniem społecznym – analizowała rolę procesów nieuświadomionych. Jej prace wywarły szeroki wpływ na wiele obszarów psychologii i ekonomii behawioralnej.

Ellen Langer po wielu latach badań wprost pisze, że oceny szkolne są jednym z głównych czynników hamujących proces uczenia się. Daje przykład, gdy w jednym z eksperymentów przeprowadzonych na studentach Harvardu zadała dwóm grupom nauczenie się tego samego materiału. Jedna z grup została poinformowana, że po czasie nauki będzie poddana sprawdzianowi, druga nie dostała tej informacji. Sprawdzono obie grupy i okazało się, że grupa spodziewająca się sprawdzianu poradziła sobie znacznie gorzej. W czasie nauki ich myśli uciekały ku czekającemu ich egzaminowi. Z myślami naszych dzieci dzieje się tak samo. Tym bardziej, im ważniejszy czeka ich egzamin.

Wyniki badań Langer wskazują, że ogólne oceny (takie, jakie dostajemy na egzaminach i świadectwach) wpływają zarówno na osobistą samoocenę człowieka, jak i na to, jak jest postrzegany społecznie. A to z kolei wpływa na oczekiwania, jak ów człowiek będzie radził sobie w przyszłości, zaś te oczekiwania w dużym stopniu wpływają na rzeczywisty sposób radzenia sobie w życiu (tworzy się samospełniające się proroctwo). Co więcej, Langer argumentuje, że często nie zauważamy, iż kryteria ocen nie są „absolutnie obiektywne", lecz zostały ustalone, wybrane przez kogoś z konkretną (jedną w wielu możliwych) perspektywą, wyżej ceniącą pewne cechy, a niżej – inne. Szkolny system oceniania uzależnia nasze społeczne funkcjonowanie od czegoś, co nie ma obiektywnej wartości.

System zaburza też relację nauczyciel–uczeń/uczniowie i poczucie, że wszyscy są „po tej samej stronie". Oceniający nauczyciel staje się raczej przeciwnikiem niż doświadczonym współpracownikiem. Podobnie negatywny wpływ oceny mają na relacje między uczniami, wprowadzając element rywalizacji, a osłabiając naturalne więzi współpracy.

Wynik albo proces

Nasze szkoły są skupione na wynikach procesu nauczania. Wszystkie najważniejsze oceny (i większość mniej ważnych) otrzymujemy jako rezultat egzaminów lub sprawdzianów, w których liczy się końcowy efekt. „A co innego ma się liczyć?" – ktoś mógłby zapytać. Odpowiadają badacze, Craig Hassed i Richard Chambers: najważniejszy jest proces uczenia się. Jeśli już mamy stosować w syste-

mie edukacji dodatkowe sygnały mobilizujące uczniów, to niech to będą sygnały wzmacniające ten wysiłek, a nie wyniki końcowe. Dlaczego? Z kilku powodów.

Po pierwsze, jeśli nagrodzimy efekt, nie zmobilizujemy do podejmowania coraz trudniejszych zadań, w których sukces jest mniej pewny, ale które są bardziej rozwojowe (zapytajcie wasze dzieci, czy wolą dostawać łatwiejsze, czy trudniejsze zadania). Po drugie, zasugerujemy w ten sposób, że uczenie się ma jakiś efekt końcowy – a przecież jest ono ciągłym, nigdy nie dokończonym procesem. Po trzecie, nagradzanie poznawczego sukcesu wprowadza różnicę wartości pomiędzy nim a błędem czy też porażką (w sensie nieskuteczności działania). Z punktu widzenia neurokognitywnych badań nad uczeniem się błąd i porażka nie są czymś gorszym od sukcesu. Są nieodłącznym elementem tego procesu. Nawet więcej: z rozwojowego punktu widzenia porażka i błąd są bardziej pożyteczne niż sukces. Ten ostatni „rozleniwia umysł", który – próbując uniknąć wysiłku – będzie usiłował powtarzać skuteczne dotąd działania. Dopiero porażka (czyli m.in. wykryty błąd) pobudza umysł do szukania nowych rozwiązań.

Edukacja przeciw hierarchizacji

Stawiane w systemie szkolnym oceny nie mają więc najmniejszego sensu z punktu widzenia procesu edukacji. Jednak postulaty uwolnienia systemu szkolnego od ocen spotykają się z kontrargumentem, że nie da się tego zrobić, ponieważ oceny są konieczne w procesie rekrutacji na każdy wyższy poziom kształcenia. W obecnym systemie, przyznaję, rzeczywiście tak jest. Ale pokazuje to tylko, że rację miał Marcin Kędzierski, który w niedawnym tekście opublikowanym w „TP" (nr 31/2024) stwierdził, iż „w systemie edukacji idzie o wszystko, tylko nie o edukację, a przynajmniej nie o to, co potocznie edukacją nazywamy (...) chodzi w niej przede wszystkim o status".

Tak, system, w którym pracujemy i w który – jako społeczeństwo – wkładamy na kilkanaście lat nasze dzieci, jest systemem nie edukacji, lecz hierarchizacji społecznej. Tylko z tego punktu widzenia ma sens powszechna w szkołach „walka o średnią" i „poprawianie ocen" – z edukacyjnego punktu widzenia działania całkowicie bezsensowne.

ERIC FOUGERE / CORBIS / GETTY IMAGES

STANISLAS DEHAENE:

Uczenie się nie jest możliwe bez sygnałów, że popełniliśmy błąd. Innymi słowy: to zaskoczenie napędza naukę.

STANISLAS DEHAENE jest profesorem w Collège de France. Zajmuje się funkcjonowaniem umysłu: uczeniem się, poznaniem matematycznym, świadomością. W Polsce ukazały się jego książki „Jak się uczymy?" oraz „Świadomość i mózg". Zajmował kierownicze stanowisko w Human Brain Project – projekcie badania mózgu finansowanym przez Unię Europejską. Stoi na czele Rady Naukowej francuskiego Ministerstwa Edukacji.

Tylko w takim systemie mają sens najważniejsze teraz szkolne egzaminy, do których przygotowaniu podporządkowany jest proces „edukacyjny": egzamin ośmioklasisty i matura. Uczniowie zdają go, a następnie dostają jedynie informację, ile punktów otrzymali. By dostać jakąkolwiek informację zwrotną, pożyteczną z edukacyjnego punktu widzenia (tj. dowiedzieć się, gdzie ktoś poradził sobie dobrze, a gdzie popełnił błąd), trzeba składać specjalne podania o wgląd w swoje prace i jeździć do siedzib Okręgowych Komisji Egzaminacyjnych.

Czy da się jednak rozwiązać kwestię rekrutacji na wyższe poziomy edukacji, jeśli zrezygnujemy ze stawiania ocen i egzaminów zadawanych na punkty? Nie mam konkretnego pomysłu w przypadku rekrutacji do szkoły średniej. Być może mogłaby przypominać bardziej sposób zapisów do podstawówki? Może istnieje lepsze rozwiązanie? Szukając go, warto jednak zauważyć, że jeśli uwolnilibyśmy system edukacji od ocen, średnich i punktów z egzaminu, to rywalizacja o miejsca w „lepszej szkole" straci w dużej mierze rację bytu.

W przypadku studiów wyższych niedoskonałym, ale i tak najlepszym rozwiązaniem byłby egzamin wstępny organizowany przez uczelnię, który nie byłby oceną poprzednich etapów edukacji, lecz oszacowaniem potencjału do studiowania wybranego kierunku. Może jednak możliwe są inne jeszcze rozwiązania, które nie przychodzą nam do głowy, gdyż (jak powiedziałaby Langer) nieuważnie-bezmyślnie tkwimy w obecnym systemie?

Sztuczna inteligencja i tak na pewno zmieni cały system edukacji. Wzięcie pod uwagę tego, co obecnie wiemy o procesie uczenia się z badań neurokognitywnych i psychologicznych, należy powiązać z modyfikacją treści programów nauczania (także nauczania kandydatów na nauczycieli!). Trzeba by wprowadzić nauczanie kierowania i utrzymywania uwagi – podstawowego narzędzia, za pomocą którego umysł się uczy. To na nim dziś żerują operatorzy mediów społecznościowych, władcy algorytmów regulujących nasze umysły. Żeby im odpowiedzieć, trzeba spersonalizować program nauczania, dostosowując go do indywidualnych predyspozycji i zainteresowań młodych ludzi – by uwzględnić fakt, że ciekawość jest kolejnym warunkiem niezbędnym w procesie uczenia się.

Nie pisałem tu o innych celach szkoły – wychowaniu i kształtowaniu umiejętności społecznych. Przebudowa systemu edukacji zgodnie ze współczesną wiedzą naukową musi wspierać i te cele. Bo uczenie się najlepiej nam wychodzi, gdy współpracujemy w grupie.

Nie twierdzę, że jestem w posiadaniu najlepszej pozytywnej propozycji, jak zorganizować system edukacji bez ocen. Nie ma przecież – Ellen Langer zapewne ma rację – jednego, najlepszego pomysłu, zawsze istnieje wiele perspektyw, każda coś pokazuje i każda coś pomija.

Ale jednego jestem pewien. Oceny precz ze szkoły! ©℗ PIOTR SIKORA

Korzystałem z: Richard Chambers, Craig Hassed „Uważne uczenie się", Warszawa 2018; Stanislas Dehaene „Jak się uczymy? Dlaczego mózgi uczą się lepiej niż komputery... jak dotąd", Kraków 2021; Ellen Langer „The Power of Mindful Learning", Boston 2016 oraz z części bogatej literatury przedmiotu cytowanej w powyższych książkach.

WIARA

MARZENIE O KOŚCIELE

RAFAŁ DZIEDZIC, TWÓRCA STRONY SYNOD.ORG.PL:

W wielu polskich diecezjach nie ma wizji, jest chaos – tysiące spraw, tysiące rzeczy. Ale kilka diecezji ma pomysł na siebie.

RAFAŁ DZIEDZIC: Może zaczniemy od modlitwy? Niech to, co robimy, będzie zanurzone w obecności Pana i na Jego chwałę. (*Krótka, spontaniczna modlitwa.*)

EDWARD AUGUSTYN I ARTUR SPORNIAK: Robiliśmy sporo wywiadów – z biskupami, kardynałami, księżmi – i dotychczas tylko jeden zaproponował modlitwę na rozpoczęcie. Był to abp Charles Scicluna.

Ja też się tego uczę. Nie wszystkie spotkania, nawet z księżmi, zaczynam od modlitwy, ale staram się to robić coraz częściej.

Gdy siada Pan do pracy przy stronie internetowej o synodzie, to też zaczyna Pan od modlitwy?

Każdy dzień od niej zaczynam. Natomiast kiedy zajmuję się synodem, to wszystko, co robię, wierzę w to mocno, jest Bożym dziełem. Czasem sam się dziwię, że to w ogóle robię. To jest trochę tak, jakby Duch Święty wyrwał mnie z innego życia i posadził tutaj. Czasem się zastanawiam, po co i dla kogo to robię. Widzę statystyki strony. Od jej założenia przewinęło się przez nią kilkadziesiąt tysięcy osób. Najwięcej, gdy trwały sesje synodalne, w październiku zeszłego roku. Teraz jest ich do kilkudziesięciu dziennie.

Na czym polega ta praca?

Z różnych polskich diecezji i ze świata zbieram informacje dotyczące synodu – z nadzieją, że są osoby, które się tym zainteresują, a wtedy będą wiedzieć, z kim się kontaktować i na których diecezjach się wzorować.

A kim Pan jest z zawodu?

Dobre pytanie. Od 2012 r. jestem „matką Polką". Opiekuję się dwójką dzieci. Wcześniej byłem przedsiębiorcą. Prowadziłem własny biznes, w dziedzinie marketingu, przede wszystkim wokół mediów cyfrowych.

RAFAŁ DZIEDZIC
ukończył Zarządzanie i Marketing na Politechnice Wrocławskiej oraz MBA w Uniwersytecie Warszawskim. Były prezes zarządu Grupy ADV S.A. specjalizującej się w marketingu zintegrowanym. Twórca strony synod.org.pl.

Jak to się wszystko zaczęło?

Do 2015 r. byłem w zasadzie ateistą. Ochrzczonym, oczywiście. Nawet do bierzmowania poszedłem, bo pomyślałem, że ten sakrament lepiej mieć niż go nie mieć. Jako dziecko, wierzyłem wiarą dziecięcą. Potem pojawiły się pytania, trochę podsycane przez tatę: skąd zło w świecie? Jak to jest, że wszyscy się modlą, a tylko niektórzy coś od Boga dostają? Pojawiły się wątpliwości i nie było nikogo, kto by na nie odpowiedział. W końcu uznałem, że Boga nie ma, że to moja fantazja. Taki typowy kryzys człowieka spełnionego na każdym polu, ale mającego w sobie jakąś pustkę, której nie rozumie.

W każdym razie narodziłem się na nowo w 2015 r., choć moja podróż duchowa trwała trzy lata, bo nie od początku było to nawrócenie na Kościół. Powiedziałbym, że żyłem już w Bożej obecności, doświadczałem żywego Jezusa. Ale do Kościoła to jeszcze daleka droga, bo jednak Jezus i Kościół to nie są synonimy. Wtedy też, na wiosnę 2015 r., narodził się mój syn. Chodziłem z nim na spacery i któregoś dnia wszedłem do kościoła. I nagle doświadczyłem, że tam jest Bóg, że jest w Eucharystii. A to było dla mnie równoznaczne z tym, że chcę być tam, gdzie On jest – w Kościele.

Co się później działo?

Byłem w tamtym czasie aktywnym neofitą. Prowadziłem blog Zielonyzeszyt.pl, w którym dzieliłem się swoim świadectwem. Angażowałem się również w mojej diecezji, wrocławskiej, w lokalne przedsięwzięcia, jak „Katolicy na ulicy" – wychodziliśmy dwójkami na ulice, mówiliśmy ludziom, że Jezus ich kocha. Jeździliśmy też do bezdomnych z ośrodka Brata Alberta w Szczodrem, w niedziele, ze Słowem Bożym i ciastem. Nazywaliśmy tę inicjatywę Szczodre Niedziele.

Jak doszło do założenia strony synod.org.pl?

O synodzie usłyszałem od abp. Grzegorza Rysia (jeszcze wtedy nie kardynała). Mówił w homilii, że jest taki projekt papieża, żebyśmy byli gotowi wziąć w nim udział. Pomyślałem, że to coś dla mnie. Sprawdziłem, co na ten temat znajdę na stronie internetowej mojej diecezji, i nie znalazłem niczego. Żadnego śladu synodu.

Po jakimś czasie zadzwonił do mnie mój proboszcz i mówi, że trzeba robić synod, bo przyszły materiały i ktoś się musi tym zająć. To były raptem dwa dokumenty, „Vademecum" i dokument przygotowawczy. Ten drugi napisany tak, że nie potrafiłem w ogóle zrozumieć, o co chodzi. Zawziąłem się, żeby przez to przejść, ale czułem, że niewiele osób będzie miało taką determinację. W „Vademecum" znalazło się 10 pytań, niby prostych, ale musiałem je czytać kilka razy. W końcu nagle doznałem olśnienia, że synod jest propozycją, byśmy się w Kościele wszyscy spotkali i zaczęli ze sobą rozmawiać. Pamiętam ten entuzjazm, ale też niepokój, że większość ludzi do tego momentu nie dojdzie. Pomyślałem, że może warto stworzyć serwis internetowy, w którym będzie można dzielić się swoimi doświadczeniami – chyba pierwszy raz w historii jedna diecezja mogłaby się od innej czegoś uczyć. Przedstawiłem pomysł abp. Adrianowi Galbasowi, który odpowiada w Polsce za synod. Uznał, że jest dobry. I tak się zaczęło.

Jak się Panu układała współpraca z księżmi wyznaczonymi w diecezjach do zajmowania się synodem?

Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żeby, poza nielicznymi wyjątkami, była jakaś współpraca. Najczęściej ja zbierałem od nich dane, często w taki sposób, że oni nawet o tym nie wiedzieli. Ostatecznie serwis okazał się unikatowy nawet na skalę świata. Pozwala innym przyjrzeć się np. polskiemu Kościołowi. Ale też udostępniałem swoje tłumaczenia dokumentów watykańskich czy z innych Kościołów.

A jak wyglądała historia z przekładem dokumentu roboczego na sesję plenarną, czyli „Instrumentum laboris"?

Jestem tymi dokumentami bardzo poruszony – tak pierwszym, jak i tegorocznym. Mam poczucie, że to nie są jakieś tam zwykłe sprawozdania, ale zaproszenie do postawienia sobie pytań o wiarę. W tamtym roku była wersja polska, teraz po polsku ukazało się tylko streszczenie, które niewiele mówi, a nawet, moim zdaniem, odpycha od dokumentu. Więc znowu, w posłuszeństwie Kościołowi, bo tak zawsze staram się robić, odezwałem się do abp. Adriana i zapytałem, że skoro ↦

OLA DZIEDZIC / ADOBESTOCK.COM // MONTAŻ TP

↦ nie ma oficjalnego tłumaczenia, to czy ja mogę je zrobić. Zgodził się i na tłumaczenie, i opracowanie z tego audiobooka.

Jak to tłumaczenie trafiło na stronę watykańskiego Sekretariatu Synodu?

Dzięki s. Barbarze Radzimińskiej, która pomagała mi w tłumaczeniu, a ma swoje kontakty w Sekretariacie Synodu.

Dlaczego polski episkopat nie zadbał o oficjalne tłumaczenie?

Rozumiem to tak, że z punktu widzenia kogoś, kto zarządza zasobami Konferencji Episkopatu Polski, „Instrumentum laboris" mogło zostać potraktowane jako dokument dla czterech osób, które jadą do Watykanu na spotkanie październikowe. Oni sobie poradzą, mając wersję angielską czy włoską.

Ale Pan uważa, że to jest jednak dokument dla wszystkich?

Tak uważam.

To proszę nas przekonać.

Mogę jedynie podzielić się swoim świadectwem. Patrzę na ten dokument z dwóch perspektyw. Widzę tu marzenie o Kościele wraz z próbą zrozumienia, w jakim miejscu on się znajduje. Chodzi o Kościół, w którym odbudowywane są relacje, który uczy się słuchać, rozmawiać, podejmować decyzje na nowy sposób. Jestem człowiekiem, który troszczy się o Kościół, widzi, co się dzieje, i szuka jakiejś wizji zmian. Ten dokument pozwala mi taką wizję zobaczyć.

A druga perspektywa jest taka, że widzę w dokumencie prorockie zaproszenie dla mnie. To też jest odkrycie synodu: zrozumiałem, że jestem odpowiedzialny za jakąś część Kościoła i ona także niedomaga.

Jaka to część Kościoła?

To moja rodzina. Łatwo czyta się dokument synodalny z pozycji osoby świeckiej, mówiąc: „O, to powinien zrobić ksiądz, a to biskup – czemu tego nie robią?". A przecież ja też mam Kościół, za który jestem odpowiedzialny, i to są słowa skierowane także do mnie. Najpierw te o relacjach, by pamiętać, że są ważniejsze i bardziej żywotne niż struktury. A ja w rodzinie wyżej stawiałem reguły, czyli struktury, niż relacje. Później jest o słuchaniu. Dokument mnie pyta, czy traktuję swoje dzieci, żonę w taki sposób, w jaki chciałbym, by w Kościele proboszcz albo biskup traktował mnie? Czy stawiam ich na równi? Czy stwarzam im przestrzeń, by wypowiedzieli to, co chcą powiedzieć? Czy uważam, że jestem mądrzejszy i wiem, co trzeba robić? Czy wpuszczam do swojego serca to, co zostało powiedziane? Te konkretne pytania mnie poruszyły i otworzyły np. na doświadczenie spotkania z moją córką, którego być może bez tego dokumentu by nie było. Czytam „Instrumentum laboris" jako serię pytań i intuicji, które mogę zastosować w tej części Kościoła, w której ja mam władzę i odpowiedzialność, ja decyduję. Przekonałem panów?

W rodzinie władzę dzierży Pan – czyli model patriarchalny?

Mam autorytet, mam zasoby, to prawda. Ale dzięki synodowi zrozumiałem, że chodzę na ulice ewangelizować, organizuję pikniki w parafii, angażuję się w różne wspólnoty, a nie mam czasu dla rodziny, ona nie jest dla mnie najważniejsza. Łatwo wymagać od proboszcza, że parafia ma być taka, siaka, owaka, a trudno od siebie. Pomyślałem sobie: hej, Rafał, tu masz władzę, jakiej nie ma nikt inny, żaden katecheta, proboszcz czy biskup. To ty przekazujesz wiarę swoim dzieciom i żonie.

Patriarchalna struktura to jeden z problemów Kościoła. Papież mówi, że kobiety powinny być słyszane na każdym stopniu decyzyjnym. A przecież chodzi o to, by były też słuchane.

Ja jestem prosty chłopak, patrzę na ten obszar, w którym Pan Jezus i Duch Święty dają mi szansę coś zmienić. Chcę, żeby moje serce się zmieniło. Ale też wierzę, że zmienią się serca tych, których Pan Jezus postawił wyżej nade mną – papieża, kardynałów, biskupów. W moim audiobooku „Instrumentum laboris" czyta kobieta.

Czy na podstawie Pana doświadczenia można stworzyć synodalną mapę Kościoła w Polsce? Ilu jest biskupów zaangażowanych w synod, ilu obojętnych?

Mogę opowiedzieć o dobrych przykładach, które pewnie nie pokazują całości spraw... Zadam wam pytanie. Która polska diecezja – waszym zdaniem – najpełniej realizuje założenia synodu?

Łódzka?

Warszawsko-praska. Akurat niedawno zadzwonił do mnie ks. Rafał Jabłkowski, odpowiedzialny w tej diecezji za synod. Opowiadał mi, co planują. Powołali na nowo wszystkie rady duszpasterskie i ekonomiczne. Te nowe rady powołane zostały według wytycznych synodu, na podstawie nowych statutów. W diecezji warszawsko-praskiej rady ekonomiczne i duszpasterskie są obowiązkowe w każdej parafii.

Ciekawe, kto je wybierał?

Część powstała w drodze normalnych wyborów, część z nadania proboszcza. Ale te rady mają pięcioletnie kadencje, a ich członkowie są powoływani dekretem biskupa. To znaczy, że podniesiona została ich ranga. No i, powtarzam, są obowiązkowe. W diecezji warszawsko-praskiej trwają przygotowania trzyletniego programu formacyjnego dla świeckich. Tyle się mówiło o formacji świeckich w naszej syntezie krajowej, a tam już to zaczyna się dziać. Ta diecezja przygotowała też własną odpowiedź na sprawozdanie podsumowujące ubiegłoroczny etap synodu. Zorganizowali serię spotkań, omawiali to sprawozdanie punkt po punkcie. Księża ze świeckimi. I swoją odpowiedź przesłali do Watykanu, niezależnie od odpowiedzi krajowej przesłanej przez episkopat. Planują również przygotować własną analizę socjologiczną syntez kontynentalnych, żeby zobaczyć, z jakimi problemami Kościół w świecie się boryka.

A inne polskie diecezje?

Dużo się dzieje w łódzkiej, to kolejny dobry przykład. U nich synod poniekąd zjednoczył się z synodem diecezjalnym, który zaczął się wcześniej – i tę jedność już widać w dokumentach synodu diecezjalnego. Oni też zorganizowali konferencję „Synodalność: szansa czy zagrożenie", a także warsztaty synodalne, na które zaprosili moderatora z Watykanu, żeby przeszkolił kilkadziesiąt osób, które potem prowadziły warsztaty dla parafii.

Następną diecezją, która wdraża idee synodu, jest diecezja wrocławska, czyli moja. Tyle, że u nas poszło to w inną stronę, bo arcybiskup zdecydował się na synod diecezjalny, choć on jest właściwie kontynuacją synodu o synodalności, nawet ma takie samo hasło: „Diecezjalny synod nawrócenia i odnowienia życia Ko-

ścioła. Komunia, formacja, misja". Wprowadzono też taką samą metodę pracy, czyli „rozmowę w Duchu Świętym".

A które diecezje niedomagają?

Na pewno są diecezje, które funkcjonują bez wizji, pomysłu. Są parafie, które niedomagają, bo proboszczowie nie potrafią sobie poradzić. I są rodziny, które niedomagają. Bo jeśli młodzi ludzie odchodzą dziś od Kościoła, to także dlatego, że nie ma w rodzinach przekazu wiary.

Oprócz własnego nawrócenia ważna jest zmiana struktur. Jeśli się nie dokona, zapał, który u Pana i innych widzimy, szybko zostanie stłumiony. Struktury są nietransparentne, nie sprzyjają dzieleniu się odpowiedzialnością, wzajemnemu słuchaniu się.

To pytanie nie do mnie. Ja jestem mały żuczek. Patrzę na to, co zależy ode mnie.

Tyle że decydenci się nie zmienią, jeśli nie będziemy na nich naciskać.

Patrzę na to inaczej. Jestem człowiekiem, który spotkał Jezusa i którego Jezus przemienił. Jak kiedyś szedłem w jedną stronę, to teraz idę w przeciwną. Jak się śmiałem z Kościoła, to teraz mówię, że Kościół kocham. I mam przekonanie, że moim zadaniem jest świadczenie o tym, że Jezus żyje, że chce się spotkać z każdym. I bardziej wierzę w nawrócenie człowieka niż w nawrócenie struktur. To także wynika z „Instrumentum laboris": że żywotność Kościoła bierze się z relacji, nie ze struktur. W diecezji warszawsko-praskiej grupa osób – księży i świeckich – zapaliła się do synodu i dała impuls, by zaczęły się dziać wielkie rzeczy. Wiem, że wszystko zawsze zaczyna się od osobistego spotkania z Jezusem. A początkiem tego spotkania może być synod.

Jeśli popatrzymy na przepisy kościelne, to zobaczymy, że Kościół od dawna jest synodalny. Tylko ludzie, którzy odpowiadają za przestrzeganie tych przepisów, nie wierzą w synodalność. Wierzą w monarchiczność, tak zostali nauczeni.

Nie chce Pan przyznać, że w wielu diecezjach jest po prostu źle.

Gdy przeglądałem strony różnych diecezji, przygotowując serwis, choćby po to, by znaleźć diecezjalnego koordynatora synodu, to miałem poczucie, że biskupi muszą być strasznie samotni i przytłoczeni. Z czego to wynikało? Zobaczyłem, że diecezja to jeden wielki chaos.

W jakim sensie?

Tysiące inicjatyw, tysiące rzeczy, zero planu, zero wizji. Jak w pokoju małego dziecka, wszystko porozrzucane. I nad tym wszystkim jeden samotny biskup, który musi to jakoś poskładać.

Biskupi są samotni, czy po prostu sobie nie radzą?

Chyba jedno i drugie. To jest ze sobą ściśle powiązane. Wierzę, że wcześniej czy później musi się pojawić myślenie, iż diecezja potrzebuje wizji, pomysłu na siebie. Dlatego też na mojej stronie zgromadziłem przykłady różnych diecezji, głównie z innych krajów, które taką wizję mają i jej podporządkowują swoje działania.

Jakie to diecezje?

Na przykład Detroit w USA. Oczywiście to, co robią, miało początek w kryzysie, bo trzeba było łączyć parafie, co nas też czeka, pewnie za 15-20 lat. Oni nie chcieli tylko łączyć parafii, chcieli wyjść do przodu, stworzyć wizję, do której uda się zapalić ludzi. W ten sposób powstał program Unleash the Gospel, czyli Uwolnijmy Ewangelię. To jest piękna wizja, pragnienie i marzenie, by Ewangelia na nowo została uwolniona, żeby doświadczenie Bożej miłości rozlało się na wszystkich diecezjan.

I z tego powstały list pasterski i wizja teologiczna, a także pomysł, jak każda komórka w kurii ma tę wizję wspierać. Czyli wizja realizowana od góry, poprzez urzędy, seminarium duchowne, programy odnowy parafii, kurialne zasoby wspierające parafie, które przyjmą ten program odnowy. To jest według mnie pomysł, który warto przetestować w Polsce. Co zrobić, żebyśmy na nowo z odwagą głosili Ewangelię?

U nas powstają tony dokumentów, które trudno ogarnąć i zrozumieć. A chodzi o to, by w prosty sposób nazwać wizję, opisać ją i pokazać, jakie mamy narzędzia, by ją realizować.

©℗ Rozmawiali
EDWARD AUGUSTYN i ARTUR SPORNIAK

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT"

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co"– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ksiądz z faweli

TEKST I ZDJĘCIA
ZUZANNA RADZIK Z BUENOS AIRES

W faweli życie religijne organizują sami mieszkańcy – ksiądz jest gościem.

Księża pracujący w slumsach to legenda sama w sobie. W 2013 r., kiedy kard. Bergoglio został papieżem i trzeba było przybliżyć jakoś, kim jest i jakim był duszpasterzem, napisano o *curas villeros* wiele tekstów. Delegaci Bergoglia na peryferia miasta – ten temat pasował i lewicowym, i prawicowym gazetom.

Przyjechałam do Buenos Aires w 2016 r., zatem trzy lata za późno, temat był zużyty. A może wciąż jest aktualny? Trafiam teraz na notatki z tamtej podróży i uderza mnie, jak bardzo taki Kościół wciąż zdaje się egzotyczny. Wtedy w 2016 r. czułam przesyt, dziennikarze trafiali do tych samych kilku osób. Czytałam już tyle tekstów o o. Olvierze, że mam poczucie, jakbym go znała. Podobnie o słynnym Pepe. A tymczasem nawet film fabularny „Czarny słoń" zszedł już z afisza. *Curas villeros* wydawali się *passé*.

Mimo tego nie dało się od nich uciec. Kiedy po raz pierwszy otworzyłam oczy w Buenos Aires, mój autobus właśnie mijał mural poświęcony pamięci o. Mugica. Bez żartów, może mi się przyśniło? Rzut oka na mapę wszystko wyjaśnia. Dzielnica, w której pracował ten legendarny pierwszy duszpasterz slumsów, jest przecież koło dworca autobusowego. Dwa dni później znudzona zwiedzaniem turystycznej La Boca wychodzę do portu i siadam na ławce bezmyślnie obserwując magazyny po drugiej stronie portowego kanału z lekko cuchnącą wodą. Isla Maciel, czyli to tu? Słynny slums, w którym pracuje o. Paco Olviera? Nie jeden z tych oddalonych od centrum, ale wciśnięty między turystyczny *hot spot* a zrewitalizowany i oddany na sklepy, apartamenty oraz biurowce salonowy port Puerto Madero. Slums – wyrzut sumienia, który nie chce się schować, tylko dumnie wypisuje na portowym brzegu: tu jesteśmy.

Siedząc tam pękam i piszę do znajomego argentyńskiego księdza: „Czy *curas villeros* to jeszcze w ogóle temat? Znasz kogoś takiego?". „Ja jestem *cura villero* – odpisuje Sebastian. – Chcesz zobaczyć, jak to jest? Wpadnij we czwartek".

Pijąc mate w faweli

Jadę taksówką, bo uparł się, że tak prościej i że dojazd transportem publicznym zajmie mi prawie dwie godziny. To wielkie miasto. Siadamy przed kaplicą na plastikowych krzesłach z kubkiem mate. Udaję, że nie przeszkadza mi, że kubek przechodzi z rąk do rąk. Również do rąk parafian, którzy podchodzą załatwić swoje sprawy.

Każdy przechodzień wita się, ściska i wycałowuje nas po kolei. Wielu upija z naszego kubka kilka łyków gorzkiego naparu, jedni wymieniając serdeczności, drudzy chcąc zwyczajnie pogadać, a kilku młodych chłopaków załatwić pogrzeb kolegi. – *Buenos días, padre* – powtórzone radośnie, wiele razy. Wieczorem, po dwunastu godzinach razem, mam wrażenie, że pocałowałam więcej policzków niż przez całe życie. Mięśnie twarzy bolą od nieustannego uśmiechu, którym kamufluję marną znajomość języka.

– Chciałbym mieć więcej czasu, żeby tak tutaj siedzieć, ale nasza parafia rośnie powiększana o kościoły pozbawione księży, tak jak ten, i mam coraz mniej czasu – wzdycha Sebastian Risso, wtedy wikary z parafii Madre del Dio w Buenos Aires, do której należy i ta kaplica w slumsie. – Tak jest najlepiej, bez dystansu, ludzie wtedy podchodzą, mówią, co u nich. Nikt z nich nie przyjedzie przecież do kancelarii. Trzeba wychodzić do nich. Idź, zadzwoń, będą wiedzieli, że jesteśmy – prosi, żebym pociągnęła parę razy za niewielki dzwon wiszący w wejściu kaplicy, która bardziej przypomina garaż.

Kaplica jak blaszak

Prosta, niewielka, stojąca w rzędzie domów, z zewnątrz wygląda jak inne budynki. Drzwi ma metalowe jak sklep. Na ołtarzu tyle Matek Boskich co narodowości w tej imigranckiej wspólnocie. A może i więcej, bo obok tej miejscowej z Lujan jest taka z Paragwaju, Boliwii, ale też nie obeszło się bez meksykańskiej z Guadalupe. Ściana za ołtarzem jest jak mapa wypisana maryjnym kultem. Tabernakulum skromne, ale Sebastian chwali się, że dorobił kluczyk, żeby jednak było solidnie. Wieczna lampka czerwonawa, ale bardziej jak z garażu. Ta kaplica to duma.

Kiedy trzy katechetki (wszystkie chyba o imieniu Maria) przekrzykują się nawzajem, opowiadając historię ich kaplicy, Sebastian nie nadąża z tłumaczeniem. Zrozumiem więc tylko, że budowali ich ojcowie, rozbudowywali bracia. Że jak trzeba było bierzmować, to dzwoniły po kard. Bergoglia i do nich przyjeżdżał. Jako katechetki prowadzą katechezę i liceum wieczorowe na dwie zmiany, poranną i popołudniową. Dwie przecznice dalej kościół i parafia matka. Ale pobliskie skrzyżowanie to niewidzialna dla mnie granica między slumsem a zwykłym osiedlem. Ci ze slumsu łatwo jej nie przekroczą, nie chodzą do tamtego kościoła. Nie, żeby ktoś

Na zdjęciach: ks. Sebastian Risso i Pablo podczas procesji z relikwiami na targu w jednej z faweli Buenos Aires, październik 2016 r.

ich przegonił, ale mają przecież swój własny, z ich Matkami Boskimi, budowany przez ich rodziny. Tylko jeszcze ksiądz by się przydał.

Pomoc eksksięży

Kaplica, przed którą siedzimy, ma pecha, kolejnych trzech tutejszych duszpasterzy rzuciło kapłaństwo. Choć czy kapłaństwo da się rzucić, nie jest takie jasne, przynajmniej dla Pabla, trzeciego członka naszej dzisiejszej ekipy duszpasterskiej. Jest byłym księdzem, ożenił się, ale pracuje teraz w parafialnym centrum pomocy narkomanom. Krąży po dzielnicy, wyławia w bramach i podwórkach ofiary królującego w slumsach narkotyku *paco*. Oprócz niego sześciu innych „byłych" ma podobną pracę w tej okolicy.

Trochę jestem zdziwiona, że ma tak dobre relacje z parafią. Coraz bardziej zaś tym, co mówi dalej: że jego parafia i koledzy księża byli na jego ślubie. Czemu nie, w końcu to jego bracia w kapłaństwie, a parafia to wspólnota, trudno, żeby ich zabrakło. W końcu „byli" regularnie spotykają się z biskupem, wspierają, on szuka pracy dla tych, którzy mają z nią kłopot. Właściwie Pablo jest oburzony moim zdziwieniem: – Wy, Europejczycy, traktujecie kapłaństwo jak rolę społeczną, my wierzymy w to, co wydarza się w sakramencie. Wciąż jestem kapłanem, tylko zmieniła mi się sytuacja w życiu – mówi zdecydowanie.

To nie będzie ostatnia uwaga na temat dziwnych „europejskich zwyczajów kościelnych", jaką usłyszę od niego tego dnia. Ale tymczasem siadamy, sączymy mate, a Pablo co jakiś czas odchodzi i znika w jakimś podwórku.

Relikwie na ulicy

Czas wyruszyć. Dziś relikwie Don Orione wizytują parafię, a tymczasem na głównej ulicy slumsu odbywa się targ. Owoce, warzywa, boliwijskie i paragwajskie potrawy – w to wszystko wchodzimy naszym małym orszakiem: Sebastian z kropidłem z plastikowego kwiatka, Pablo z relikwiarzem, a za nimi ja z obrazkami o Don Orione. – *Bon dia, bon dia, bon dia* – mówi, kropiąc mijane osoby Sebastian. Przystaje, ściska, pyta, co słychać. Pablo przystaje przy straganie i wolną ręką kupuje ziemniaki, drugą obejmując relikwiarz. Myślę wtedy o Franciszkowym wychodzeniu na ulice i o pamiętnym „dobry wieczór", które tu musiało nikogo nie zdziwić, skoro można święcić tłum mówiąc „dzień dobry".

Slums nie wygląda jak te ze zdjęć w gazetach. Domy skromne, ale ulice dość normalne. Choć to jego druga parafia w slumsie, Sebastian nie jest jednak *cura villero* jak z legendy. Na ścianie w pokoju ma Teresitę (św. Tereskę z Lisieux), a nie Che Guevarę. Pytam go o te odejścia, bo sporo usłyszałam o byłych księżach ze slumsów. Tłumaczy, że może byli zbyt młodzi.

– Masz trzydzieści parę czy czterdzieści lat, wydaje ci się, że wszystko zmienisz. Rzucasz się w pracę, chcesz odmienić życie ludzi. Ale jeśli nie jesteś uważny, umknie ci moment, w którym z księdza staniesz się pracownikiem socjalnym. Nic w tym złego, ale to są inne powołania. Po dziesięciu latach, jeśli zaniedbałeś życie duchowe, budzisz się nie rozumiejąc, czemu jesteś księdzem, i z poczuciem beznadziei, że slums dalej jest slumsem. Może lepiej byłoby wysyłać nieco starszych księży, bardziej doświadczonych, których ta praca by tak nie spalała – zastanawia się głośno. – Ostatecznie, trzeba tam solidarnie z ludźmi być, czy się świat zmienia, czy nie, trwać tam, gdzie oni.

Spowiedź z przemocy

– Łatwo być księdzem w *villa* – stwierdza Sebastian, gdy po przejściu po targu znów siadamy z kubkiem mate pod kaplicą. Ludzie ci ufają, tak zwyczajnie, nie jak w parafiach w centrum. Ale też wiedzą, do czego jesteś im potrzebny, a do czego nie. Choćby Boliwijczycy z mojej poprzedniej parafii. Oni właściwie świetnie radzą sobie sami, urządzają w domach modlitwy, maryjne święta, czasem zapraszają, żeby odprawić wtedy mszę, ale trzeba wiedzieć, że nie o mszę im tak naprawdę chodzi, tylko o wspólne Ojcze nasz, odczytanie Ewangelii. Są dość przyzwyczajeni do braku kapłanów, ich wiara rośnie niezależnie od tego, czy jesteśmy, czy nie.

To, co nie jest łatwe w slumsie, to konfesjonał. Miejsce, w którym słyszysz, co się dzieje w domach, wyliczanki krzywd. Straszna świadomość przemocy, jakiej ludzie doświadczają, zwłaszcza kobiety, dzieci, dziewczynki. Im ciaśniej w domach, tym tego więcej. Stąd ta jego obecna parafia z jej w miarę dobrymi warunkami mieszkaniowymi nie jest taka zła. Ale poprzednia, gdzie wieloosobowe rodziny gnieździły się w niewielkich pokojach... gwałty, przemoc seksualna, fizyczna – wszystko na porządku dziennym. Tak, to jest trudna część księżowskiej posługi.

Sebastian w poprzedniej parafii poduczył się trochę języka guarani, żeby móc ewangelie czytać również w rodzimych językach parafian. – Trzeba się tego nauczyć. Najpierw proszę, żeby pokazali mi, jak się modlą. To ja jestem gościem w ich kościele.

Faktycznie, katechetki Marie są jak najbardziej u siebie. I choć cisną biskupa, by przysłał im ich własnego proboszcza, to prawda jest taka, że Kościół w ich slumsie żyje nie dzięki *curas villeros*, bo ci przychodzą i odchodzą, ale dzięki nim. Nie dzięki specjalnemu oddziałowi księży od slumsów, ale dzięki tym, których nikt nie pytał, czy chcą tu żyć. ©

„Nierządnica Babilońska"
albo „Niewiasta potępiona za grzechy zatajone"
z kościoła farnego w Krośnie,
lata 40. XVII w.

ARIUSZ NAWROCKI / ARCHIWUM KS. PAWŁA BATOREGO

Tajemnica kobiety na smoku

MAGDALENA ŁANUSZKA

W średniowieczu powstawały cieszące się popularnością moralizatorskie opowiastki. Niezwykłe przedstawienie jednej z takich historyjek znajdziemy w kościele w Krośnie.

Wrzesień to miesiąc w tradycji europejskiej ilustrowany przedstawieniem winobrania – to właśnie wówczas w większości winiarskich regionów mają miejsce wydarzenia i zabawy związane z celebrowaniem zbiorów. W Polsce jednym z kluczowych obecnie winiarskich regionów są okolice Jasła i Krosna – tamtejsze tereny od wieków związane były z winem. Nawet w czasach nowożytnych, gdy klimat nie sprzyjał uprawie winorośli, to właśnie tam kwitł biznes związany ze szlachetnym trunkiem – Karpacki Szlak Wina przebiegał przez Krosno, które w XVII w. było jednym z najważniejszych ośrodków handlu winem węgierskim.

Stało się to m.in. dzięki dynamicznej działalności pewnego kupca pochodzenia szkockiego – zbił on majątek na winie, ale znamy go głównie jako dobroczyńcę krośnieńskiej fary. Choć jest także patronem corocznego festiwalu win węgierskich, który odbywa się w Krośnie pod koniec sierpnia.

Szkocki biznesmen w Krośnie

Robert Gilbert Porteous de Lanxeth przybył do Krosna jako młody emigrant i stopniowo rozwinął szeroką działalność handlową , która sięgnęła poza tereny Korony i Litwy: na Węgry, do Rzeszy Niemieckiej, na Śląsk czy Prusy, a nawet do Szkocji. Został najważniejszym dostawcą win węgierskich dla dworu królewskiego. Ożenił się z Anną, wdową po krośnieńskim rymarzu; zaczął się podpisywać Robert Wojciech Portius, dodawszy sobie imię jednego z patronów Korony. Zgromadził gigantyczny majątek – i mnóstwo pieniędzy przeznaczył na pobożne fundacje dla kościoła Świętej Trójcy w Krośnie.

Zrealizowana do 1646 r. gruntowna przebudowa krośnieńskiej fary i jej nowe wyposażenie w dużej mierze finansowane były przez Portiusa. Patrycjusz przebudował także jedną z kaplic na swe rodowe mauzoleum. Zadbał o to, by w fundacjach zaznaczać swoją osobę za pomocą obrazu lub inskrypcji – niewątpliwie wkład finansowy w kościół krośnieński był dla niego nie tylko pobożną fundacją, ale także formą budowania własnego wizerunku. Nie możemy lekceważyć duchowych pobudek fundatora. Zapisy źródłowe sugerują nam, że miał on za co pokutować – był człowiekiem porywczym, wdawał się w awantury, a raz nawet w gniewie uderzył pewnego chłopca ze skutkiem śmiertelnym.

W wystroju kościoła kilkakrotnie przewijają się motywy wanitatywne, wpisujące się zresztą w kontrreformacyjną narrację. Dzieła mówiące o marności dóbr doczesnych i nieuchronności śmierci były bardzo popularne w XVII stuleciu i wybór takiej tematyki nie musiał być powiązany ze szczególnymi upodobaniami fundatora. Jednocześnie wiemy, że cała trójka dzieci Portiusa, których doczekał się z żoną Anną, zmarła nagle wiosną 1640 r., zatem osobista tragedia nie ominęła nawet człowieka tak bogatego i zasłużonego dla parafii.

I akurat po 1640 r. powstały niezwykle interesujące obrazy moralizatorskie odwołujące się do tematów śmierci i grzechu, zdobiące nawę kościoła w Krośnie. Jest wśród nich alegoryczny „Dzwon

śmierci", wzorowany na antwerpskiej grafice Hieronymousa Wieriksa, a także enigmatyczna kobieta na smoku, najczęściej interpretowana jako „Nierządnica Babilońska". Nie wiadomo, kto jest autorem tych płócien – choć część z krośnieńskich obrazów powstała w warsztacie słynnego Tomasza Dolabelli, te akurat dzieła do tej grupy nie należą.

Grzechy zatajone

Smok to jedna z najważniejszych bestii w kulturze – nie tylko europejskiej. Fenomen tego fantastycznego stwora polega między innymi na tym, że odnajdziemy go w legendach i wierzeniach w zasadzie na całym świecie. W Biblii smok uosabiał zło, podobnie jak wąż. Antyczni pisarze zresztą, a za nimi średniowieczni, określali smoka jako największego węża. Smoka wspominają psalmy – na przykład: „Ty ujarzmiłeś morze swą potęgą, skruszyłeś głowy smoków na morzu" (Ps 74, 13), albo: „Będziesz stąpał po wężach i żmijach, a lwa i smoka będziesz mógł podeptać" (Ps 91, 13). W dawnych przekładach Księgi Daniela przeczytamy opowieść o zniszczeniu smoka czczonego przez Babilończyków, choć w Biblii Tysiąclecia jest to wąż (Dn 14, 23-27).

Przede wszystkim jednak smok pojawia się w Apokalipsie: „I inny znak się ukazał na niebie: Oto wielki Smok barwy ognia, mający siedem głów i dziesięć rogów – a na głowach jego siedem diademów. I ogon jego zmiata trzecią część gwiazd nieba: i rzucił je na ziemię. I stanął Smok przed mającą rodzić Niewiastą, ażeby skoro porodzi, pożreć jej dziecię" (Ap 12, 3-4). To właśnie ten smok jest uosobieniem szatana, podczas gdy Niewiasta powiązana została z postacią Matki Bożej. W sztuce późnogotyckiej zaczęły pojawiać się przedstawienia Madonny stojącej na smoku jako Marii Niepokalanie Poczętej, pokonującej szatana. Czym innym jednak jest deptanie smoka, a czym innym jechanie na nim – kobieta dosiadająca bestii to już nie Matka Boża, ale jej przeciwieństwo: uosobienie grzechu i zepsucia, czyli Nierządnica Babilońska.

Oto kolejny fragment wizji z Apokalipsy (Ap 17): „I ujrzałem Niewiastę siedzącą na Bestii szkarłatnej, pełnej imion bluźnierczych, mającej siedem głów i dziesięć rogów. A Niewiasta była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogi kamień i perły, miała w swej ręce złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisane imię – tajemnica: »Wielki Babilon. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi«".

Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że krośnieński obraz przedstawia właśnie Nierządnicę Babilońską, choć powinna ona trzymać kielich, nie powinna za to mieć węży na piersiach i na głowie, a także strzał skierowanych ku uszom. Ponadto na pierwszym planie płótna w Krośnie widzimy spowiadającą się kobietę, po której pełzają żaby, zaś w tle dwóch dominikanów.

Już od XIX w. w literaturze krąży określenie tematu tego obrazu jako „Niewiasta potępiona za grzechy zatajone". Współczesne publikacje jednak mówią, że nie wiadomo, skąd taki tytuł się wziął – dziś badacze raczej trzymają się interpretacji ukazanego tematu właśnie jako Nierządnicy Babilońskiej. Mnie jednak te zatajone grzechy nie dawały spokoju – i chyba udało mi się znaleźć ich źródło! To opowieść, której korzenie sięgają średniowiecza.

Średniowieczny rodowód

Jean Gobi Młodszy, dominikanin z południowej Francji, był autorem m.in. łacińskiego dzieła znanego jako „Scala Coeli" („Schody do Nieba"). Księga powstała w latach 1327-1330 w klasztorze Saint-Maximin w Prowansji, gdzie zresztą przeorem był wuj autora, Jean Gobi Starszy. Jest to zbiór egzemplów, czyli przykładów – opowieści moralizatorskich do wykorzystania np. w kazaniach. Niemal tysiąc takich historii zostało pogrupowanych w 122 kategorie, ułożone alfabetycznie. Taki układ redakcyjny wykształcił się w środowiskach franciszkańskich pod koniec XIII w. i został spopularyzowany przez dominikanów. W zbiorze Gobiego znajdziemy m.in. historię o niewieście potępionej za grzech zatajony i o wizji pary wędrownych duchownych.

„Scala Coeli" nie stała się jednak od razu hitem wśród kaznodziejów. Zresztą trzeba nadmienić, że rozmaitych antologii powstawało w średniowieczu sporo. I to właśnie z takich wielu różnych źródeł korzystał autor XV-wiecznego „Speculum exemplorum", opublikowanego w Niderlandach (Deventer, wyd. Richard Paffraet, 2 maja 1481). Badacze wśród owych źródeł wymieniają m.in. pisma Grzegorza Wielkiego, Kasjodora, Piotra Damianiego, św. Hieronima, Jana Kasjana, Bedy Czcigodnego, Konrada z Eberbach, Wincentego z Beauvais, Tomasza z Cantimpré, a także Jeana Gobiego. Pierwotna wersja „Speculum exemplorum" zawierała niemal 1300 przykładów, podzielonych na dziesięć ksiąg o nie do końca konsekwentnym układzie treści.

W 1603 r. w oficynie Baltazara Bellerusa w Douai ukazało się zredagowane przez jezuitę Jeana Majora (zm. 1608) krytyczne wydanie, zatytułowane „Magnum speculum exemplorum", omawiające poprzednie wydania, wzbogacone o indeksy oraz podające źródła dla poszczególnych przykładów, jeśli tylko Major był w stanie je zidentyfikować. Materiał został znów pogrupowany według zagadnień w układzie alfabetycznym. *Exemplum* XXII w kategorii *Confessio* („Spowiedź") to interesująca nas opowieść o wędrownych duchownych i ich wizji ilustrującej potępienie kobiety, która zataiła grzechy w trakcie spowiedzi – powtarza ona historię ze „Scala Coeli". W kolejnych latach co roku publikowano na nowo „Magnum speculum exemplorum" i to w kilku miastach, ukazywały się też wydania poszerzone. Dość szybko także ukazała się wersja polska – przekład jezuity Szymona Wysockiego, wydany po raz pierwszy w Krakowie w 1612 r. i kilkakrotnie wznawiany w XVII w. („Wielkie Zwierciadło Przykładow: Więcey niźli z ośmidziesiąt Autorow (...), także z rozmaitych Historiy, Traktatow i książek wyięte (...)").

Exemplum XIX w dziale „Spowiedź" ma tytuł „Spowiedź niedostateczną czyniąc umyślnie niewiasta, zaraz umarła, na okrutnym smoku jeżdżąc, po śmierci była widziana" – oto zatem polska wersja historii znanej od schyłku średniowiecza. Dwóch kaznodziejów w swej wędrówce odwiedziło zamek, w którym mieszkała dama – zgrzeszyła ona cudzołóstwem ze swym krewnym i przez jedenaście lat nie miała odwagi wyspowiadać się z tego grzechu. Zobaczywszy wędrownych kapłanów uznała, że oto nadarza się okazja wyznania grzechu komuś, kto nie należy do lokalnej społeczności. Przystąpiła do spowiedzi, lecz ostatecznie swój najcięższy grzech zataiła. Towarzysz spowiednika widział, jak w trakcie spowiedzi z ust penitentki wypadały żaby i wychodziły z kościoła. Po rozgrzeszeniu jednak żaby wróciły i weszły jej do ust, w tym jedna wyjątkowo wielka i szpetna. ↦

Kaznodzieje ruszyli w dalszą drogę, lecz gdy towarzysz spowiednika powiedział mu o swej wizji, zakonnik zorientował się, że kobieta zataiła coś w czasie spowiedzi. Wrócili, aby z nią porozmawiać, ale zastali ją martwą. Zaczęli modlić się za jej duszę, a trzeciego dnia ukazało się im widzenie: owa kobieta jechała na smoku, dwa węże ściskały jej szyję i ssały jej piersi. Dwie ropuchy siedziały jej na oczach, z ust wydobywał się ogień; ręce jej gryzły dwa psy, dwie ogniste strzały wbite były w jej uszy, a na głowie siedziały jaszczurki. Niewiasta wyjaśniła, że pokutuje za rozpustę, próżność i rozdawanie dóbr kochankom zamiast ubogim, a także za plugawe i frywolne treści przyjmowane przez wzrok i słuch. Dodała również, że niewiasty osobliwie gubią swoją duszę z powodu nieczystości, próżnych ubiorów i bielideł, wróżb i wstydu przed spowiedzią. Choć duchowni zapytali, czy mogą jakoś pomóc potępionej, smok po prostu uniósł ją do piekła.

Enigmatyczne dzieło

„Wielkie Zwierciadło Przykładów" Wysockiego było niezwykle popularne w Rzeczypospolitej. Co ciekawe, inne ilustracje tej akurat opowieści można znaleźć... w Rosji. Pierwszy ruski przekład (w wyborze) polskiego „Wielkiego Zwierciadła Przykładów" został zrealizowany na zlecenie cara Aleksego Michaiłowicza w latach 70. XVII w. – w efekcie ilustracje opowieści o wizji potępionej kobiety jadącej na smoku znajdziemy w sztuce prawosławnej. Jednym z najstarszych przykładów jest malowidło ścienne w cerkwi św. Jana Chrzciciela w Jarosławiu (warsztat kierowany przez Dmitrija Plechanowa i Fiodora Ignatiewa, 1703-1704), choć to nie jedyny przykład.

Żadne chyba przedstawienie nie zawiera wszystkich elementów opisanych w wizji, lecz w przypadku krośnieńskiego obrazu szczególnie w oczy rzuca się brak psów gryzących dłonie niewiasty; ponadto artysta ukazał cztery węże zamiast dwóch, a do każdego ucha kobiety skierował po trzy strzały. Zamiast jaszczurek na głowie widzimy wijące się węże, które sprawiają wrażenie kręconych włosów – motyw ten zapewne zainspirowany został przedstawieniami głowy Meduzy. I, co być może najważniejsze, artysta zdecydował się przedstawić smoka o siedmiu głowach, choć nie ma to zakorzenienia w źródłowym tekście i nie pojawia się na innych ilustracjach.

Możliwości są dwie: albo obraz krośnieński powstał na podstawie jakiejś lokalnej odmiany opowieści ze „Zwierciadła Przykładów", która różniła się w szczegółach od oryginału, albo artysta (czy też raczej zleceniodawca) zdecydował się na specyficzne rozwiązania ikonograficzne ze względu na chęć zawarcia w dziele dodatkowego przekazu. Jak dowodzi w swej pracy doktorskiej ks. dr Paweł Batory (któremu dziękuję za udostępnienie jeszcze nieopublikowanej rozprawy), dekoracje świątyni w Krośnie można odczytać nie tylko w duchu moralizatorskim, ale i kontrreformacyjnym, być może ze szczególnym naciskiem na walkę z arianami.

Zarówno katolicy, jak i protestanci swoich przeciwników religijnych porównywali właśnie do biblijnej Nierządnicy Babilońskiej – a nie ma wątpliwości, że krośnieńska potępiona dama nie przypadkiem dosiada smoka siedmiogłowego. Oryginalna średniowieczna opowieść mówiła o połączonym grzechu cudzołóstwa i kazirodztwa, lecz być może XVII-wieczny obraz moralizatorski poszedł w nieco innym kierunku: walki z herezją. Tak czy inaczej, badania nad tym wyjątkowym płótnem z pewnością nie są zakończone.

Skomplikowane alegoryczne i teologiczne treści barokowych dzieł sakralnych to bardzo wymagające pole badań, ale jakże fascynujące, nawet dla mediewisty. Choć dziś przekaz wielu z tych dzieł może wydawać się nam wstrząsający, to zawsze dobrze jest poszukać odpowiedzi na pytanie, co i dlaczego ukazano w starych obrazach zdobiących zabytkowe świątynie.

A do Krosna warto się wybrać nie tylko na kieliszek lokalnego wina.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

POŻEGNANIE

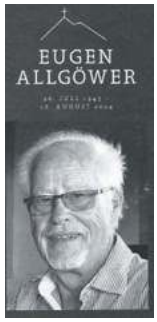

Ś.† P.

Eugen Allgöwer

26.07.1943 – 16.08.2024

Z powołania i wykształcenia był pracownikiem socjalnym, głównie w strukturach Caritasu okręgu Reutlingen (Badenia-Wirtembergia).
Mąż, ojciec, dziadek i brat, całe życie związany z Kościołem katolickim.

Koordynował akcję pomocy dla Polski w latach 1980-1985. Przygotowywał transporty darów do Polski i osobiście prowadził konwoje – począwszy od pierwszego, w grudniu 1981 roku. Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce spowodowało zatrzymanie konwoju na terenie ówczesnej NRD. Finalnie dotarł on do Krakowa przed Świętami Bożego Narodzenia.

Eugen Allgöwer przywiózł do Polski łącznie 15 transportów, z setkami ton żywności, odzieży, leków, artykułów sanitarnych, chemii gospodarczej i paczek zrobionych indywidualnie przez rodziny niemieckie. Dary trafiały do Raciborza, Katowic i Krakowa, do ośrodków przy kuriach lub klasztorach, które opiekowały się rodzinami represjonowanych i potrzebujących.

Uhonorowany został medalem Dziękujemy za Wolność przyznawanym przez Stowarzyszenie Sieć Solidarności.

„Zakochany w Polsce" – takie słowa padły kilkakrotnie nad Jego trumną, w słoneczny sierpniowy dzień na małym cmentarzu w Großengstingen.

Był też naszym Przyjacielem.

R.I.P.

Krystyna Ryczaj-Marchewczyk,
Małgorzata Marchewczyk-Kąkol z rodziną,
Marcin Marchewczyk

ZUZANNA

Radzik:
To był tylko off site

To było w willi nad jeziorem, w styczniu. Zbudował ją oszust, który dorobił się na fałszywych lekach zawierających jedynie placebo. To dlatego jest nieco nowobogacka, nadmiarowa. Odkupił ją od niego kolejny oszust, a potem partia, na wypoczynek dla oficerów. Pracownicy mrocznego muzeum, które się tu mieści, chodzą przed pracą popływać. Teraz jest otoczona zielenią późnego lata, gdzieś w dali widać przystań i plażę, bliżej kuszą żaglówki. Patrzymy na portrety piętnastu uczestników krótkiego spotkania, które trudno nawet nazwać konferencją, choć taka nazwa się przyjęła. Obok dodano, na uzupełniającej wystawę planszy, asystentkę i maszynistkę jednego z nich, autorkę kilkunastostronicowego protokołu, bez którego nie wiedzielibyśmy, o czym rozmawiano.

A mamy protokół z półtoragodzinnego spotkania przy koniaku i kawie, podczas którego wysocy urzędnicy III Rzeszy dyskutowali, jak usprawnić ludobójstwo na jedenastu milionach europejskich Żydów. To nie tam zdecydowano o Zagładzie, zaczęła się ona dużo wcześniej. To był tylko *off site*, taki, na jaki wielu z nas wyjeżdża służbowo pod miasto, by, oderwawszy się od codzienności, rozmawiać o strategicznych wyzwaniach swoich firm. Oni też wyjechali nad jezioro pod Berlin dyskutować o optymalizacji procesu i efektywności współpracy swoich działów i ministerstw.

Poprzednio byłam tu w listopadzie, też w pracy, na seminarium z nauczycielami z Polski. Bardzo dobrze pamiętam sprzed tych kilkunastu lat miejsce, rozmowy i wrażenie, jakie zrobiło na mnie wtedy studiowanie biogramów urzędników, którzy się tu spotkali. Doktorzy prawa, partyjni członkowie, dość przeciętni, wykształceni. Dużo wtedy rozmawialiśmy o tym, że w Polsce, ucząc o tych czasach, skupiamy się na byciu ofiarą nazistowskich Niemiec i nie korzystamy z lekcji, jaką niesie studiowanie procesu instalacji tego systemu i przesuwania granic tego, co wolno jednym, a czego nie wolno innym. Mało myślimy o tym, ile nas ten proces może nauczyć o ślepocie na kontekst, w którym wykonujemy swoje małe obowiązki, rutynowe, zlecone. O drobnych korzyściach odnoszonych kosztem innych, prawie niewinnych, z czasem coraz bardziej ciążących. Gdyby to ode mnie zależało, zadałabym taki kurs każdemu urzędnikowi. A może wręcz każdy obywatel, myśląc o II wojnie światowej w tym wrześniowym czasie rocznic, powinien nie tylko opłakać ofiary, ale i przyjrzeć się sprawcom. Bo smutny i banalny wniosek jednak był w końcu taki, że sprawstwo przydarza się zwykłym ludziom.

W końcu nie tylko oni w piętnastu byli odpowiedzialni. Co z tymi, których widać w sali obok na serii zdjęć z aukcji żydowskiego mienia? Zwykli ludzie z małego miasteczka, roześmiani, z koszykami i gotówką, przyszli, podekscytowani, kupić okazyjnie to, co zostało po sąsiadach wywiezionych na wschód. Rejestry z tych aukcji do dziś są w archiwach. Jeśli ci żydowscy sąsiedzi ocaleli i wrócili, mogli sprawdzić, kto kupił okazyjnie ich zegar po dziadku.

Jednak w spotkaniu w Wannsee uderza bardziej ten urzędniczy chłód. To nie jest jakaś emocjonująca debata, tylko chłodna kalkulacja wydajności systemu. I lekka gra sił, bo w końcu Reinhard Heydrich zaprosił ich do urokliwej willi trochę po to, by zadać szyku, ustawić relacje i zdominować resztę. Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej – tak nazwali cel tego spotkania.

Może więc uczyć także o tych wielkich historycznych kolaboracjach ze złem, nie tylko o ministrach, także o szeregowych, obowiązkowych pomagierach oraz wielkich i drobnych korzyściach czerpanych przez wszystkich wokół. Nie wiem, czy koniecznie na historii. Może raczej na lekcjach wychowawczych, obywatelskich albo na etyce i religii. Bo ostatecznie jest to rozmowa o niewyłączaniu moralnego kompasu. Nic nie poradzę, myślę o tym sporo także w zupełnie współczesnym polskim kontekście, uwikłań politycznych i finansowych korzyści w dość zwykłych czasach.

Dziwna ta willa w Wannsee, bo trochę mrozi, a trochę zachwyca pięknem otoczenia, jasnym wnętrzem, przez które można spoglądać w przestrzeń jeziora. Siłą rzeczy w czasie naszych spotkań tutaj, obok przeszłości i jej rozliczeń, obecny jest mocno zmieniający się krajobraz polityki niemieckiej, Izrael pogrążający się w politycznym i wojennym chaosie, rosnący na świecie antysemityzm, który niewiele sobie robi z wysiłków edukatorów, od dziesięcioleci szkolonych (również w tych ścianach) do zwalczania go. Gdy mowa o odpowiedzialności, myślę nie tylko o tych ledwo rozliczonych sprawcach z czasów nazizmu (choć nawet nie wszystkich piętnastu zbrodniarzy z tego spotkania spotkała sprawiedliwość), ale też bardzo o sobie dziś. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

ŚWIAT

NIEMCY NIE DAJĄ JUŻ RADY

Hamująca gospodarka, niekontrolowana imigracja i znużenie wojną w Ukrainie: na rok przed wyborami do Bundestagu Niemcy grzęzną w kryzysie. Tymczasem ich kłopoty to problem nas wszystkich.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HANOWERU

Dzień 1 września 2024 roku był za Odrą historyczny. Skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD) wygrała wybory landowe w Turyngii, zdobywając co trzeci głos (prawie 33 proc.). W Saksonii AfD uzyskała nieco mniej i tylko o włos przegrała z chadecją (CDU). Wszystkie inne partie odrzucają współpracę z AfD. Zbudowanie koalicji rządowej w tych dwóch landach może okazać się więc niemożliwe.

Ale kolejne dni, które nastąpiły po tym trzęsieniu ziemi, pokazały w całej krasie, w jak trudnej sytuacji jest cały kraj. Ten, który jeszcze kilka lat temu uważany był za lidera Europy.

Wyróżnić można trzy główne problemy. Od tego, czy elity polityczne sobie z nimi poradzą, zależy przyszłość Niemiec. A także, poniekąd, kontynentu.

VW POD KRESKĄ | Centrala koncernu Volkswagen w Wolfsburgu wygląda jak centrum dowodzenia gospodarką kraju. To ciągnący się na ponad kilometr monumentalny budynek, sprawiający wręcz groźne wrażenie. Hala obok hali, dymiące kominy, a obok nich *Autowelt*: nowoczesne centrum motoryzacyjnych doznań, gdzie klient może wybrać swój model auta.

Volkswagen to jeden z diamentów w gospodarczej koronie Niemiec. Garbus, Golf, Passat – przez dekady koncern potrafił produkować pojazdy dla mas na całym świecie. W Niemczech VW jest też synonimem wzorcowych warunków dla pracowników. Wysokie pensje, świetne warunki pracy i pewność, że gdzie jak gdzie, ale w VW można spokojnie pracować do emerytury.

W ubiegłym tygodniu, zaraz po wyborach na wschodzie, bossowie koncernu ogłosili, że firma jest w kryzysie. Że w przyszłości nie można wykluczyć zwolnień wśród niemieckich pracowników, a także zamknięcia dwóch zakładów na terenie Niemiec. Wywołało to szok.

KRAJ NA MINUSIE | Sytuacja gospodarcza Niemiec jest trudna od dłuższego czasu. W 2023 r. PKB zmniejszył się o 0,3 procent. W tym roku też trzeba liczyć się z minusem – prognozuje Instytut Badań Gospodarki Światowej w Kilonii. W tym kontekście hiobowe wieści z Wolfsburga to więcej niż kłopoty jednej firmy – to symboliczny komunikat, że model, na którym zbudowano potęgę gospodarczą Niemiec, ląduje na intensywnej terapii.

Niemieckie koncerny motoryzacyjne od dekad coraz bardziej wiązały się z rynkiem chińskim. Pomagała im w tym polityka. Kanclerz Angela Merkel na każdą delegację do Pekinu zabierała grono przemysłowych potentatów, a Volkswagen był do niedawna liderem sprzedaży w Państwie Środka. Założono, że sukces oparty na tradycyjnych autach, tych z silnikami spalinowymi, uda się powtórzyć na rynku aut elektrycznych.

Nic bardziej mylnego. W 2023 r. cztery na pięć najlepiej sprzedających się modeli w Chinach stanowiły auta chińskiej marki BYD. W pierwszej dziesiątce nie ma ani jednego modelu z Europy. Tylko amerykańska Tesla umie jeszcze dotrzeć do chińskich serc i portfeli.

Ogłaszając przyszłe kroki oszczędnościowe, szefowie VW przyznali teraz, że sprzedają o pół miliona aut rocznie za mało. Na niemieckie auta, niegdyś uważane za najlepsze na świecie, nie ma już takiego popytu na globalnym rynku.

KWESTIA DOBROBYTU | O przewadze w segmencie aut elektrycznych decydują m.in. innowacje informatyczne.

THOMAS BANNEYER / PAP

„Dziękujemy, Angelo Merkel": kartka wśród kwiatów i zniczy na miejscu zamachu dokonanego 23 sierpnia w Solingen przez azylanta z Syrii. Kanclerz Merkel otworzyła w 2015 r. granice dla imigracji pod hasłem „Damy radę!". Solingen, 25 sierpnia 2024 r.

Stoi za nimi na równi myśl inżynieryjna, jak i programistyczna. A w tej dziedzinie niemieckie koncerny nie rozwijają się tak szybko jak konkurencja z Azji. Poza tym w Chinach harówka na okrągło to norma – w fabrykach i biurach. Za to w mocno uzwiązkowionych Niemczech pracownicy przez wiele dekad wywalczyli sobie szereg przywilejów.

– Gdzieś tak od marca, gdy zaczyna się u nas wolne na okoliczność Wielkanocy, aż do końca sierpnia wszystko się wlecze, wiecznie ktoś decyzyjny jest na urlopie, decyzje ciągną się w nieskończoność – mówi „Tygodnikowi" Markus, pracownik w centrali VW (imię zmienione na jego prośbę). Po latach studiów inżynieryjnych i zdobywaniu doświadczenia w mniejszych firmach Markus dostał się do wymarzonego Wolfsburga. Świetne zarobki pozwoliły mu wziąć dwa kredyty i kupić dwa domy. Dwoje małych dzieci bawi się w ogródku miniaturowymi autkami.

Volkswagen umożliwił Markusowi i jego rodzinie sięgnąć po wyśniony niemiecki dobrobyt. Czy za parę lat będzie musiał szukać nowego zajęcia? Czy utrzyma poziom życia? Co czeka jego dzieci? Takie pytania zadaje sobie dziś wielu Niemców z klasy średniej.

CZARA GORYCZY | Także w minionych dniach, zaraz po wyborach w Turyngii i Saksonii, rząd Olafa Scholza spotkał się z opozycyjną chadecją i samorządowcami na tzw. szczycie migracyjnym. W końcu to ten temat przesądził o sukcesie AfD, która od lat domaga się antyimigracyjnej wolty w kraju.

Ale dziś to nie tylko AfD – także nastroje niemieckiego społeczeństwa w tej kwestii znacznie ewoluują coraz szybciej. Zaś kroplą, która ostatnio przelała czarę goryczy, był zamach terrorystyczny w Solingen: 23 sierpnia syryjski azylant Issa Al Hasan zamordował tam nożem trzy przypadkowe osoby, a kolejne groźnie ranił. Stało się to na miejskiej imprezie pod nazwą Festyn Różnorodności.

Media ustaliły, że przyszły morderca dotarł do Niemiec w grudniu 2022 r. i złożył wniosek o azyl. Po kilku miesiącach dostał odmowę i decyzję o deportacji do Bułgarii (tam po raz pierwszy zarejestrowano go jako azylanta). Ale w Niemczech deportacje nielegalnych imigrantów są fikcją. Także w tym wypadku podjęto tylko jedną, nieudaną próbę.

Po jakimś czasie Syryjczyk odnalazł się w innym ośrodku dla uchodźców, właśnie w Solingen. Mógł tu mieszkać – i się radykalizować. Na ścianie w jego pokoju miała wisieć flaga Państwa Islamskiego. ↦

↦ Według zeznań mieszkańców ośrodka, Syryjczyk tylko jadł i spał, a resztę czasu spędzał wgapiony w telefon, chłonąc islamistyczne treści.

SCHEDA MERKEL | Wniosków z tej jednej historii jest dużo – i są druzgocące dla niemieckiej polityki migracyjnej, tej spod znaku jeszcze Angeli Merkel. W 2015 r. otworzyła ona granice i ogłosiła: „Damy radę". Dziś gminy – na nie spada ciężar przyjęcia imigrantów – wołają: „Już nie dajemy rady".

Gdy idzie o wnioski: okazuje się, że każdy przybysz może się podać za dowolną osobę i złożyć wniosek o azyl – choć teoretycznie osoby przekraczające granicę mogą być zawracane już na niej, bo Niemcy otoczone są krajami bezpiecznymi.

Proces sprawdzania wniosków o azyl ciągnie się, bo ich weryfikacja często jest niemożliwa. Nikt tak naprawdę nie zajmuje się ludźmi oczekującymi na decyzję (poza kwaterunkiem i wyżywieniem) – państwo i jego instytucje, także samorządowe, faktycznie nie dają już rady.

Również decyzja o deportacji nic nie zmienia, bo wystarczy na chwilę ukryć się przed urzędnikami lub stawić opór, by następnie wrócić do ośrodka. I dalej pobierać wsparcie finansowe. Dziś w Niemczech przebywa ćwierć miliona azylantów, w których sprawach zapadła decyzja o deportacji, ale których nikt nie deportuje (wyjątki potwierdzają regułę).

KWESTIA STATYSTYKI | Ośrodki dla azylantów, zamiast być miejscem integracji, stają się często miejscami radykalizacji i przemocy. Politycznej, a częściej kryminalnej.

W 2023 r. spośród wszystkich 2,2 mln sprawców zarejestrowanych przestępstw aż 923 tys. (41 proc.) stanowili obcokrajowcy – podczas gdy ich odsetek w społeczeństwie wynosił 15 procent. W tym 402 tys. stanowiły osoby czekające na azyl, posiadające już status uchodźcy i imigranci uznani za nielegalnych.

Dalej: jak czytamy na stronie Urzędu Statystycznego, udział nie-Niemców wśród podejrzanych o przestępstwa z użyciem przemocy (*Gewaltkriminalität*; to mord, gwałt, rabunek, ciężkie uszkodzenie ciała itp.; w 2023 r. zgłoszono ich 214 tys.) wynosi 36 procent.

MORITZ FRANKENBERG / AFP / EAST NEWS

Protest pracowników koncernu Volkswagen przeciw zapowiadanym zwolnieniom. Wolfsburg, 4 września 2024 r.

Na szukanie rozwiązań elity w Berlinie mają rok: jesienią 2025 r. są **wybory do Bundestagu.**

Ale problem jest w istocie większy, bo wśród sprawców z niemieckim paszportem jest dużo osób z korzeniami migracyjnymi. Pokazuje to przykład nagłośniony w tych dniach przez „Die Welt": dziennikarze dotarli do listy ponad 155 sprawców podejrzanych o dokonanie gwałtów grupowych w landzie Nadrenia Północna-Westfalia. Oficjalnie 84 to obcokrajowcy, a 71 to obywatele Niemiec. Ale na liście, na której podano imiona, widać, że także wśród obywateli Niemiec dominują imiona tureckie i arabskie. „Die Welt" wyliczył, że aż 121 ze 155 podejrzanych ma pochodzenie migracyjne.

ZMIANA NASTROJÓW | Jeszcze kilka lat temu, gdyby renomowana gazeta podała takie wyliczenie, zostałaby przyrównana do pisma nazistów „Der Stürmer". Dziś sytuacja się zmienia i także liberalne media coraz częściej nagłaśniają takie ludzkie dramaty – bo dla zgwałconych kobiet to dramaty (zresztą w opisanym wyżej przypadku autor tekstu, dziennikarz Deniz Yücel, sam ma tureckie korzenie; w przypisie do artykułu redakcja zaznacza, że wie, jakim problemem jest przemoc seksualna wobec kobiet w Turcji).

Nielegalna migracja nie tylko podkopuje poczucie bezpieczeństwa w społeczeństwie, ale rodzi też poczucie niesprawiedliwości. Spośród ok. 4 mln osób, które otrzymują zasiłek dla bezrobotnych, aż 47 proc. stanowią obcokrajowcy. Dodając osoby z korzeniami migracyjnymi, to 63 proc. wszystkich korzystających z tego hojnego wsparcia państwa.

Obóz liberalny przez lata przekonywał, że nie można zakładać, iż głównym celem imigrantów jest dostanie się pod skrzydła niemieckiej opieki socjalnej. Że każdy chce jak najszybciej pracować. Liczby wskazują jednak na coś innego.

Ostatni przykład: blisko 13 proc. wszystkich odbiorców świadczeń stanowią Ukraińcy, którzy przybyli po 24 lutego 2022 r.; to ponad 700 tys. osób. O przyznaniu im tego wsparcia zdecydował rząd RFN. Dzięki temu każdy i każda z nich (bo 61 proc. to kobiety) otrzymuje miesięcznie ponad 500 euro. To więcej niż średnie wynagrodzenie w Ukrainie. Dodatkowo państwo niemieckie opłaca rachunki za mieszkanie lub pokój oraz np. za prąd.

To nie mobilizuje do szukania pracy – i winy trzeba szukać w systemie. W żadnym innym kraju, który przyjął uchodźców z Ukrainy, nie ma problemu ich masowego bezrobocia.

ZNUŻENI UKRAINĄ | I tak przechodzimy do trzeciego problem, któremu muszą stawić czoło niemieccy rządzący. Jest on natury czysto politycznej. Partyjny mainstream nie chce współpracy z AfD, którą we wschodnich landach popiera blisko co trzeci Niemiec, dlatego chadecy z CDU muszą podjąć dziś rozmowy z nowym tworem na scenie politycznej: Sojuszem Sahry Wagenknecht (BSW). Jednak ta lewicowa, wręcz komunistyczna populistka stawia jeden warunek: chcecie mnie do koalicji? To przestańcie wspierać Ukrainę!

Dramat tych zaczynających się politycznych targów polega na tym, że od początku wojny w Ukrainie to właśnie CDU była – obok Zielonych – najbardziej proukraińską siłą. To chadecja naciskała na Scholza, by dostarczać więcej broni dla broniącej się Ukrainy.

Wagenknecht nie kryje niechęci do Ukrainy, USA i NATO. Chce, by Niemcy wrócili do współpracy z Rosją. Także

dzięki takim postulatom (bo obok tego BSW chce m.in. ukrócenia imigracji) zdobyła w szybkim czasie spore poparcie. W Dreźnie i Erfurcie chadecy muszą rozstrzygnąć, czy godzą się na ustępstwa. Zostawiając Ukrainę na lodzie, mogliby razem z Wagenknecht zacząć twardo regulować kwestie migracji, nie wchodząc we współpracę z AfD.

Możemy się spodziewać, że właśnie na tych kwestiach w najbliższych tygodniach będą łamać sobie głowy politycy CDU. Odrzucenie oferty Wagenknecht będzie oznaczać nowe wybory landowe i chaos, który jeszcze bardziej nakręciłby wynik populistów z AfD i BSW.

ZOSTAŁ ROK | Niemcy doszły do punktu, w którym w gruzach legły fundamenty polityki, jaką przez ostatnie 20 lat realizowała Angela Merkel. Relacje z Rosją zostały zakończone w dniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Friedrich Merz, obecny lider CDU, chce dziś zamknąć te granice, które Merkel szeroko otworzyła w 2015 r. Hiobowe zaś wieści z koncernu VW zmuszają do szerszych pytań o model gospodarczy Niemiec.

Tyle że problemy, przed którymi stoją Niemcy, są też problemami całego kontynentu. Są problemami polskich granic, bo dotyczyć będzie ich każda decyzja o zmianie polityki migracyjnej w Berlinie. Są problemami polskich poddostawców i fabryk żyjących ze zleceń niemieckich koncernów. Są problemami polskiej strategii wobec wojny, gdyby Niemcy zaczęli wycofywać się ze wsparcia dla Kijowa.

Minister finansów Christian Lindner (z liberalnej FDP) przyznał po wyborach we wschodnich landach, że społeczeństwo żąda od rządzących, aby ci w końcu zaczęli rozwiązywać ich problemy: „Jeśli demokratyczne centrum nie będzie w stanie tego zapewnić, wtedy obywatele będą dosłownie szukać alternatywy".

Na te rozwiązania elity w Berlinie mają czas do jesieni 2025 r. – wtedy odbędą się wybory do Bundestagu. To okrągły rok. Historyczny czas. Czas, który szybko ucieka.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

JACK GUEZ / AFP / EAST NEWS

Medialne przecieki, że Netanjahu storpedował porozumienie z Hamasem o rozejmie i wolnieniu zakładników, wyprowadziły na ulice kilkaset tysięcy Izraelczyków. Na zdjęciu: „skrwawiony" portret premiera na proteście przed resortem obrony. Tel Awiw, 5 września 2024 r.

Izrael. Apoteoza wojny

KRZYSZTOF STRACHOTA

W działaniach Beniamina Netanjahu trudno dostrzec jakiś konstruktywny i wiarygodny plan polityczny. Premier Izraela otwiera za to kolejne fronty – wojna stała się treścią jego polityki.

NIEMAL ROK MIJA OD 7 PAŹDZIERNIKA 2023 r., gdy Hamas zaatakował Izrael, zabił blisko 400 żołnierzy i blisko 800 cywilów, a także wziął 251 zakładników. Ten bodaj najczarniejszy dzień w historii współczesnego Izraela stał się zarazem kolejną odsłoną dramatu Palestyńczyków i Libańczyków.

Oraz – początkiem kryzysu, który swoją siłą idzie w zawody ze wszystkimi dotychczasowymi w tym regionie świata. Początkiem wojny, przy której wcześniejsze konflikty regionalne – konwencjonalne, asymetryczne i hybrydowe – bledną. Początkiem wojny „doskonałej", która, żyjąc sobą, nie zwodzi nadziejami na pokój.

Front pierwszy: Gaza

Od niemal roku armia Izraela, uchodząca za niemal perfekcyjną, „miażdży" Hamas, a wraz z nim Strefę Gazy: gęsto zaludniony (2,5 mln ludzi na 360 km2) skrawek Autonomii Palestyńskiej wciśnięty między Izrael, Egipt i Morze Śródziemne. Zginęło ponad 40 tys. jej mieszkańców (w większości cywilów), a 1,9 mln zostało uchodźcami wewnętrznymi. Kryzys humanitarny odmienia się przez wszystkie przypadki (ostatnio epidemia polio), a skala zniszczeń – w oczach zachodnich dziennikarzy – jest większa niż „ikony" zniszczenia, jakimi były Drezno i Hamburg w czasie II wojny światowej czy Aleppo i Mosul dekadę temu.

Brutalność działań Izraela dawno przesłoniła ofiary 7 października, świat huczy od potępienia, RPA – przy wsparciu rzeszy innych państw – pozywa Izrael do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, oskarżając go o ludobójstwo. Na zawieszenie broni naciskają USA i regionalni partnerzy Izraela.

Ale wojna trwa. Izrael nie wierzy Hamasowi, walczy o zakładników (31 sierpnia w nieudanej próbie ich odbicia Hamas ↦

↦ zabił kolejnych sześciu). Walczy, nie łudząc nadzieją jakiegokolwiek rozwiązania politycznego. Przy tym wszystkim nic nie wskazuje na to, żeby Hamas został rozbity czy choćby znacząco osłabiony.

Front drugi: Hezbollah

Wraz z wojną z Hamasem rozpalił się ze zwielokrotnioną siłą konflikt z libańskim Hezbollahem. Zarówno rakietowe ostrzały ze strony Hezbollahu, jak też – dużo silniejsze – bombardowania ze strony Izraela przyniosły blisko tysiąc ofiar (niemal wszystkie w Libanie). Izrael do perfekcji opanował metody zabijania dowódców i liderów Hezbollahu (ostatnia głośna ofiara to lider struktur wojskowych Fu'ad Szukr, zabity 30 lipca).

Przy ostatniej większej konfrontacji, 24 sierpnia, setka (!) izraelskich samolotów miała zniszczyć 40 celów i do 320 ograniczyć liczbę wystrzelonych przez Hezbollah rakiet. Mimo niezakończonej „operacji" w Gazie, od roku regularnie powracają izraelskie groźby całkowitego zniszczenia Hezbollahu – nie ma wątpliwości, rząd Izraela chciałby osiągnąć strategiczny sukces za cenę nowej wojny.

Choć więc Izrael nie uporał się wciąż z „małą" Gazą, balansuje na krawędzi otwartego konfliktu z wielokrotnie silniejszym Hezbollahem (tylko w czysto militarnych kalkulacjach przypisuje mu się kilkadziesiąt tysięcy bojowników i co najmniej kilkadziesiąt tysięcy różnego rodzaju rakiet).

Front trzeci: Iran

Izrael rozpoczął też ofensywę przeciwko Iranowi (z punktu widzenia Jerozolimy: kontrofensywę, bo Iranowi przypisuje się odpowiedzialność za działania i Hamasu, i Hezbollahu). Na przełomie 2023/24 Izrael zabił kilkunastu wysoko postawionych dowódców irańskich, w kwietniu zbombardował irański konsulat w Damaszku (był to jeden z niezliczonych jego ataków na teren Syrii), aby następnie w nocy 13/14 kwietnia zostać bezpośrednio zaatakowanym przez ponad 300 irańskich rakiet, pocisków i dronów. Region znalazł się na krawędzi apokalipsy – po czym wrócił na swoje tory.

Izrael przypomniał znów o sobie światu, gdy 31 lipca – w czasie inauguracji rządów nowego prezydenta Iranu – zabił w Teheranie szefa biura politycznego Hamasu, Ismaila Haniję. Irańczycy zapowiedzieli godną odpowiedź w wybranej przez siebie formie i czasie – i czekają.

Front czwarty: Zachodni Brzeg

Ostatnim – jak dotąd – frontem pozostaje Zachodni Brzeg Jordanu: główny ośrodek Autonomii Palestyńskiej, którego formalną częścią jest Strefa Gazy.

Napięcie utrzymuje się tam od października 2023 r. Regularnie dochodzi tam do interwencji sił izraelskich, których uzasadnieniem ma być likwidacja Hamasu i komórek odpowiedzialnych za kontakty z Hezbollahem i Iranem. Liczbę zabitych ocenia się na – bagatela – ok. 600 osób.

Motorem napięć na Zachodnim Brzegu pozostają jednak przede wszystkim izraelscy osadnicy, nielegalnie zajmujący kolejne tereny Autonomii Palestyńskiej. Na Zachodnim Brzegu ma być ich ponad 500 tys. (nie licząc Wschodniej Jerozolimy). Bezpośrednio atakują i niszczą palestyńskie osady. Dla nich konflikt w Gazie jest okazją, by siłą wypychać Palestyńczyków i poszerzać swój stan posiadania. Władze Izraela formalnie odcinają się od nich, jednak w praktyce ich wspierają.

Teraz, od końca sierpnia, można mówić już o pełnoskalowej operacji militarnej Izraela, której deklarowanym celem jest rozbicie realnych i domniemanych terrorystów, zaś w praktyce – pacyfikacja Zachodniego Brzegu.

W imię racji stanu

Na tych czterech frontach Izrael prowadzi więc dziś wojnę. Premier Netanjahu deklaruje, że będzie ją prowadzić aż do zwycięstwa.

Tylko – co to miałoby znaczyć? Jak miałby wyglądać pierwszy dzień zwycięstwa? I czego należałoby oczekiwać w, powiedzmy, piątą rocznicę tego zwycięstwa? Bodaj każda wojna ma swój (deklarowany) sens i cel, którego osiągnięcie pozwala ją zakończyć. Uważa się, że każda jest przedłużeniem polityki, jej instrumentem i środkiem.

Gdyby tak spojrzeć na wojnę, wówczas ta obecna, prowadzona przez Izrael – pomijając na chwilę jej aspekty moralne – z trudem poddaje się jednak racjonalności.

W przypadku Izraela bez wątpienia wyrasta ona z głęboko zakorzenionej traumy, która odwołuje się zarówno do Holokaustu, jak też do kolejnych wojen z Arabami po roku 1948 o przetrwanie Izraela, a także ze strachu przed współczesnym Iranem. Ale nie tylko: dzień 7 października 2023 r. załamał wiarę Izraelczyków we własne bezpieczeństwo i poderwał ich zaufanie do własnego państwa.

Dla elit i dla społeczeństwa ta wojna – i jakiś rodzaj zwycięstwa, niezależnie od ceny – wydają się być racją stanu, skoro dotychczasowy model państwa i model polityki bezpieczeństwa się załamał. Dla premiera Netanjahu – skądinąd niezwykle kontrowersyjnego w samym Izraelu – wojna i zwycięstwo są warunkiem jego przetrwania politycznego. Tym bardziej że oskarżany jest o współodpowiedzialność za tragedię 7 października oraz za los zakładników przetrzymywanych wciąż przez Hamas.

Traumę można skonstatować, jej efekty tłumaczyć. Nie oznacza to jednak, że zasadne jest przyjmowanie racjonalności traumy i usprawiedliwianie wszystkich jej konsekwencji.

W wojnie nadzieja

Wojna (wojna w ogóle) mogłaby się tłumaczyć skutecznością militarną. Ta obecna jest okazją do zamanifestowania imponującej sprawności sił zbrojnych i służb izraelskich.

Izrael nie tylko stać na prowadzenie niezwykle kosztownego konfliktu (w czym kluczowe znaczenie ma otwarty kredyt ze strony USA), ale odnosi w niej spektakularne sukcesy. Zabicie dziesiątków dowódców przeciwnika, w tym liderów i Hamasu, i Hezbollahu, w tym zdolność likwidacji Haniji w samym Teheranie pod czujnym okiem Korpusu Strażników Rewolucji (skądinąd też grających w resortowej lidze mistrzów) – wszystko to daje wrażenie wszechmocy i zdolności do sparaliżowania każdego przeciwnika.

Wydaje się, iż Netanjahu ma nadzieję, że w końcu uda mu się sprowokować Hezbollah, a najlepiej Iran, do otwartej i pełnoskalowej konfrontacji. Ta zmusiłaby Amerykę do bezpośredniego zaangażowania się po stronie Izraela (a zapewne także państwa Zatoki Perskiej). Rozbicie Hezbollahu, a tym bardziej Iranu byłoby sukcesem strategicznym. Zniknąłby co najmniej jeden z koszmarów Izraela – perspektywa nuklearnego Iranu, który z chwilą pozyskania bomby atomowej

BASHAR TALEB / AFP / EAST NEWS

Miasto Chan Junus w Strefie Gazy, 4 września 2024 r.

zakwestionowałby nuklearny monopol Izraela w regionie.

Igranie z ogniem

Jaki musi być jednak stopień desperacji i hazardowego zacięcia, aby – nie mogąc przez rok militarnie spacyfikować Gazy – eskalować dodatkowo sytuację na Zachodnim Brzegu, podejmować ryzyko konfrontacji z Hezbollahem (wszak dużo silniejszym niż Hamas), a tym bardziej z Iranem?

Skala kwietniowej rakietowej konfrontacji z Iranem sugeruje przecież, że Izrael (nawet z pomocą USA) mógłby nie tylko zrujnować się finansowo, zestrzeliwując rakiety i drony lecące z Libanu czy Iranu, ale – raczej prędzej niż później – po prostu mógłby nie mieć czym ich zestrzeliwać, gdyby wciąż nadlatywały w dużej liczbie.

Iran wiarygodnie sugerował też, że ma zdolności, aby rozszerzyć swoją „wojnę zastępczą" (tzw. *proxy war*) – dziś jest to m.in. Jemen, jutro może być choćby Azerbejdżan, gdzie Izrael ma poważne interesy.

Ponadto: gdyby choć ćwierć izraelskich oskarżeń wobec nich miała okazać się prawdziwa, to Hamas, Hezbollah czy Iran mają ogromny potencjał do prowadzenia działań terrorystycznych w świecie – i jest to przedmiotem publicznych gróźb i spekulacji.

Kreatywność Iranu w działaniach asymetrycznych, jego nietestowany w boju, ale ogromny potencjał konwencjonalny, wreszcie poważny dług do spłacenia po zamachu w Teheranie – wszystko to nie powinno dawać Izraelowi poczucia komfortu. Okazana w ostatnich miesiącach cierpliwość strategiczna Iranu tym bardziej.

W tle zaś wisi cały czas groźba nuklearyzacji Teheranu. Groźba samospełniająca się – bo jakie może mieć dziś hamulce Iran, aby z tego zrezygnować?

Plan polityczny, którego nie ma

W tym wszystkim otwarte pozostaje pytanie o polityczny cel Izraela.

Bezdyskusyjna jest niechęć Netanjahu do podpisania choćby zawieszenia broni w Gazie – mimo nacisków zewnętrznych, w tym amerykańskich. Co najmniej wątpliwości budzi konsekwentna likwidacja politycznych przeciwników (w tym Haniji, który był otwarty na rozmowy – nawet jeśli koniunkturalnie), antagonizowanie potencjalnych partnerów (w tym nowego prezydenta Iranu, reprezentującego reformatorską mniejszość obozu rządzącego) czy dyskredytacja skądinąd słabych dotychczasowych „klientów" (władze Autonomii Palestyńskiej).

W działaniach rządu Izraela trudno dostrzec konstruktywny i wiarygodny plan polityczny dla przeoranych przez historię Palestyńczyków (zasłonę milczenia spuśćmy na radykalne głosy w debacie izraelskiej i rosnącą pozycję środowisk osadniczych). A zatem trudno dostrzec też alternatywę dla nowej, zapewne jeszcze bardziej radykalnej generacji liderów. Tymczasem jakiekolwiek – choćby narzucone siłą – porozumienie polityczne musi być przyjęte przez drugą stronę, realnie reprezentującą i kontrolującą własne społeczeństwa.

Dramatyzmu dodaje fakt, że problemem są tu zarówno elity i społeczeństwa przeciwników Izraela, jak też elity i społeczeństwo w samym Izraelu. Także dla niego ta wojna niewątpliwie będzie gruntowną cezurą w wymiarze wewnętrznym.

Słabnący blask Izraela

Pozostaje wreszcie pytanie o przyszłość regionu, którą Izrael dziś kreuje.

Przez dekady Izrael wyrobił sobie pozycję stabilnego wewnętrznie (i jedynego demokratycznego w regionie) mocarstwa regionalnego o potężnej sile odstraszania, ale też o dużej atrakcyjności politycznej (poprzez swoje przełożenie na Zachód, a zwłaszcza USA) i gospodarczej. Stał się przewidywalnym, nieodzownym, a dla Egiptu czy państw Zatoki także pożądanym partnerem.

Dzisiejszy Izrael utracił ten walor stabilności i przewidywalności. Trudno dopatrzyć się jego wizji na przyszłość, zwłaszcza akceptowalnej i pożądanej wizji regionu. Skutki chaosu, emocje, które wywołuje w społeczeństwach Bliskiego Wschodu, groźba wielkiego konfliktu czy groźba nuklearnego Iranu (i w efekcie nuklearnego wyścigu zbrojeń) – to wszystko staje się namacalne.

Twardym atutem pozostaje wsparcie Izraela przez USA. Inaczej niż w Europie, elity głównych partii w Stanach jednoznacznie i efektywnie wspierają Izrael. Wsparcie to wyrasta m.in. z założenia o bliskości interesów strategicznych (Izrael uchodził za państwo chroniące interesy USA w regionie) i ugruntowanego historycznie sojuszu (jak wszystko w historii, sojusz ten miał swój konkretny początek – rok 1967 – ale zapewne kiedyś doczeka się swojego końca).

■■■

Jak w tym wszystkim Izrael kalkuluje dziś swoje szanse i zagrożenia? Oraz ile w tym jest w ogóle kalkulacji?

Jeżeli jakaś wojna może stać się w pewnym momencie apoteozą samej siebie – czyli w istocie, z politycznego punktu widzenia, ocierać się o absurd – to właśnie ta wojna Izraela. © KRZYSZTOF STRACHOTA

Przymknięte wrota tajwańskiego azylu

TEKST I ZDJĘCIA MARIA WIŚNIEWSKA Z TAJPEJ

Jako pionier demokracji w regionie, Tajwan przyciąga ludzi z Chin i Hongkongu, którzy uciekają przed represjami. Jednak obawy Tajwańczyków przed szpiegami i masowym napływem dezerterów sprawiają, że tylko niewielu udaje się zapuścić tu korzenie.

Wupalny letni wieczór Xiao Yuhui co parę minut sprawdza czas na elektronicznym zegarku. Wówczas na wyświetlaczu pojawia się zdjęcie jego żony i dzieci. Jego niewielka walizka stoi już spakowana w przedpokoju, tuż przy drzwiach jednopiętrowego szeregowca.

Dom stoi nieopodal dzielnicy uniwersyteckiej w Tajpej, stolicy Tajwanu. Przez ostatni rok Xiao Yuhui mieszkał w nim razem z dwoma innymi chińskimi dysydentami. Teraz siedzimy i czekamy, aż urzędnicy z agencji migracyjnej przyjadą, aby odwieźć go na lotnisko.

W styczniu 2023 r. Xiao Yuhui przepłynął na desce surfingowej pięciokilometrową cieśninę, która oddziela Xiamen (portowe miasto w chińskiej prowincji Fujian) od wyspy Kinmen (należącej już do Tajwanu). Od tego czasu nie zgromadził zbyt pokaźnego dobytku. Ze sobą zabierze teraz tylko to, co zmieści się w walizce – resztę rozdaje. Przyjacielowi, który przyszedł go pożegnać, wręcza tablet. Otwiera też przed nim szafę, w której wiszą jeszcze dwie pary dżinsów i koszulki polo.

Kurtkę spakował. W Kanadzie, gdzie Xiao wyląduje następnego dnia, kurtka przyda się od razu.

Policja zaprasza „na herbatę"

Xiao Yuhui postanowił uciec z komunistycznego państwa w deszczową noc, gdy zła pogoda uśpiła czujność chińskiej straży przybrzeżnej. Aby nie stracić azymutu, na morzu używał nawigacji w telefonie. Chował go pod kurtką, by światło ekranu nie zdradziło jego obecności. W rozmowie wspomina, że niebezpieczna przeprawa nie budziła w nim obaw. Większym ryzykiem byłoby dla niego pozostanie w Chinach.

Xiao mówi, że od paru lat był już pod lupą aparatu policyjnego. Zaczęło się od zaproszeń do komisariatu „na herbatę". Podczas tych „herbatek" policjanci próbowali wybić mu z głowy „wywrotową działalność". Z czasem nieformalne ostrzeżenia przerodziły się w formalne już wielogodzinne przesłuchania i epizodyczne pobyty w areszcie. Czara goryczy, wspomina Xiao, przelała się, gdy funkcjonariusze zaczęli przychodzić do szkoły jego córki.

44-letni Xiao, ojciec trojga dzieci, zasłynął w środowisku aktywistów jako działacz na rzecz praw reprodukcyjnych. Aż do 2015 r. w Chinach obowiązywała tzw. polityka jednego dziecka, a posiadanie kolejnych wiązało się z karami (zwykle finansowymi) i trudnościami w zarejestrowaniu dziecka w urzędzie, szkole, przychodni itd. W 2015 r. władze podniosły ten limit do dwojga dzieci, a w 2021 r. zniesiono wszelkie ograniczenia.

Xiao Yuhui przed wyjazdem. Tajpej, sierpień 2024 r.

Ale zanim Pekin dostrzegł, że krajowi grozi tzw. ujemny przyrost demograficzny (co dziś jest już faktem), rodzice „ponadliczbowych" dzieci mieli ciężko. Xiao pełnił funkcję ich pełnomocnika w procedurach administracyjnych, organizował dla nich szkolenia. Na początku działał w obrębie struktur rządowych, ale z czasem został zepchnięty do szarej strefy, aż w końcu władze uznały jego działalność za nielegalną.

Od komunisty do buntownika

W miarę, jak kurczyła się przestrzeń swobód obywatelskich w Chinach, Xiao zaczął zmieniać swoje myślenie o systemie politycznym kraju, w którym przyszło mu żyć.

Urodzony w 1980 r., dorastał w okresie dwucyfrowego wzrostu PKB Chin, błyskawicznego rozwoju infrastruktury i ogromnej poprawy warunków życia zwykłych rodzin. Przez dużą część swej młodości wierzył, że rządy Komunistycznej Partii Chin (KPCh) odpowiadają społecznym realiom jego kraju.

Wkrótce jednak uznał, że cena, jaką społeczeństwo płaci za materialny dobrobyt, jest za wysoka, a jego zaangażowanie zaczęło przybierać charakter polityczny. Rozklejał więc na ulicach plakaty z hasłami prodemokratycznymi, zbierał podpisy pod antyrządowymi petycjami. Na WeChacie – najpopularniejszym komunikatorze w Chinach – publikował posty wspierające protesty w Hongkongu, których uczestnicy demonstrowali przeciw naruszaniu jego autonomii przez Pekin.

O tym, jak Xiao Yuhui postrzega swoją rolę, świadczy jego zdjęcie profilowe na Line (to najpopularniejsza aplikacja społecznościowa na Tajwanie). W małej ikonce widnieje scenka wykonana z klocków lego, która odtwarza słynną fotografię, wykonaną 4 czerwca 1989 r. podczas krwawego tłumienia protestów na pekińskim placu Niebiańskiego Spokoju: samotny mężczyzna stoi naprzeciw kolumny czołgów, blokując ich przejazd.

Upadek ostatniego bastionu wolności

Dla takich ludzi jak Xiao, którzy podejmowali decyzję o opuszczeniu opresyjnych Chin, jeszcze kilka lat temu naturalnym kierunkiem był Hongkong. Tam przeno-

Dysydencki poeta i wydawca Bei Ling (z prawej) na targu staroci. Tajpej, sierpień 2024 r.

sili się dysydenci lub artyści, którzy nie mogli już swobodnie tworzyć w ojczystym kraju. Nawet zwykli turyści z ChRL, dla których Hongkong był częstym celem wycieczek, mogli podczas nich kupować np. zakazane w kraju książki.

Zmieniło się to w 2020 r., gdy Pekin wprowadził w mieście – dotąd autonomicznym – drakońską ustawę o bezpieczeństwie narodowym. Penalizuje ona dążenie do secesji czy obalenia władzy, terroryzm i zmowę z siłami zagranicznymi – przy czym czyny te definiuje bardzo szeroko, a próg, za którym można już mówić o takim przestępstwie, określa bardzo nisko (może to być np. udostępnienie w sieci artykułu krytycznego wobec KPCh). Ustawa wprowadza kary sięgające dożywocia.

Z Hongkongu w świat

W kolejnych latach setki działaczy stanęły przed sądem, dziesiątki organizacji pozarządowych rozwiązano, a niezależne media musiały zakończyć działalność. Nowe prawo zniszczyło wyjątkowy charakter Hongkongu – do tej pory demokratycznego bastionu w autorytarnych Chinach.

Kiedy Xiao planował ucieczkę z Chin, nawet nie pomyślał więc o „pachnącym porcie" (to dosłowne tłumaczenie nazwy Hongkong). Zresztą także wielu dysydentów z Chin, którzy wcześniej przenieśli się do Hongkongu, postanowiło stąd wyjechać. Wśród nich Huang Wenhai, współlokator Xiao w Tajpej, który kręcił filmy dokumentalne o aktywistach i marginesie społecznym Chin. Na Tajwan wolał przenieść się jeszcze w 2019 r.

Z Hongkongu zdecydowała się wyjechać także część jego mieszkańców. Szacunki wyjazdów wahają się między 200 tys. a 600 tys. osób – to skala porównywalna do emigracji, która poprzedziła przekazanie Hongkongu Chinom przez Wielką Brytanię w 1997 r. Według badań opinii publicznej, prowadzonych przez Chinese University of Hong Kong z końca 2023 r., aż 38 proc. tych, którzy pozostali, chce wyjechać. O Tajwanie myśli prawie 11 proc. z nich. Tylko trochę więcej, bo 14 proc., chciałoby przenieść się do Wielkiej Brytanii (żyje tam spora społeczność emigrantów z Hongkongu), Australii (12 proc.) i Kanady (11 proc.).

Na Tajwan przeniosło się też wiele organizacji pozarządowych i instytucji kultury. W tym słynna księgarnia Causeway Bay, która – zanim opuściła Hongkong – naraziła się Pekinowi, sprzedając skandalizujące książki o życiu chińskich przywódców.

Tajwański azyl

Podczas naszej rozmowy Xiao Yuhui dzieli się romantycznym przekonaniem, mocno zakorzenionym w środowisku chińskich dysydentów, że Tajwan to „stare Chiny", niezbrukane brutalną XX-wieczną historią. Postrzega wyspę jako azyl dla prawdziwej chińskiej kultury, którą na kontynencie zmonopolizowała i zdeformowała KPCh. Jednak Xiao Yuhui ma świadomość, że pogląd ten raczej nie przypada do gustu młodym Tajwańczykom, którzy nie czują żadnej wspólnoty z Chinami i nie chcą być z nimi utożsamiani.

Niemniej to właśnie ci Chińczycy uchodzący z kontynentu, którzy chcą żyć w wolnym kraju, a jednocześnie chcą pozostać w swoim kręgu kulturowym, kierują się – tak jak Xiao – na Tajwan. Cenią sobie wysokie standardy demokratyczne: wolną prasę, żywe społeczeństwo obywatelskie, otwarcie na mniejszości seksualne (w 2019 r., jako pierwszy kraj w Azji, Tajwan zalegalizował śluby par tej samej płci).

Oraz oczywiście wspólnotę językową – na Tajwanie oficjalnym językiem jest także mandaryński. Pozwala to na szybszą integrację.

Językowy rebeliant

Właśnie ze względu na język na Tajwan zdecydował się przybyć Bei Ling. Ten dysydencki poeta z paszportem USA – i do niedawna drugi współlokator Xiao Yuhuia – wygląda jak intelektualista wyjęty z innej epoki: luźna koszula z tradycyjnym mandaryńskim kołnierzem, małe okrągłe okulary, długie siwiejące włosy. Na Tajwanie spędza większość roku, ale teraz, gdy Xiao żegna się z Tajwanem, przebywa w swym drugim domu w Bostonie.

Poza Chinami Bei Ling mieszka już blisko 40 lat, a na Tajwanie postanowił osiąść przed dekadą. Motywacją dla tej ↦

↦ przeprowadzki było wskrzeszenie wydawnictwa Qingxiang (Orientacja), które założył w latach 90. XX w. w Pekinie. Za tamtą działalność wydawniczą zapłacił w 2000 r. aresztem. Zwolniony pod presją środowiska amerykańskich pisarzy na czele z Susan Sontag, został deportowany do USA. Odtąd nigdy nie udało mu się odwiedzić Chin – ostatni raz próbował w 2009 r., ale utknął w komisariacie na pekińskim lotnisku.

Na Tajwanie wydawnictwo Qingxiang zajmuje się publikacją książek zakazanych w Chinach, autorstwa opozycyjnych pisarzy i poetów. Szczególnie bliska Bei Lingowi jest tematyka wygnania i twórczość pisarzy emigracyjnych. W kolekcji wydawniczej ma zarówno pozycje autorów z Państwa Środka (m.in. książki Liao Yiwu i Ma Jiana), jak i z Europy (m.in. Václava Havla, Adama Zagajewskiego, Czesława Miłosza).

Wydawnictwo publikuje książki, używając tradycyjnych chińskich znaków, nadal stosowanych na Tajwanie i w Hongkongu. W ChRL nie używa się ich od lat 50. XX w., gdy komuniści przeprowadzili reformę upraszczającą pismo (w ramach walki z analfabetyzmem). Bei Ling używa zapisu tradycyjnego nawet w prywatnych wiadomościach. Twierdzi, że lepiej oddaje on ducha chińskości.

Restrykcyjna agencja imigracyjna

Bei Lingowi udało się zapuścić korzenie na Tajwanie. Kupił dom w górach (do tajpejskiego mieszkania przyjeżdża raz w tygodniu, po zakupy na targu), ma zezwolenie na pobyt stały i chce starać się o tajwańskie obywatelstwo.

Ale takich dobrych finałów jest tutaj niewiele. Jak mówi mi w prywatnej rozmowie urzędniczka tajwańskiej Narodowej Agencji Imigracji, mało który przybysz z chińskiego kontynentu otrzymuje coś więcej niż zezwolenie na pobyt tymczasowy, które trzeba odnawiać co rok.

Takie pozwolenie ma wspomniany Huang Wenhai. Dzięki renomie, jaką ma w środowisku filmowym, dostał pracę na jednym z tajpejskich uniwersytetów – jako kurator kolekcji niezależnych chińskich filmów dokumentalnych. Parę miesięcy temu, po pięciu latach życia i pracy na Tajwanie, złożył wniosek o zezwolenie na pobyt stały. Po jakimś czasie przyszła odmowa. Powód? Agencja tłumaczy, że Huang ma już zezwolenie na pobyt w Hongkongu.

> Urzędniczka tajwańskiej Agencji Imigracji przyznaje, że mało który przybysz z Chin otrzymuje coś więcej niż **zezwolenie na pobyt tymczasowy, które trzeba odnawiać co rok.**

W gorszej sytuacji był Xiao: dostał zezwolenie na pobyt, ale bez prawa pracy i bez ubezpieczenia zdrowotnego. Wspomina, że gdy miał zawroty głowy i biegunkę, bał się iść do lekarza ze względu na koszty wizyty. Ostatecznie podjął nielegalnie pracę (pensja szła na konto reprezentującego go prawnika) i korzystał z pomocy organizacji kościelnych.

Teraz, przed wyjazdem do Kanady, przedstawia swoje ostatnie wydatki: kurtka za 200 tajwańskich dolarów (ok. 25 zł), produkty spożywcze na targu, piwo pożegnalne.

W rozmowie przyznaje, że już wkrótce po tym, jak przybył na wyspę, zrozumiał, że raczej nie zostanie tu na dłużej.

Z obawy przed szpiegami

Osobny temat na wyspie – to dezerterzy. Do lat 90. XX w. Tajwan regularnie udzielał azylu dezerterom z Chin. Jeszcze wcześniej, po zakończeniu wojny koreańskiej, w 1954 r. Tajwan przyjął ponad 14 tys. jeńców z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, którzy nie chcieli wracać do ojczyzny. Zostali okrzyknięci „antykomunistycznymi bohaterami".

Otwarcie na tę kategorię uciekinierów było związane z ambicjami dyktatorskich rządów partii Kuomintang na Tajwanie. W 1949 r., po przegranej wojnie domowej z komunistami, Kuomintang ewakuował się na wyspę. Przez dekady postrzegał siebie jako prawowitą władzę całych Chin i miał nadzieję, że kiedyś uda mu się odbić kontynent. Przyjmowanie dezerterów z ich ekwipunkiem było więc i opłacalne (wzmacniało militarnie Tajwan), i zgodne z kreowanym przez Kuomintang wizerunkiem Tajwanu jako ostatniego kawałka wolnych Chin.

W 1991 r., równolegle do procesu demokratyzacji, Tajwan porzucił jednak ambicje odbicia kontynentu, a przyjmowanie dezerterów stało się problematyczne. Według wspomnianej urzędniczki dziś to delikatny temat, którego unikają wszystkie partie. Z dwóch powodów. Po pierwsze, politycy nie chcą dodatkowo antagonizować Pekinu. Po drugie, obawiają się, że masowe przyjmowanie dezerterów – i szerzej: politycznych uciekinierów – sprawi, iż Tajwan stanie się łatwiejszym łupem dla chińskich szpiegów.

Samolot do Vancouver

A narodowa solidarność? Dziś Tajwańczycy coraz częściej czują się osobnym narodem – i nie poczuwają się już do odpowiedzialności za sąsiadów z drugiej strony cieśniny.

Nie pomaga też fakt, iż Tajwan nie jest stroną konwencji o uchodźcach (m.in. ze względu na nieuregulowany status międzynarodowy). Jako kraj demokratyczny współpracuje jednak z partnerami, zwłaszcza z USA i Kanadą, do których odsyła część azylantów.

Tak jak tego wieczoru Xiao Yuhuia. Aktywista ma nadzieję, że tam ułoży sobie życie, i że uda mu się sprowadzić z Chin rodzinę. Tyle że po angielsku Xiao nie mówi ani słowa i obawia się, że na początku może być mu trudno.

Zanim Xiao Yuhui poleci do Vancouver, jego przyjaciel i ja pijemy więc pożegnalne piwo Taiwan Beer. On sam zrezygnował z alkoholu i siorbie mrożoną herbatę z mlekiem. Zaraz mają przyjść urzędnicy. – Nie chcę być niegrzeczny – tłumaczy i uśmiecha się delikatnie.

© MARIA WIŚNIEWSKA

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

SPENCER PLATT / GETTY IMAGES

Demonstracja zwolenników Donalda Trumpa w południowym Bronksie, dzielnicy Nowego Jorku zamieszkałej w znacznej części przez społeczność latynoską, o której poparcie zabiegają Republikanie, maj 2024 r.

Głos Latynosów liczy się dziś szczególnie

MIKE MADRID, KONSULTANT POLITYCZNY, AUTOR KSIĄŻKI „STULECIE LATYNOSÓW":

Dla młodych Latynosów, którzy urodzili się już w Stanach, ważna jest silna gospodarka, a nie łagodna polityka na granicy USA–Meksyk. Niektórzy kierują się tymi samymi emocjami, co biali głosujący na Trumpa.

MARTA ZDZIEBORSKA: Powtarza Pan, że po raz pierwszy od dekad latynoscy wyborcy mogą przesądzić o wyniku wyborów prezydenckich w USA. Dlaczego teraz?

MIKE MADRID: Bo Latynosi są już na tyle liczną grupą wyborców, aby w tych stanach, które są kluczowe dla wyniku, mogli przeważyć szalę zwycięstwa na korzyść jednego z kandydatów. Szacuje się, że w listopadowych wyborach Latynosi będą stanowić ponad 14 proc. uprawnionych. Wyprzedzili Afroamerykanów i dziś są największym blokiem wyborców pochodzących z mniejszości etnicznych.

W książce „The Latino Century" pisze Pan, że Latynosi mogą okazać się kluczowi m.in. w Karolinie Północnej, choć stanowią tam zaledwie 4 proc. elektoratu.

Przypadek Karoliny Północnej jest w ogóle ciekawy, bo wraz z rozwojem sektora finansowego, technologicznego i biotechnologicznego osiedla się tu coraz więcej białych Amerykanów z wyższym wykształceniem. To z kolei pociąga za sobą napływ Latynosów, którzy pracują w usługach odpowiadających na potrzeby rosnącej populacji. Szacuje się, że dziś w Karolinie Północnej jest ok. 300 tys. latynoskich wyborców, głównie Amerykanów pochodzenia meksykańskiego. Biorąc pod uwagę, że o wyniku wyborów w tym stanie może zdecydować 50-60 tys. głosów, rola Latynosów jest istotna.

W 2008 r. wyścig prezydencki w Karolinie Północnej był jeszcze bardziej wyrównany: Obama wygrał tu przewagą tylko 14 tys. głosów.

Pamiętajmy, że Obama zwyciężył dzięki wyjątkowo wysokiej frekwencji wśród Afroamerykanów, a także dzięki temu, że biali wyborcy z wyższym wykształceniem zaufali mu bardziej niż republikaninowi Johnowi McCainowi. W tym roku znów są szanse na to, że czarni wyborcy pójdą tłumnie do urn. Jeśli dodać do tego szybko rosnący latynoski elektorat, Partia Demokratyczna może wzmocnić tutaj swoją pozycję.

W których jeszcze tzw. wahających się stanach, gdzie większość głosuje wymiennie na Demokratów lub Republikanów, Latynosi odegrają istotną rolę?

Na pewno w Arizonie i Newadzie, gdzie stanowią dużą część elektoratu. Jednak ich głos będzie się liczyć także w pozostałych kluczowych stanach. W każdym z nich Latynosi są już na tyle dużą grupą, by zaważyć o wyniku. W samym Wisconsin latynoskich wyborców jest już więcej niż czarnoskórych.

Co przyciąga ich do tego stanu na amerykańskim Środkowym Zachodzie?

Głównie praca w rolnictwie. Choć Latynosów przybywa dziś w całym kraju – ostatnio szczególnie szybko w takich stanach jak Tennessee, Montana czy Arkansas. To nie jest już zjawisko tylko regionalne.

Walka Kamali Harris o latynoskich wyborców różni się od tej podejmowanej przez Donalda Trumpa?

Już sam fakt, że Harris zastąpiła Bidena, dał jej szansę na nowe rozdanie. Pozyskanie latynoskich wyborców szło Bidenowi wyjątkowo źle. Kamali Harris idzie lepiej, choć przed nią długa droga. Jej kampania skupia się na tradycyjnym latynoskim wyborcy, co wymaga pracy w terenie.

Tradycyjnym, czyli jakim?

Mówię o Latynosach starszego pokolenia i tych, którzy niedawno imigrowali do Stanów i na co dzień posługują się hiszpańskim. Ich poparcie zdobywa się przez chodzenie od domu do domu, a także przez bombardowanie telefonami i esemesami. Wszystko po to, by ↦

↦ zmobilizować ich do pójścia na wybory. Z kolei Trump stawia na Latynosów poniżej 30. roku życia, mówiących na co dzień po angielsku i wiodących życie przeciętnego Amerykanina. Dociera do nich za pośrednictwem internetu i social mediów. To nowa strategia, bo to zupełnie nowa grupa wyborców.

Latynosi przestali być dziś niezawodnym elektoratem Partii Demokratycznej. Jeszcze w wyborach w 2012 r. przewaga Obamy nad Mittem Romneyem wśród latynoskich wyborców wynosiła 44 punkty procentowe. Osiem lat później, gdy Biden walczył z Trumpem, było to już tylko 21 punktów. Co stoi za tą zmianą?

Powód jest taki, że dziś najszybciej rosnącą grupą Latynosów jest właśnie młode pokolenie urodzone już w USA. Tymczasem Partia Demokratyczna dalej patrzy stereotypowo na Latynosów: postrzega ich głównie jako imigrantów, dla których ważna jest przede wszystkim łagodna polityka azylowa na granicy USA–Meksyk. Dla młodych to nie jest już takie ważne.

Do tego stopnia, że są w stanie głosować na Trumpa, który wyzywa imigrantów od gwałcicieli i morderców?

A jak mogą głosować na niego biali wyborcy? W pani pytaniu jest błędne założenie, że Latynosi z młodego pokolenia będą postrzegać problemy migracyjne przez pryzmat rasy.

Można jednak założyć, że część Latynosów będzie wyczulona na mowę nienawiści Trumpa, choćby z tego względu, że ich dziadkowie czy krewni sami przedzierali się przez amerykańską granicę.

To słuszne przypuszczenie, ale nie zawsze ma pokrycie w rzeczywistości. Większość młodych Latynosów ma inne priorytety.

Czy są nimi kwestie ekonomiczne?

Właśnie tak. Dla młodych najważniejsze jest to, czy utrzymają pracę, czy opłacą czynsz na czas. Chcą przede wszystkim wiedzieć, jak na ich życie wpłynie polityka ekonomiczna, którą proponuje kandydat na prezydenta.

Co jeszcze ma dla nich znaczenie przed tegorocznymi wyborami?

Wysokie ceny żywności i problemy na rynku mieszkaniowym.

One dotyczą wielu Amerykanów: ludzi nie stać na kupno domu, bo ceny mocno wzrosły, podobnie jak oprocentowanie kredytów hipotecznych. To nie są już czasy, gdy Pana rodzice, Latynosi, mogli przeprowadzić się na przedmieścia.

Właśnie dlatego niektórzy są rozczarowani Partią Demokratyczną. W ostatnich latach oprocentowanie kredytów hipotecznych wzrosło niemal trzykrotnie. To z kolei doprowadziło do spowolnienia w branży budowlanej. A przecież pracuje w niej co piąty latynoski mężczyzna. Latynosi zatrudnieni są także w sektorze energetycznym, rolnictwie, górnictwie, rybołówstwie i fabrykach. Niektórzy postrzegają Partię Demokratyczną wręcz jako zagrożenie dla ich dochodów.

Jak to?

Bo kształtowana przez nią polityka klimatyczna zagraża miejscom pracy klasy robotniczej. Niektórzy Latynosi kierują się tymi samymi emocjami, co biali ze Środkowego Zachodu, którzy poparli w wyborach Trumpa. Tymczasem głos Latynosów będzie liczyć się coraz bardziej: szacuje się, że do 2032 r. wśród klasy pracującej będzie więcej kolorowych Amerykanów niż białych. Od lat powtarzam, że ta partia, która będzie potrafiła przyciągnąć głosy kolorowej klasy pracującej, będzie partią dominującą.

Jaki jest typowy latynoski wyborca, który w 2020 r. głosował na Trumpa?

To urodzony w Stanach mężczyzna płynnie posługujący się angielskim. Demokraci przez wiele lat popełniali błąd, kierując do Latynosów spoty kampanijne głównie po hiszpańsku. Tymczasem z badań wynika, że tylko kilkanaście procent Latynosów w USA preferuje czytanie newsów w tym języku. To błędne podejście widać także w drobnych niuansach: jeszcze przed rezygnacją z wyścigu Biden nazwał swoją kampanię skierowaną do Latynosów „*Latinos con Biden-Harris*" (Latynosi za Bidenem i Harris). Za to Trump postawił na nową nazwę: „*Latino Americans for Trump*" (Latynoscy Amerykanie za Trumpem).

Sztab Harris zdaje się rozumieć te niuanse: wypuszcza spoty po angielsku, w których mowa nie tylko o jej imigranckich korzeniach, ale też o jej bezkompromisowej walce z przestępczością. Jak Pan ocenia ten przekaz?

To dokładnie kierunek, w którym powinna zmierzać kampania Kamali Harris. Myślę, że jej konsultanci polityczni zrozumieli, iż Latynosi są zupełnie inną grupą wyborców niż jeszcze kilka dekad temu. W spotach Harris akcentowane jest jej doświadczenie z czasów, gdy była prokuratorką w Kalifornii i walczyła z przestępczością. W tym kontekście przedstawiany jest też problem nielegalnej imigracji. To inna strategia niż ta, którą Demokraci stosowali przez ostatnie 30 lat. Takiej zmiany oczekują Latynosi.

Szczególnie ci mieszkający niedaleko granicy z Meksykiem? Na sierpniowym wiecu w mieście Glendale w Arizonie Harris podkreślała, że ma doświadczenie w ściganiu międzynarodowych gangów i przestępców zajmujących się przemytem ludzi.

To ważne kwestie nie tylko w rejonach przygranicznych, w których Latynosom zwykle bliżej do Partii Republikańskiej. Uzdrowienia sytuacji na granicy [gdzie w ostatnich latach dochodzi do rekordowego napływu migrantów – red.] oczekują też Latynosi z innych części kraju.

Co jeszcze Harris powinna zrobić, by przyciągnąć latynoską klasę pracującą?

Przede wszystkim przedstawić pomysł na to, jak przyspieszyć budowę mieszkań, co pozwoliłoby zbić wysokie ceny na rynku nieruchomości. Ludzie muszą poczuć, że Harris chce ułatwić im realizację *American Dream*.

Ostatnio Harris zaproponowała dopłaty do wkładu własnego dla ludzi ubiegających się o kredyt hipoteczny. Idzie w ślady Trumpa i obiecuje też zniesienie podatku od napiwków dla pracowników usług i branży hotelarskiej.

To bardzo dobre ruchy. Wprawdzie inflacja spadła, ale i tak wielu Latynosom żyje się dziś gorzej niż za rządów Trumpa. Młode pokolenie jest szczególnie podatne

na populizm. Republikanie już to zrozumieli: Latynosów przyciąga do siebie nie tylko Trump, ale także gubernator Florydy Ron DeSantis czy gubernator Teksasu Greg Abbott. Dane pokazują wręcz, że gdyby partia nie była zdominowana przez rasistowską retorykę Trumpa, skręt latynoskich wyborców na prawo byłby jeszcze większy.

Jest Pan współzałożycielem The Lincoln Project – konserwatywnego komitetu, który w 2020 r. wspierał Bidena i opłacał antytrumpowskie reklamy. Jak od środka wyglądała ta walka o pozbawienie Trumpa reelekcji?

W oparciu o dane analityczne przygotowaliśmy serię spotów, które pokazaliśmy grupie wyborców, aby zbadać ich oddziaływanie. Okazało się, że ludzie z wyższym wykształceniem, zwłaszcza kobiety, mają problem z postępującym ekstremizmem Partii Republikańskiej. Chodziło o prowadzoną wtedy przez Trumpa walkę o prawo do wieszania flagi Konfederacji.

To flaga stanów Południa, które podczas wojny secesyjnej z lat 1861-65 walczyły ze stanami Unii, które opowiadały się za zniesieniem niewolnictwa. Dziś według niektórych ta flaga jest symbolem rasizmu.

I okazało się, że właśnie z tego powodu niektóre Amerykanki nie chcą być kojarzone z Partią Republikańską, że się jej wstydzą. Wykorzystaliśmy to i przygotowaliśmy skrojone pod nie spoty kampanijne.

Z lektury Pana książki wynika też, że podebraliście Trumpowi głosy starszych Republikanów, którzy chorowali na covid, albo których bliscy chorowali. To ważny trop, bo Trump słynął z bagatelizowania pandemii. Jak docieraliście do tej wąskiej grupy w kluczowych stanach?

Analizowaliśmy dane Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorób i patrzyliśmy, gdzie rosną przypadki zachorowań. Objawy covidu utrzymują się przez około dwa tygodnie, więc spieszyliśmy się, by zdążyć z wypuszczaniem reklam przed opadnięciem krzywej epidemicznej. W Arizonie naszym celem były właśnie osoby starsze, które niestety częściej chorowały, a przy okazji miały tendencję, aby popierać Trumpa.

PHIL DESMANGLES / ARCHIWUM PRYWATNE

MIKE MADRID jest konsultantem politycznym Partii Republikańskiej, specjalizuje się w analizie trendów wyborczych wśród Latynosów w USA. Doradzał nie tylko republikańskim politykom, ale też tym z Partii Demokratycznej: był doradcą Antonia Villaraigosy, byłego burmistrza Los Angeles, który w 2018 r. startował w prawyborach Demokratów w wyścigu o fotel gubernatora. Madrid jest przeciwnikiem trumpizmu i współzałożycielem The Lincoln Project – konserwatywnego komitetu akcji politycznej, który wspierał Bidena w wyborach prezydenckich w 2020 r. Autor książki „The Latino Century: How America's Largest Minority is Transforming Democracy" (Stulecie Latynosów. Jak największa mniejszość w Ameryce zmienia demokrację w USA).

Rozmawiamy o antytrumpowskiej kampanii, choć jest Pan republikaninem, który zaraz po studiach zrobił karierę w strukturach tej partii. Nie ciągnęło Pana do Demokratów?

Wychowałem się z poszanowaniem dla moich latynoskich korzeni, ale jednocześnie najważniejsze dla mnie były kwestie gospodarcze. Gdy dorastałem, nie czułem, żeby Demokraci stwarzali Latynosom szansę na awans społeczny. Zresztą do tej pory tak uważam.

Dorastał Pan w czasach dwucyfrowej inflacji i wysokiego bezrobocia za prezydentury Jimmy'ego Cartera, prezydenta z Partii Demokratycznej.

Ten czas odcisnął na mnie duże piętno. Do tego dodajmy kryzys energetyczny i pojmanie zakładników w Iranie. Nie zapomnę, gdy kanały telewizyjne odliczały każdy dzień od uwięzienia pracowników ambasady USA w Teheranie [w listopadzie 1979 r. dokonali tego irańscy studenci, podjudzeni przez władze wyłonione po rewolucji islamskiej – red.]. To było dla mnie niepojęte, że coś takiego mogło przydarzyć się Ameryce. Potem, już w liceum, byłem fanem prezydenta Ronalda Reagana, który był silnym przywódcą i miał lepszy pomysł na gospodarkę.

Wciąż mówimy o kwestiach ekonomicznych. Czy one były dla Pana ważne także ze względu na problemy finansowe Pana rodziny? Pytam, bo wspomina Pan o tym w książce, ale bez szczegółów.

Tak. To było dla mnie ważne, bo mój ojciec stracił pracę w sektorze bankowym w czasie recesji w 1982 r. Mocno się to odbiło na naszej rodzinie.

Był Pan fanem Reagana, choć ojciec stracił pracę za jego rządów?

Reagan odziedziczył trudną sytuację gospodarczą po Carterze i wziął się za jej naprawianie. To było dla mnie jasne.

Wróćmy do obecnego wyścigu o Biały Dom: jaka jeszcze grupa wyborców, prócz Latynosów, może okazać się kluczowa?

Zwolenniczki Partii Republikańskiej z wyższym wykształceniem.

Znam takie, które nie zagłosują po raz kolejny na Trumpa, szczególnie teraz, gdy usłyszał wyrok skazujący. Z drugiej strony, czy Harris zmobilizuje je do pójścia do urn?

Od odpowiedzi na to pytanie może zależeć wynik tych wyborów. Podobnie jak od tego, jak skutecznie Kamala Harris i Donald Trump zawalczą o głosy Latynosów.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

HISTORIA

PUNKT WIDZENIA

Z niezliczonych korespondentów wojennych, jakich wydało amerykańskie dziennikarstwo, Ernest Pyle uchodzi za najwybitniejszego. Jednak cena, jaką za to zapłacił, była wysoka.

WOJCIECH JAGIELSKI

Dziennikarzy takich jak on żołnierze lubią najbardziej. Nie zgrywał kogoś, kim nie był. Co jak co, ale takie udawanie żołnierze w okopach wyczuwają na kilometr.

Ernie Pyle w dodatku wierzył, że aby opowiadać o życiu żołnierzy, musi na własnej skórze przekonać się, co czuje człowiek pod karabinowym ogniem i w szaleństwie zabijania. Uważał, że inaczej nie tylko się nie da, ale i nie wypada. Dlatego pchał się na front i starał się dzielić z żołnierzami ich trudy i ryzyko. Nazywał to punktem widzenia pełzającego robaka.

Żołnierze wierzyli mu więc, bo wiedział, o czym pisze. Podobała im się jego skrupulatność, dbałość o szczegóły. Oraz to, że pisał o nich, a nie o sobie, co miała w zwyczaju większość korespondentów wojennych.

STARSZY KOLEGA | Niewysoki i suchy jak szczapa, o mocno przerzedzonej czuprynie, musiał się wydawać żołnierzom starszym człowiekiem. Podczas II wojny światowej przekroczył czterdziestkę, gdy zwykli szeregowcy US Army mieli po dwadzieścia, dwadzieścia parę lat. Takich właśnie młokosów, u progu życia, dorośli posyłają na śmierć w wojenny czas.

Urodzony 3 sierpnia 1900 r., dla większości z nich był więc w wieku ich ojców. Ale oni mieli go raczej za starszego kolegę, powiernika i doradcę. Amerykańscy dowódcy mawiali, że mając do wyboru pochwałę w rozkazie dziennym albo wzmiankę o sobie w artykule Pyle'a, ich żołnierze bez wahania wybraliby wzmiankę w artykule.

Pracował dla koncernu prasowego Scrippsów i Howarda, wydającego w USA pół tysiąca gazet. Należał do najpopularniejszych dziennikarzy w Stanach. Żołnierze wiedzieli, że jeśli ich nazwisko znajdzie się w którejś z frontowych korespondencji, ich rodziny, sąsiedzi i dziewczyny prędzej niż z powolnej poczty polowej dowiedzą się, gdzie są i jak się mają.

Może i nie był najlepszym pisarzem, ale – jak to ujął pewien nowojorski krytyk – umiał zaspokajać najważniejsze potrzeby amerykańskiej przeciętności: bycia dostrzeganym i docenionym.

W DRODZE | Od zawsze coś gnało go w świat. Jego rodzice, rolnicy z Indiany, gospodarujący na kawałku dzierżawionej ziemi, nie dziwili się, że nie chce spędzić życia, tyrając jak oni. Musieli być dumni, gdy zapisał się na studia dziennikarskie. Musieli być też przerażeni, gdy rzucił studia (do końca został mu tylko jeden semestr), by wybrać się z akademicką drużyną baseballową w morską podróż do Japonii. Po powrocie oznajmił, że dziennikarstwa najlepiej nauczy się w jakiejś redakcji.

Zatrudnił się więc jako reporter w niewielkiej gazecie w miasteczku La Porte. Wkrótce jednak pognał na Wschodnie Wybrzeże i znalazł angaż w popołudniówce „Washington Daily News", należącej do wspomnianego koncernu Scripps-Howard. Niedługo po przyjeździe, na mocno zakrapianej zabawie, poznał Geraldine „Jerry" Siebolds, dziewczynę z Minnesoty. Została jego żoną i towarzyszką burzliwego życia.

Zaczęli je od wielkiej wędrówki. Zaraz po ślubie zwolnili się z pracy i fordem marki T („samochodem stworzonym dla przeciętnej amerykańskiej rodziny", jak głosiła jego reklama) ruszyli przed siebie, dokąd oczy poniosą. W 10 tygodni przejechali 10 tys. mil.

HISTORIE LUDZI | Po powrocie wrócił do dziennikarstwa. Pisał o lotnictwie, a choć nie pilotował, jako pasażer przeleciał prawie 200 tys. kilometrów – zawsze musiał wypróbować na własnej skórze to, o czym opowiadał. Potem wyruszyli z żoną w kolejną, jeszcze dłuższą podróż: Teksas, Kalifornia, Nowy Meksyk, Meksyk.

Przywiózł z niej historie ludzi, których spotkał. Podróżne dzienniki Pyle'a były opowieściami o zwykłych postaciach, jakie można spotkać na każdej ulicy, o życiowych rozbitkach, o tych, którym fart w życiu sprzyjał, ludziach dzielnych i nieustępliwych, którzy – złamani przez los – podnoszą się, by dalej brać się z życiem za bary. Podobni ludzie byli bohaterami książek współczesnych Pyle'owi pisarzy – Johna Steinbecka i Ernesta Hemingwaya.

Obaj ci wielcy czytali zresztą podróżne opowieści Pyle'a i bardzo je chwalili. On sam nie był pewny, ile są warte. Zachwyciły za to redaktora naczelnego, który zaproponował mu, by nie przesiadywał więcej w redakcji, lecz jeździł po kraju i przysyłał wyłącznie takie teksty.

Zachwyt naczelnego podzielili czytelnicy: Pyle zyskał rozgłos wędrownego reportera, opisującego Amerykanów i Amerykę z czasów Wielkiego Kryzysu.

Następne lata spędzili z żoną w niekończącej się podróży. Przejechali kraj wzdłuż i wszerz. Na chwilę przystanęli pod Albuquerque w stanie Nowy Meksyk, gdzie kupili parcelę, by zbudować dom. Ale gdy Jerry przyjechała z meblami, Pyle pakował już walizki przed nową wyprawą – do Europy, gdzie wybuchła II wojna światowa.

NA WOJNĘ | Choć nie znał się na pisarstwie wojennym, szefowie koncernu Scripps-Howard postanowili posłać właśnie jego do Europy – ulubionego przez czytelników dziennikarza. Dawał obietnicę dobrej sprzedaży.

Mógł odmówić i dalej zajmować się tym, czym zajmował się dotąd. Ale dziennikarstwo polega na tym, by dostarczać ludziom wiadomości o tym, co ważne. A wojna, gdy wybucha, staje się sprawą najważniejszą.

Steinbeck pojechał na nią, ponieważ czuł, że powinien, że to jego obywatelski obowiązek. Hemingway też pojechał na tę wojnę, choć widział już niejedną i to z bliska. Pojechał jednak, żeby nikt nie pomyślał, że stracił ikrę, zeszkapiał. Pyle, dziennikarz z krwi i kości, pojechał, bo nie miał innego wyjścia.

NA GOTOWE | Depeszowcy nigdy nie przepadali, gdy dołączali do nich reporterzy i pisarze, mający się za lepszy gatunek, stworzony do czegoś większego. Nie dla nich była bezimienna praca na redakcyjnych szychtach, ciągłe nadstawianie ucha i nerwy, nerwy, nerwy.

Wielcy reporterzy zjawiali się dopiero, gdy opadł kurz i pojawiał się Wielki Temat. Według depeszowców przyjeżdżali więc na gotowe. Robili to w dodatku na polecenie szefów gazet, którzy przy okazji ważnych zdarzeń woleli zastępować depeszowców reporterami, a nawet pisarzami, by ich nazwiska przyciągnęły czytelnika, zwiększały sprzedaż gazety i zyski.

Steinbeck brał sobie do serca niechęć, z jaką odnosili się do niego depeszowcy. Żeby ich udobruchać, zapewniał, że nie przyjechał po informacje na wyłączność, a jedynie po historie ludzi, którym przyszło walczyć. Ci, których przekonał, nawet mu pomagali. Innych rozeźlił jeszcze bardziej, bo uznali, że się wywyższa i próbuje im powiedzieć, że przyjechał na wojnę po opowieści, których oni zebrać nie potrafią.

Natomiast co do Hemingwaya, to nie sądzę, by przejmował się tym, co o nim myślą inni. Był przekonany, iż sam jest najlepszym, najdzielniejszym korespondentem wojennym i nikt nie dorasta mu do pięt.

D-DAY: TEN DZIEŃ | Hemingway, Steinbeck i Pyle (wcześniej pisał o wojnie w północnej Afryce i we Włoszech, m.in. spod Monte Cassino) zjawili się w Wielkiej Brytanii przed alianckim lądowaniem w Normandii. Wszyscy korespondenci chcieli być świadkami tej niezwykłej bitwy. Generałowie dowodzący inwazją zgodzili się, by pierwszego dnia desantu żołnierzom towarzyszyło 30 dziennikarzy.

Pyle, Hemingway i sławny fotoreporter Robert Capa (ten od sentencji, że jeśli twoje zdjęcie nie jest wystarczająco dobre, to znaczy po prostu, że nie podszedłeś należycie blisko) znaleźli się wśród wybrańców, którzy mieli lądować na plaży o kryptonimie „Omaha". Ale tamtego dnia, 6 czerwca, nazwanego D-Day, na ląd dotarł tylko Capa. Hemingwayowi i Pyle'owi oraz innym reporterom dowódcy nie pozwolili opuścić barek desantowych. Na lądzie było zbyt niebezpiecznie – losy desantu się ważyły, tylko tego dnia na plaży „Omaha" Niemcy zabili ponad 2 tys. ↦

Ernie Pyle (w środku, w goglach na czapce) z załogą czołgu na plaży w pobliżu Anzio (Włochy), marzec 1944 r.

BSLOC / EAST NEWS

CORBIS / GETTY IMAGES

Pyle (w czapce z daszkiem) na pokładzie okrętu przed desantem na Okinawie, 1945 r.

Amerykanów. Hemingway mógł jedynie przyglądać się walkom przez lornetkę. Pyle nie miał nawet lornetki.

Dotąd opisywał ludziom świat ich własnym, prostym językiem. Nic nie ukrywał, nie upiększał, ale nie zmuszał też, by przyjrzeli się z nazbyt bliska temu, o czym pisał. Nawet gdy pisał o niepowodzeniach, to tak, że odnosiło się wrażenie, iż porażka jest jedynie etapem w marszu po zwycięstwo. Jego korespondencje nie były nachalną propagandą, ale opowieścią przesiąkniętą współczuciem i chęcią przysłużenia się słusznej, czyli bliskiej nam sprawie.

RZECZY NA PIASKU | Chociaż od czasu Normandii z jego tekstów znika to niezłomne przekonanie, że wszystko będzie dobrze – zastępuje je gorycz. Może dlatego, że tamtego pierwszego dnia zabroniono mu szturmować plażę razem z żołnierzami? Dopiero nazajutrz o poranku, kiedy znalazł się wreszcie na brzegu, zobaczył tych, którym miał towarzyszyć.

Ujrzał całą grozę wojny, jej bezmiar okrucieństwa i zniszczenia. W pierwszej korespondencji pisał, jak Niemcy, ukryci w bunkrach górujących nad plażą, kładli pokotem lądujących na brzegu Amerykanów. W trzeciej opowiadał o przedmiotach, jakie znalazł na piasku, spacerując po zabezpieczonej już plaży. „Oto leżą w nierównym szeregu żołnierskie plecaki, zwinięte zapasowe skarpety, zestaw igieł i nici, biblie, granaty ręczne. A tu ostatnie listy, jakie przyszły pocztą z domu... z zapiaszczonych fotografii spoglądają na ciebie twarze krewnych z dalekiego domu".

W listach pisanych z Normandii skarżył się, że przez koszmar, który co dzień ogląda, nie może spać. „Jestem już chory od tej wojny" – napisał do żony. „Wciąż widzę wokół siebie trupy – relacjonował swojemu redaktorowi naczelnemu. – Ale rozumiem, że niewiele można na to poradzić, muszę to ciągnąć dalej".

Dołączył do amerykańskiej 99. Dywizji Piechoty. Żadna inna nie poniosła tak ciężkich strat: w ciągu 264 dni na froncie straciła prawie 35 tys. żołnierzy. W lipcu omal nie zginął pod bombami, zrzuconymi omyłkowo przez amerykańskie lotnictwo. W sierpniu był przy wyzwoleniu Paryża. We wrześniu wyjechał z Europy. „Za dużo było śmierci" – zwierzył się frontowemu koledze.

NA PACYFIK | Spieszył się do Ameryki. Martwił się o zdrowie swoje i żony. Oboje nie wylewali za kołnierz, ale póki byli młodzi, uznawali to jedynie za dobrą zabawę. Nie mieli dzieci, a gdy Ernie wyjechał na wojnę, uzależnienie jego żony przerodziło się w wyniszczającą chorobę. Jerry zapadła też na depresję i chorobę dwubiegunową, kilka razy próbowała odebrać sobie życie. Wracając do domu, liczył, że uda im się ułożyć życie na nowo.

Los zdawał się mu sprzyjać. Rok 1944 okazał się najlepszym w jego dziennikarskiej karierze. Został laureatem Nagrody Pulitzera, znalazł się na okładce tygodnika „Time". Wojna zmierzała ku końcowi, a Pyle, spełniony zawodowo, mógł myśleć, by zająć się domem.

Ale wojna upomniała się o dziennikarza, który tyle jej zawdzięczał. Pobyt w klinice psychiatrycznej nie uwolnił go od poczucia winy, a frontowe upiory i choroba żony sprawiały, że pokojowa codzienność wydawała mu się wręcz trudniejsza od żołnierskiego życia, gdy człowiek martwi się tylko o to, żeby przeżyć kolejny dzień.

Zdecydował, że wraca na wojnę. Z domu w Albuquerque, gdzie mieli spędzić resztę życia, państwo Pyle znów wyjechali razem. Ernie na Iwo Jimę i Okinawę – japońskie wyspy, szturmowane teraz przez marines – zaś Jerry na kolejną terapię. Podobno jadąc znów na wojnę, Ernie miał złe przeczucia.

ZASADZKA | Był więc na wyspie Iwo Jima, gdzie w trwającej ponad miesiąc bitwie zginęło ponad 7 tys. Amerykanów i 22 tys. Japończyków. Fotografia, na której amerykańscy żołnierze zatykają na górze Suribachi – najwyższym wzniesieniu wyspy – gwiaździsty sztandar, stała się równie emblematycznym obrazem zwycięstwa, podobnie jak zdjęcia flagi z sierpem i młotem nad płonącym Berlinem.

Z Iwo Jimy popłynął z żołnierzami na Okinawę, gdzie Amerykanie zamierzali dokonać największego desantu na Pacyfiku. W połowie kwietnia 1945 r. – wojna w Europie miała się skończyć za trzy tygodnie – wylądował na maleńkiej wyspie Ie Shima. O ile Niemcy mieli wcześniej taką taktykę, że twardo bronili brzegów Normandii, o tyle Japończycy oddawali plaże bez strzału, ale za to wycofywali się do porośniętego dżunglą interioru i tam uparcie się bronili. Nawet gdy Amerykanie ogłosili, że zdobyli Ie Shimę, wciąż kryli się na niej japońscy żołnierze.

Ernie Pyle jechał dżipem z dowódcą pułku i trzema oficerami. Był 18 kwietnia 1945 r. Wpadli w japońską zasadzkę. Pocisk trafił go w lewą skroń, tuż poniżej krawędzi hełmu. Zginął na miejscu.

Jerry przeżyła go o pół roku. Przed śmiercią zdążyła odebrać z rąk prezydenta Trumana Medal Zasługi, najwyższe amerykańskie odznaczenie, przyznane pośmiertnie jej mężowi.

■■■

W wydanej w 1995 r. antologii najlepszych amerykańskich reportaży z II wojny światowej znalazło się aż 26 korespondencji Pyle'a i tylko jedna Hemingwaya. Hemingway byłby niepocieszony. Zazdrościł Pyle'owi legendy wojennego korespondenta, bo sam pragnął jej nad życie.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Losy Pyle'a autor opisał także w książce „Wojna. Antologia reportażu wojennego", wydanej przez Znak w 2023 r.

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ELIZA

Kącka: *Inna praca mózgu*

Przystanek „Stępińska" przy Gagarina: by przejść ku wiacie, przecina się ścieżkę rowerową. Ruda zabałaganiła na ścieżce: schodzi wolno, odmierza kroki. Ruszam, by wytrącić ją z letargu. A tu rower z naprzeciwka. Rowerzystka przyspiesza i celuje w Rudą. Nie zdążyłam, potrąca ją z wyraźną premedytacją. „Ej!" – krzyczy za odjeżdżającą gość, co też to widział. U Rudej siniak, mały szok. Podnoszę, przytulam, odpuszczamy kolejkę, wsiadamy do kolejnego autobusu. „Co ona zrobiła?" – pyta Ruda. „Nie wiem". „Ona mnie staranowała". „Haha, tak, pamiętasz taranowanie trzcin łódką? Z dziadkiem?". Uśmiech. Trzcinka. „Ona była zła". „Czy ta złość miała kolor?". Myśli: „Miała tempo". „Przyspieszyła". Uderza się pięścią w nogę: „Szybko, za szybko". „Na rowerze". „W głowie!" – krzyczy. I chowa ją między kolanami.

116, pętla, jedna pakamera siedzeniowa. Starszy w ciemnych okularach, z laską, dwaj młodzi. „Dziadek, ty wiesz swoje, ale to nie przejdzie". „Co nie przejdzie?". „No, ja innego materiału potrzebuję". Cisza. „No, mówię ci, że się biłem o Polskę". „Ale ja muszę dodać w prezentacji nazwę bitwy". Stary: „Nazwę! nazwę! Ja miałem permanentną walkę! Permanentną!". Cisza, zawieszenie. „Dziadek, ale wiesz, my już tak nie mamy". Dziadek łypie na mnie: „Pani słyszy?! On mnie tu kwestionuje!". Ja: „Nie, to nie tak". „Ależ tak! Gówniarz się nie spocił, a ja krew lałem". Młody: „W wielu bitwach". Stary, płacząc: „Wiesz co, Michaś, milcz. Może ja jestem dla ciebie śmieszny, ale ty dla mnie straszny. Cisza już, dobrze?". Jedziemy. Stary płacze, młodzi wystawiają kolejny grymas do szyby. Mijamy Instytut Neurologii w korku.

Gdynia, dworzec, czekam na kolejny prospekt opóźnień. Obok mnie gość gapi się na rozkład. Nadaje w komórkę: „Mamy na razie dziesięć minut w plecy". Pauza. „Ale nie denerwuj się, i tak nie chciałem jechać z twoim bratem". Pauza. „Bo nie chcę rozmawiać". Pauza. „Wszystko się spóźnia". Pauza. „Zostaw, chcę jechać pociągiem". Dłuższa pauza. W końcu desperacko: „Dlaczego?! Kupiłem sobie czas! Trzy godziny! Stać mnie. Stać mnie na czas, zostaw!".

Gdynia, nocny spacer. Wychodzę ze słuchawkami w uszach. Słony podmuch. Skrapla się w aurze zbyt delikatnej, by osiąść na skórze, ale drąży sobie włosowate kanaliki w zmysłach. Sól to minerał smutku. Idę w Świętojańską. Grupki imprezujące, koczujące. Jedni na rożnach knajp, inni na resztkach. Pruję przez światła ulic, leniwe o tej porze, ale i nieopresyjne, przyzwalające. Można iść, korytarz ulicy jest przepustowy. Światła ustawiają się w tunel. Ktoś łapie mnie za rękaw sukienki, okręcam się. „Gdańsk Wrzeszcz?". Ja, że nie wrzeszczę. „Szkoda. Teraz wszędzie łatwo przeskoczyć". „?". „O tej porze nie oporuje". „Czyli na piechotę". Rozpromienił się: „Do Kołobrzegu bym doszedł. A na Gdańsk to chwila, nie warto w taksówkę". Trzymał rower na ramieniu, jakby go dopiero co ściągnął z liny nad przepaścią miasta. Śmiali się z nas na knajpianym tarasie.

Gdynia, tuż przy plaży. Wychodzę na spacer zaranny o piątej. Wszystko o tej porze wygląda, jakby dopiero co wyszło na ląd. Albo wychynęło nad wodę. Lifting świtu robi swoje. W innych warunkach pejzażowych trudno o szybki poród nowego świata. Idę. Mija mnie dwóch joggingowców na jednym oddechu, nie dołączam. A z naprzeciwka gość z psem: „To najlepsza pora, mało ludzi". „Tak". „Tylko w takich spaceruję. Wie pani, ja muszę wierzyć...". „?". „No głupio, ale muszę wierzyć, że ten spacer nie jest taki optymalny, gdyński, że nie jest dla wszystkich. A mieszkam tuż nad plażą. Głupio, nie?". „Czy ja wiem". „Zamieszkałem tu, a się ukrywam. Przed amatorami tego miejsca. Jakoś nie mam zgody. Może powinienem iść do lekarza?". „Nie wydaje mi się. Tęskni pan za autentykiem, hehe". Wziął psa na smycz. „Autentyk – brzmi jak nazwa statku". „Owszem". „Wsiadłbym. Wie pani, że stąd Gombrowicz wypłynął...". „Jasne". „O, pani wie! No więc może to by było rozwiązanie". „Jakie?". „Mieć stateczek, pokład, dryfujący tuż przy brzegu. Malutki, ale na własnych zasadach". Uśmiecham się. „Mówiłbym żonie, że idę na spacer. I wsiadałbym na łajbę, i płynąłbym wzdłuż brzegu. Łeb w łeb ze spacerującymi". „Tak by pan zrobił całe wybrzeże". „Ale nie po śladach pozostałych. Bez rozmów".

Tramwaj 10, park Dreszera, dosiada się dwóch starszych. Pierwszy: „Ładne kwiatki ma panienka na spódnicy". „A dziękuję". „Ja już jestem stary, wszędzie widzę dziewczynki, to podobno praca mózgu". „Yhy". Spogląda badawczo: „Mogłem obrazić, ale co mi tam, praca mózgu. Raz widzę pasikonika na doniczce, raz panią w spódniczce w kwiatki, praca mózgu". „Jasne". „Praca mózgu jest ciekawa. Są różne domy starców w Warszawie. Domy kultury czyli. Ale dla takich jak ja, z inną pracą mózgu". Spauzował. „Co też się pani śmieje?". Uśmiecham się. „Czy pani mózg pracuje prawidłowo?". „Oj, nie". „To uznajmy, że mamy randkę, dziewczynka i starzec. Bo wszystkie jesteście dziewczynki. Od pewnego progu nie rozróżniam wieku. Dobra nasza. Czy pani kogoś dobierze?". „Dobierze?". „Kto z nami idzie na dansing?". „Coś wymyślę". „Wie pani, szkoda życia na co innego, jak te momenty. Pani też niech się przygląda dziewczynkom. Prawda, kolego?". Drugi starszy się ocknął. A ja zaraz wysiadam. Pierwszy: „Niech kolega zapisze, że w piątek, w miejscu wiadomym, będziemy gapić się na spódnice dziewczyn. Niech uzgodni szczegóły, damy pani bilecik". Morskie Oko, zaraz Dworkowa. A opowiadacz zastygł raptem, stężał w wosk. Kolega: „Pani godność?". „Dziewczynka, chyba". Wysiadłam. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

TUTKI I ZWIJKI. 100 lat historii Herbewa

TYGODNIK POWSZECHNY

STRONY SPECJALNE

„TP" 37/2024

MATERIAŁY PRASOWE HERBEWA

Linia produkcyjna w fabryce Herbewa, Kraków, lata 30. XX w.

Ludzie są najważniejsi

ANDRZEJ BARAŃSKI, PREZES HERBEWA:

Tradycja bardzo pomaga w prowadzeniu firmy, ponieważ nie trzeba odbywać studiów specjalistycznych. Wystarczy parę zdań, przemyśleń przekazanych od poprzedników. Należy też być bezwzględnie uczciwym.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Skąd wzięło się Herbewo?

ANDRZEJ BARAŃSKI: Historia zaczęła się od mojego dziadka, który zbudował wszystko od zera. Mając 13 lat, przyjechał do Krakowa – uciekł od ojca, zawodowego sierżanta armii austriackiej, który był niezwykle trudnym człowiekiem. Jako nastolatek zaczął dziadek praktykować u szklarza, gdzie dość szybko poważnie pokaleczył sobie dłonie przy pracy. Trafił do Szpitala Bonifratrów, w którym został wyleczony i niedługo potem zatrudnił się jako pomocnik w sklepie z wyrobami tytoniowymi u pana Rudolfa Herliczki przy Małym Rynku. Dzięki pracującemu tam dozorcy miał możliwość zamieszkania na strychu. Rozpoczął naukę zawodu, mając za sobą jedynie dwie klasy szkoły podstawowej. Stopniowo jednak awansował, został sprzedawcą, buchalterem, a później przedstawicielem handlowym na Bośnię i Hercegowinę. Jeździł po Bałkanach i skupował tytoń. Okazał się niezwykle skuteczny, a środowisko kupców żydowskich, które uznało go za bardzo uczciwego i pracowitego człowieka, pomogło mu rozwinąć skrzydła.

W ten sposób uczył się handlu?

Tak. Dziadek, Stanisław Wołoszyński, wpadł na pomysł udoskonalenia produkcji tutek. Wówczas na rynku dostępnych było niewiele gotowych papierosów. Zazwyczaj robiono je z tutki właśnie, czyli rureczki papieru. Następnie wkładano taką rurkę do bardzo prostej maszynki i przy jej pomocy nabijano tytoń – powstawał gotowy papieros. Palili wtedy wszyscy, do lat 50. XIX wieku było to uważane za bardzo zdrową przyjemność. Stanisław około roku 1907 poszedł na swoje, zakładając fabrykę „Kosmos" przy ulicy Krupniczej w Krakowie. To w niej skonstruował pierwszy automat do produkcji tutek.

Maszyna ta była o wiele wydajniejsza od zatrudnionych pracowników i spełniała pokładane w niej oczekiwania. Przyspieszyło to sprzedaż, dodatkowo reklama wzmacniała rozpoznawalność produktu i zyski oraz przekonywała konsumentów o wysokim poziomie higienicznym produktów – tutek nie dotykają w czasie produkcji ludzkie ręce. Wykorzystując sukces, inwestował w drugą i kolejną maszynę. Ta metoda produkcji tutek i bibułek zyskała uznanie jeszcze przed I wojną światową. Firma przetrwała wojnę, a po niej Stanisław Wołoszyński połączył siły ze swoimi wcześniejszymi konkurentami, czyli z przedsiębiorstwami rodzin Herliczków i Bełdowskich. Powstała spółka Herbewo, z nazwą pochodzącą od pierwszych liter nazwisk rodowych.

Firma miała oryginalne i głośne kampanie reklamowe.

Reklamy emitowano w kinach po projekcji filmu fabularnego, a przy okazji sprzedawano produkty Herbewa. Puszczano je także w kinobusach, które jeździły od wsi do wsi po całej Polsce. Tak firma HERBEWO ze swoimi tutkami, wśród których najbardziej popularną marką był Morwitan, zyskiwała rozgłos. W Polskim Radio puszczano specjalnie skomponowane piosenki reklamowe z melodią tanga, walca, fokstrota. Warto odnaleźć w internecie te utwory, których teksty mogą dla współczesnego odbiorcy być nieco szokujące. W przestrzeni miejskiej widoczna była reklama na automobilach oraz na pięknych neonach reklamowych. Jeden z nich, w Warszawie, był ruchomy i łączył logo HERBEWO oraz Myszkę Miki. To był bardzo nowatorski marketing! Rozwój Herbewa oparto na trzech filarach: reklamie, innowacji, działalności prospołecznej.

Jaka idea stała za tym wszystkim?

Wdzięczność. Dziadek oparł swoje życie na poczuciu wdzięczności. Pamiętał o tych, którzy mu pomogli bezinteresownie wtedy, gdy sam nie miał nic. Bardzo pomógł bonifratrom w rozbudowie szpitala i nie tylko. Dozorcy, który znalazł mu kąt do życia w tak trudnym momencie, zaoferował stanowisko w firmie – został jednym z bardzo ważnych pracowników. Stanisław Wołoszyński był gorącym zwolennikiem nowinek technicznych – został pierwszym pasażerem cywilnym, który odbył lot z Krakowa do Wiednia. To trochę jakby dzisiaj był kosmonautą.

Jakie jeszcze innowacje wprowadzał?

Automatyzował fabrykę przy pomocy maszyn, miał bardzo nowoczesne podejście do reklamy i marketingu, ale i troszczył się o pracowników. Niezwykle ważni byli dla niego ludzie i możliwość zabezpieczenia ich bytu, był osobą o wielkiej wrażliwości społecznej. W Polsce istniał konflikt interesów między Polakami a Żydami. Aby nie przeszkadzało to w działalności firmy Herbewo, stosowano zasadę, że do zachodniej Polski wysyłano Polaków, a do wschodniej Polski – Żydów. Przedstawicieli handlowych było kilkuset. Wszyscy kupcy z danej części kraju byli przekonani, że odpowiednio jest to firma żydowska lub polska.

W jaki sposób Stanisław Wołoszyński został jedynym właścicielem Herbewa?

Gdy fabryka zaczęła się rozwijać, dziadek stopniowo odkupował udziały od wdów i od pozostałych wspólników. Firma rozwijała się znakomicie, posiadała ponad 20 proc. rynku w Polsce, co było ogromnym sukcesem. Dziadek umarł w 1931 roku. W testamencie większość akcji zapisał swojemu synowi, Andrzejowi, który był od małego przyuczany do zajmowania się przedsiębiorstwem. Doprowadził do zakupu przez Herbewo akcji Mirkowskiej Fabryki Papieru w Jeziornej od braci Frère, Belgów. Przeprowadził jej modernizację na dużą salę – traktował przywrocenie świetności zrujnowanej papierni jako swoj patriotyczny obowiązek. W 1939 roku Mirkowska zatrudniała ok. 1200 pracowników. Przed wojną został też konsulem honorowym Belgii w Krakowie. Był doktorem praw. Doskonale zajmował się fabryką.

MATERIAŁY PRASOWE HERBEWA

Anna Wołoszyńska

Ale w końcu firmą pokieruje jego siostra, Pana mama. Jak do tego doszło?

Niemcy wiedzieli, kim jest Andrzej Wołoszyński i w pewnym momencie zaproponowali mu tekę ministra przemysłu w marionetkowym polskim rządzie. Odmówił. W 1942 roku zostaje aresztowany przez gestapo na podstawie donosu, prawdopodobnie złożonego przez bliską mu osobę. Trafił na Montelupich, a potem do obozów, kolejno do Auschwitz, Buchenwald, Gross-Rosen i Dachau. Mama walczyła jak lew, by wydostać brata. Na próżno. W tym czasie musiała zastąpić go w Herbewie. Już wcześniej była zaangażowana w życie firmy, ale zarządzanie tak dużym przedsiębiorstwem przez kobietę w tamtych czasach było rzeczą niespotykaną!

Mama była podobna do brata?

Nie! Byli wyjątkowo różni – mama jako dziecko była niezwykle wrażliwą i delikatną dziewczynką. Wyrosła na bardzo skromną osobę. Wuj natomiast był przekonany o swojej wyjątkowości. Pewności siebie dodawały mu imponujące warunki fizyczne i doskonałe wykształcenie. Wuj skończył Akademię Handlową i zrobił doktorat na prawie. Akademię kończył w Wiedniu jeszcze przed wojną, tam poznał bardzo dużo Niemców i stąd zresztą narodził się pomysł remontu papierni w Konstancinie. Udało mu się przekształcić ją w najnowocześniejszą papiernię w Europie.

Co wyjątkowego wprowadzała kobieta dyrektor w fabryce?

Oparła swój sukces na... empatii. Szczególnie wobec kobiet, które miały dziecko, a nie miały męża. W tamtych czasach wiązało się to z dyskryminacją, napiętnowaniem. Mama te kobiety zatrudniała w Herbewie. Zorganizowała też żłobek i przedszkole. W ten sposób zdobyła rzeszę oddanych pracowniczek. Dbała, by zarobki były godne – i rzeczywiście, były zdecydowanie wyższe niż u konkurencji. Przykładowo mechanicy zarabiali nawet tysiąc złotych, a gdzie indziej najczęściej 300, 400. Wprowadziła też politykę socjalną, organizowała wakacje dla pracowników. Wynajęła kiedyś w tym celu cały dwór w Mogilanach. Tak zbudowała wspaniały zespół. Gdy później przyszła okupacja, bardzo dużo pań zostało kimś w rodzaju agentek mojej mamy. Kobiety te miały krewnych na Poczcie Polskiej, dzięki czemu udawało im się przechwytywać listy do gestapo z donosami. To było właściwie coś na kształt wywiadu.

Wróćmy jeszcze do okupacji.

Przychodzi okupacja, do fabryki Herbewo wchodzą Niemcy. Przez całą jesień 1939 roku przysyłali delegacje przemysłowców niemieckich, by ci uczyli się organizacji we wzorcowo zarządzanej fabryce. Potem, gdy wuj został aresztowany, przecierali oczy ze zdumienia, widząc kobietę dyrektora. Mama znała świetnie niemiecki, wyglądała jak wzorcowy typ Niemki – blondynka, bardzo zgrabna. Stopniowo jednak Niemcy przejmowali fabrykę.

Co dzieje się z Herbewem po wojnie?

Do 1948 roku fabryka bez przerwy działała. Zamówiono nowe maszyny, żeby uruchomić produkcję. Moja mama cały czas działała w Krakowie. Ojciec pochodził ze skrajnie biednej chłopskiej rodziny spod Pacanowa. Skończył jednak studia i zaczął pracę w banku. Wysoko awansował, był jednym z dyrektorów Komunalnej Kasy Oszczędności. Rodzice wzięli ślub w 1946 roku. Jest rok 1948, mama jest w ciąży, mojego ojca zamykają do więzienia. Skazany został na 15 lat, wyszedł schorowany warunkowo po 6 latach.

A jak wyglądała sytuacja Herbewa? ↦

↦ Nowe maszyny przyjechały, zostały złożone w podworcu, a fabrykę upaństwowiono. Zajęto wszystko poza jednym lokalem – archiwum Herbewa, ale spółki nie wykreślono z rejestru. Mamie została administracja posiadanych od przed wojny kamienic, które zostały zajęte przez kwaterunek.

A Pan?

Skończyłem szkołę, pracowałem na AGH. Otworzyłem później warsztat samochodowy, ponieważ nie mogłem się pogodzić z tym, że muszę pracować na etacie państwowym. Poznałem dzięki temu całą opozycję – rozniosło się, że nie oszukuję ludzi. Potem zaczęły się zmiany ustrojowe. Wystąpiliśmy o odzyskanie firmy, spółka cały czas istniała, odbywały się walne zgromadzenia. Stopniowo przejmowaliśmy budynek Herbewo, 11 sklepów, nikogo przy tym nie wyrzuciliśmy. Przejmowaliśmy te sklepy z personelem i z inwentarzem, spłacaliśmy wszystko. Żeby dostać fabrykę, musiałem po decyzji ministerstwa przemysłu o stwierdzeniu faktu nielegalnego przejęcia wziąć duży kredyt i spłacić koszty wyprowadzek lokatorów. Metodą kupiecką – wykupywaniem – odzyskaliśmy Herbewo. Następnie stopniowo remontowaliśmy lokale. Otworzyliśmy dom handlowy, a później sklepy zmienione zostały na powierzchnie biurowe. Zbudowaliśmy nowoczesny budynek przy ulicy Lubelskiej, a 7 lat temu kolejny przy Prądnickiej. Tak się przedstawia ta historia. Najważniejsze w niej są porady moich przodków. Dzięki nim zbudowałem sobie zespół ludzi, najlepszy z możliwych.

Co jest kluczem do sukcesu Herbewa?

Firma musi się opierać na uczciwości, innowacyjności. W tym duchu wprowadziliśmy pierwsze zielone dachy w Krakowie. Przyznam, że przez zupełny przypadek. Na budynku, gdzie jest ładny taras, w którymś momencie dach porósł mchem, dość duży kawałek. Pięknie to wyglądało. Pomyślałem, że jeśli już przerabiamy wszystko, to trzeba również jakąś zieleń tu posadzić. Wprowadziliśmy również pierwsze wielkogabarytowe cegły zamiast tworzyw sztucznych na elewacji przy Lubelskiej 29. Ten budynek zdobi

JACEK TARAN

ANDRZEJ BARAŃSKI
w swoim biurze w siedzibie firmy Herbewo. Kraków, 9 maja 2024 r.

niezwykły witraż projektu Piotra Ostrowskiego z Krakowskiego Zakładu Witrażów S.G. Żeleński. Na innym biurowcu, Regent Office przy ul. Prądnickiej 20A, powstała pierwsza winnica na dachu. Zajmuję się trochę winiarstwem, to moje hobby. A zaczynałem bez jakiejkolwiek znajomości uprawy winorośli – od kupienia przypadkowych szczepów, kierowałem się po prostu ładną nazwą i miałem nadzieję, że wyrosną dobre winogrona. Od posadzenia pierwszych krzaczków mija już 20 lat i niektóre wina są wybitne.

Jak to jest prowadzić firmę o tak długiej tradycji rodzinnej? Na naszym polskim gruncie to rzadko spotykane.

Tradycja bardzo pomaga, ponieważ nie trzeba odbywać studiów specjalistycznych. Wystarczy parę zdań, przemyśleń przekazanych od poprzedników. Należy być bezwzględnie uczciwym. Mój dziadek, gdy zdarzyło się kiedyś, że dostał list od klienta, który pisał mu z rozżaleniem, że w pudełku z tutkami papierosowymi brakuje jednej sztuki, czuł się w obowiązku zrekompensować to rozczarowanie. To był oczywiście błąd maszyny, ale Stanisław Wołoszyński wysłał temu klientowi trzy pełne pudełka tutek papierosowych wraz z listem z przeprosinami. Wychowałem się na tych historiach, traktuję je bardzo poważnie. Losy firmy i ludzi z nią związanych były niezwykle dramatyczne. To powinno nauczyć mnie pokory – nad nią pracuję... Miałem też zawsze ogromne szczęście do spotykania niezwykłych ludzi na swojej drodze. To m.in. ks. Adam Boniecki, Mirosław Dzielski – oni stali się moimi mistrzami.

Kolejnym czynnikiem kształtującym moją postawę było doświadczenie religijne. Przed bierzmowaniem brałem udział w spotkaniu grupy chłopaków przygotowujących się do tego sakramentu i wówczas biskup Wojtyła, który był tam obecny, spojrzał na mnie i powiedział, żebym nigdy nie oszukiwał ludzi. Potraktowałem to niezwykle serio. Uczciwość i dobre traktowanie ludzi, moich pracowników, są dla mnie kluczowe.

Takie podejście procentuje?

Tak, to pozwala zbudować zespół sprawdzonych i zaufanych ludzi, na których można liczyć, bo wiążą się z firmą na długie lata. Myślę, że niekoniecznie trzeba posiadać wykształcenie ekonomiczne, ale dobrze jest odbyć wymagające studia. Tak, by przygotowały nas do pracy, pozwoliły się rozwinąć, nabrać obycia. Moje studia na AGH, bardzo trudne, zawodowo niewiele mi dały – mechanika była u nas poboczną działką. Niemniej bardzo dokładnie ją studiowałem, a potem byłem jednym z lepszym mechaników.

Czyli wewnętrzne przekonanie o swojej wartości połączone z uczciwością to przepis na sukces?

Tak, dodałbym jeszcze to, co podkreślała moja mama – absolutnie nie należy się wywyższać. Trzeba być życzliwym dla ludzi. Mówiła, że dla niej i dla ojca firma była dużo ważniejsza niż oni sami. Herbewo to zespół ludzi i to ludzie są tu najważniejsi.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE HERBEWA

Biurowiec Regent Office w Krakowie

Zwijki, gilzy i tutki

ELŻBIETA PIETRZYK-DĄBROWSKA

Firma od początku kładła nacisk na innowacyjne formy reklamy, na przykład specjalnie napisane dla Herbewa tanga śpiewali Hanka Ordonówna i Eugeniusz Bodo.

MATERIAŁY PRASOWE HERBEWA

Widokówka reklamowa fabryki tutek „Kosmos", prawdopodobnie 1912 r.

Spółka akcyjna Herbewo Herliczka-Bełdowski-Wołoszyński powstała sto lat temu, w lutym 1924 r. z połączenia firm trzech znanych krakowskich producentów artykułów tytoniowych – Rudolfa Herliczki, Władysława Bełdowskiego i Stanisława Wołoszyńskiego. Nazwę firmy HER-BE-WO utworzyły więc pierwsze litery nazwisk jej twórców.

Firma zajmowała się produkcją tzw. galanterii tytoniowej – zwijek (nazywanych też gilzami albo tutkami) i bibułek papierosowych. Kierowana przez głównego udziałowca, Stanisława Wołoszyńskiego, który nie bał się ryzyka w handlu i w produkcji, stała się jedną z najlepiej zarządzanych fabryk w Polsce i przynoszącą ogromny zysk.

Pierwszorzędny towar

Druga połowa lat 20. i lata 30. to czas wielkiego rozwoju Herbewa. Przemysł tytoniowy był stosunkowo nową branżą. Początkowo palili tylko mężczyźni, dopiero pojawienie się w latach 80. XIX w. masowo produkowanych papierosów spopularyzowało palenie i z początkiem XX w. po papierosy zaczęły sięgać także kobiety. Herbewo podążało za trendami. W fabryce przy al. Słowackiego 64 w Krakowie zainstalowano nowoczesne maszyny, które pozwoliły na intensyfikację produkcji.

Przełożyło się to na poważny wzrost zysku i pozwoliło zarządowi na dalsze inwestycje. Na wyniki ekonomiczne miały wpływ zarówno wysoki poziom technologiczny fabryki, jak i bardzo dobra jakość jej wyrobów. Produkowane tutki były nie tylko przyjemne w smaku, ale i eleganckie z wyglądu. Odpowiadały więc gustom bogatszych klientów oraz kobietom. Firma produkowała zwijki (gilzy) Morwitan, Bon-Ton, Antynikotin, El Gamel, Gold-Tipped, Blue Cork, Temida, Herbewo Doré, Korkowe i Filigran, bibułki do papierosów Pobudka, Herbewo i Morwitan, a także bibułki do fajek. Najpopularniejszym produktem Herbewa były zwijki Morwitan. Tworzono je z włókien liści morwy, a tajemnica ich produkcji została prawnie zastrzeżona w Urzędzie Patentowym.

Produkty spółki zostały docenione na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, gdzie w 1929 r. otrzymały srebrny medal. W 1936 r. w prasie codziennej pojawiły się entuzjastyczne artykuły mówiące o tym, że Morwitan został doceniony przez prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, dla którego papierosy były tworzone z tej właśnie bibułki.

Produkty Herbewa były dystrybuowane w całym kraju przez wielu drobnych sklepikarzy, w dużej części żydowskich. Firma zatrudniała też swoich przedstawicieli, tzw. pomocników podróżujących, których zadaniem było nawiązywanie kontaktów handlowych i poszukiwanie nowych punktów sprzedaży w zaborze rosyjskim, pruskim oraz Królestwie Polskim, a po odzyskaniu niepodległości – na terenie całego kraju. Herbewo otwierało również własne sklepy.

Reklama dźwignią handlu

Do ogromnego sukcesu firmy przyczyniła się także dobrze prowadzona reklama. Wystarczy przejrzeć archiwalne wydania prasy codziennej z lat 30. z różnych regionów Polski, żeby przekonać się o sprawności działań promocyjnych firmy. Herbewo współpracowało w tym zakresie z Janem Żmijewskim, który – jak sam się przedstawiał – był technikiem organizacji i propagandy. Żmijewski opracowywał dla Wołoszyńskich hasła reklamowe, projekty reklamowych ogłoszeń prasowych, plakaty oraz różne gadżety. Przygotowywał dla Herbewa pięknie ilustrowane kalendarze kieszonkowe, w których znalazły się rozmaite materiały dotyczące sztuki palenia oraz promujące zwijki i bibułki Herbewa.

Oprócz klasycznych reklam w gazetach pojawiały się także krótkie notki prasowe lub felietony, w których pisano o Herbewie i jego wyrobach. Publikowanie tych krótkich tekstów dziennikarskich było przemyślanym zabiegiem wzbudzającym zaufanie czytelników, bo stanowiło subtelniejszą formę perswazji. Spółka zlecała badania swoich produktów, a wyniki ogłaszała publicznie w reklamach i w formie publikowanych broszur. Szczycono się tym, że badania te potwierdzały wysoką jakość zwijek i bibułek Herbewa.

Swoich klientów spółka nagradzała upominkami: firmowymi torebkami, kalendarzami, szklanymi talerzami na monety, cygarniczkami, zapalniczkami. W 1936 r. wydano też ilustrowane opowiadanie „Powrót do kraju rodzinnego: historia z życia", którego tematem wiodącym była produkcja tutkarska Herbewa. W opowiadaniu wspominano ↦

trzech założycieli spółki i początki jej działalności.

W różnych miastach kraju montowane były reklamy świetlne firmy. Jedna z nich pojawiła się w Warszawie na kamienicy Uruskich u zbiegu ul. Focha (dziś Moliera) i Senatorskiej. Projektantem tej kompozycji był uznany później architekt Zygmunt Stępiński. W miastach kursowały też samochody z wymalowanym logo firmy, które przez głośniki puszczały piosenki oraz ogłoszenia reklamowe Herbewa.

W reklamowaniu produktów firmy zaangażowano nowe medium, jakim był film. W kinach miejskich oraz kinach obwoźnych wyświetlano krótkie filmy, m.in. animowany film niemy „Czar Atlantydy", udźwiękowione filmy „Zabójca czadu" i „Od Karpat do Bałtyku" oraz kreskówkę reklamową „Morwitan" z Myszką Miki w roli głównej. Nadal można je zobaczyć na stronie internetowej firmy. Do reklamowania produktów Herbewa zatrudniono także gwiazdy światowego kina – Marlenę Dietrich oraz Laurela i Hardy'ego, czyli sławny duet Flip i Flap. W Polsce znany aktor teatralny, kabaretowy i radiowy Leon Wyrwicz miał palić wyłącznie produkty Herbewa, o czym informowały plakaty i kartki pocztowe, a specjalnie napisane dla Herbewa tanga śpiewali Hanka Ordonówna i Eugeniusz Bodo.

Romans Herbewa z kinem trwał jeszcze po II wojnie światowej. Znane produkty spółki pojawiały się bowiem jako rekwizyty w filmach, spektaklach i serialach takich jak „Znachor" i „Stawka większa niż życie". W 1971 r. Polskie Radio wyemitowało spektakl pt. „Papierosy Herbewo" autorstwa Ireneusza Iredyńskiego.

MATERIAŁY PRASOWE HERBEWA

Reklama z Marleną Dietrich w czasopiśmie „Kino", nr 48 z 27 listopada 1932 r.
Poniżej: Historyczne opakowania produktów Herbewa

Konkursy z nagrodami

Ogromnym sukcesem marketingowym okazał się całkiem nowy wówczas pomysł zorganizowania ogólnopolskiego konkursu. W 1936 r. Herbewo za pośrednictwem prasy ogłosiło, że ci, którzy dokończą zdanie „Palę zawsze papierosy w samospalnych higienicznych zwijkach »Morwitan«, gdyż wiem, że...", wymieniając zalety tych zwijek (gilz, tutek), nalepią na odpowiedzi literę „M" wyciętą z wieczka pudełka „Morwitan" i prześlą ją na adres Herbewa, mogą powalczyć o specjalnie zaprojektowane nagrody.

W roku następnym wielką popularność zyskały półgodzinne audycje „Morwitan w piosence", emitowane w Polskim Radiu. Słuchaczom zaprezentowano sześć piosenek skomponowanych specjalnie dla Herbewa, wykonywanych przez Jerzego Kierskiego, Alberta Harrisa i Chór Juranda. Były to: tango „Morwitan to nasz znak", walc angielski „Szczęście motyla", tango „Puść wszystko z dymem", fokstrot „Jedyne marzenie", tango „Nikotyna" oraz marsz, początkowo nieposiadający tytułu. Słuchowisko nadawane było z Warszawy, Lwowa i Poznania. Oprócz piosenek, pojawiły się w nim zabawne dialogi, których tematem wiodącym było palenie. Przy okazji tego słuchowiska został ogłoszony plebiscyt na dwie najpopularniejsze piosenki oraz na najbardziej oryginalny tytuł dla ostatniej, bezimiennej piosenki.

Popularność akcji zaskoczyła wszystkich. W prasie pojawiły się informacje o ogromnym odzewie na ogłoszony konkurs. W odpowiedzi do Herbewa miało dotrzeć „dziesiątki tysięcy serdecznych i entuzjastycznych listów nie tylko z całej Polski, ale i z zagranicy, zbiorowe zgłoszenia setek stowarzyszeń, związków, szkół, świetlic żołnierskich i kilkaset nazwisk".

Ochronić pracowników

Do wybuchu II wojny kondycja firmy była doskonała. Wartość akcji i kapitał zakładowy rosły w szybkim tempie. W 1936 r. Herbewo kupiło Mirkowską

JACEK TARAN

Fabrykę Papieru w Jeziornej, która miała zapewnić dobrej jakości surowiec do produkcji zwijek i bibułek. Dyrekcja firmy planowała dalsze inwestycje, jednak wkroczenie we wrześniu 1939 r. Niemców do Polski przekreśliło te plany. Okupanci uznali produkcję Herbewa za użyteczną dla gospodarki niemieckiej. Pozostawili firmę w rękach polskiego zarządu, ale poddali ją kontroli.

Dla właścicieli rozpoczął się czas wytężonych starań o utrzymanie firmy i pracującej w niej załogi. Dezorganizacja gospodarcza w pierwszych miesiącach wojny, wstrzymanie eksportu oraz wcielenie części Polski do Rzeszy ograniczyły znacznie rynek zbytu. Nowe przepisy prawne wprowadzone w okupowanej Polsce zabraniały Żydom posiadania firm i sklepów. W związku z tym Herbewo straciło znaczącą część kontrahentów. Głównymi odbiorcami jego produktów były bowiem małe sklepy i trafiki, należące w większości do Żydów. Ponadto 90 proc. zatrudnianych przed wojną pracowników podróżujących stanowili Żydzi. Po wybuchu wojny zarząd firmy starał się pomóc swoim żydowskim klientom i pracownikom przebywającym w krakowskim getcie oraz ukrywającym się w innych częściach miasta.

Herbewo należało do największych zakładów produkujących produkty tytoniowe na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Dzięki silnej pozycji finansowej sprzed wojny mogło przeznaczyć część środków na zorganizowanie opieki socjalnej dla swoich pracowników oraz wspieranie materialne Rady Głównej Opiekuńczej i innych instytucji pomocowych, wysyłanie paczek więźniom obozów niemieckich i pomoc potrzebującym mieszkańcom Krakowa.

Mimo reglamentacji surowca przez Niemców, Herbewo starało się utrzymać produkcję. Jej ograniczenie wiązałoby się z koniecznością drastycznej redukcji zatrudnienia, a pozbawienie ludzi pracy spowodowałoby ich wywóz jako pracowników przymusowych do Rzeszy. Zarząd firmy kilkukrotnie stanął przed dylematem zwolnienia części załogi. Mimo grożącego mu niebezpieczeństwa i kosztem zysku firmy decydował on – za każdym razem – o utrzymaniu stanu zatrudnienia. Bezpieczeństwo pracowników firmy kupowane było przez dyrekcję Herbewa za łapówki wręczane urzędnikom niemieckim.

Ilustrowane kalendarzyki Herbewa autorstwa Jana Żmijewskiego

JACEK TARAN

Dla pracowników Herbewo zorganizowało kuchnię zakładową, w której każdego dnia wydawano ciepłą zupę. Firma zapewniała także dodatkowe racje żywności, zwłaszcza tym, którzy cierpieli z powodu niedożywienia. Starała się też zapewnić opał na zimę i finansowała zakup odzieży. Firma świadczyła swoim pracownikom ciągłą pomoc finansową w formie zapomóg, pomagała w przeprowadzce pracownikom zmuszonym do przesiedlenia w inny rejon Krakowa i wspierała ich po śmierci bliskich.

Upaństwowienie

W 1944 r. Herbewo ponosiło bardzo duże straty. Brakowało surowca, a towar sprzedawany był po niekorzystnych cenach. Część gmachu firmy została zajęta przez Luftwaffe. Firmie groziło wywiezienie do Rzeszy całego wyposażenia fabryki. Dyrekcji firmy, zmuszonej ponownie do lawirowania pomiędzy narażeniem się Niemcom i potrzebą chronienia swojego majątku, pomogli lojalni pracownicy, którzy ukryli część wyposażenia fabryki. Niektóre maszyny wywieziono do stolicy, gdzie niestety uległy zniszczeniu podczas powstania warszawskiego.

W styczniu 1946 r. weszła w życie ustawa o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej. Początkowo Herbewu udało się uzyskać decyzję Wojewódzkiej Komisji do Spraw Upaństwowienia o wykreśleniu z wykazu firm przeznaczonych do upaństwowienia, jednak po sfałszowanych wyborach w 1947 r. i zaostrzeniu działania komunistów wobec tzw. prywatnej inicjatywy, w spółce rozpoczęły się uciążliwe kontrole skarbowe. Wobec dyrekcji formułowane były oskarżenia – nieudowodnione – o współpracę z Niemcami w czasie wojny. W tym trudnym momencie pracownicy spółki pozostali lojalni wobec dyrekcji.

Ostatecznie w 1948 r. postanowieniem Głównej Komisji do Spraw Upaństwowienia Przedsiębiorstw fabryka Herbewo została przejęta na rzecz państwa, a jej budynek zajęła Drukarnia Narodowa. Samej spółki jednak nie wykreślono z rejestru handlowego, ale jej działalność ograniczona została do administrowania nieruchomościami.

W 1990 r. Andrzej Barański, wnuk założyciela Herbewo, Stanisława Wołoszyńskiego, odzyskał prawo do części nieruchomości spółki. Powołany został nowy zarząd. Firma zmieniła jednak profil działalności. Do produkcji bibułek i tutek nie powrócono, a w starym budynku fabrycznym powstał dom towarowy. Od 1996 r. Herbewo zajmuje się zarządzaniem nieruchomościami.

© ELŻBIETA PIETRZYK-DĄBROWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 37/2024
REDAKCJA: Michał Sowiński | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Jacek Taran
OKŁADKA: Budynek „Herbewo", widok od strony Nowego Kleparza, Kraków, 1941 r. / Ewald Theuergarten / Narodowe Archiwum Cyfrowe // Historyczne opakowanie produktu Herbewa / Jacek Taran

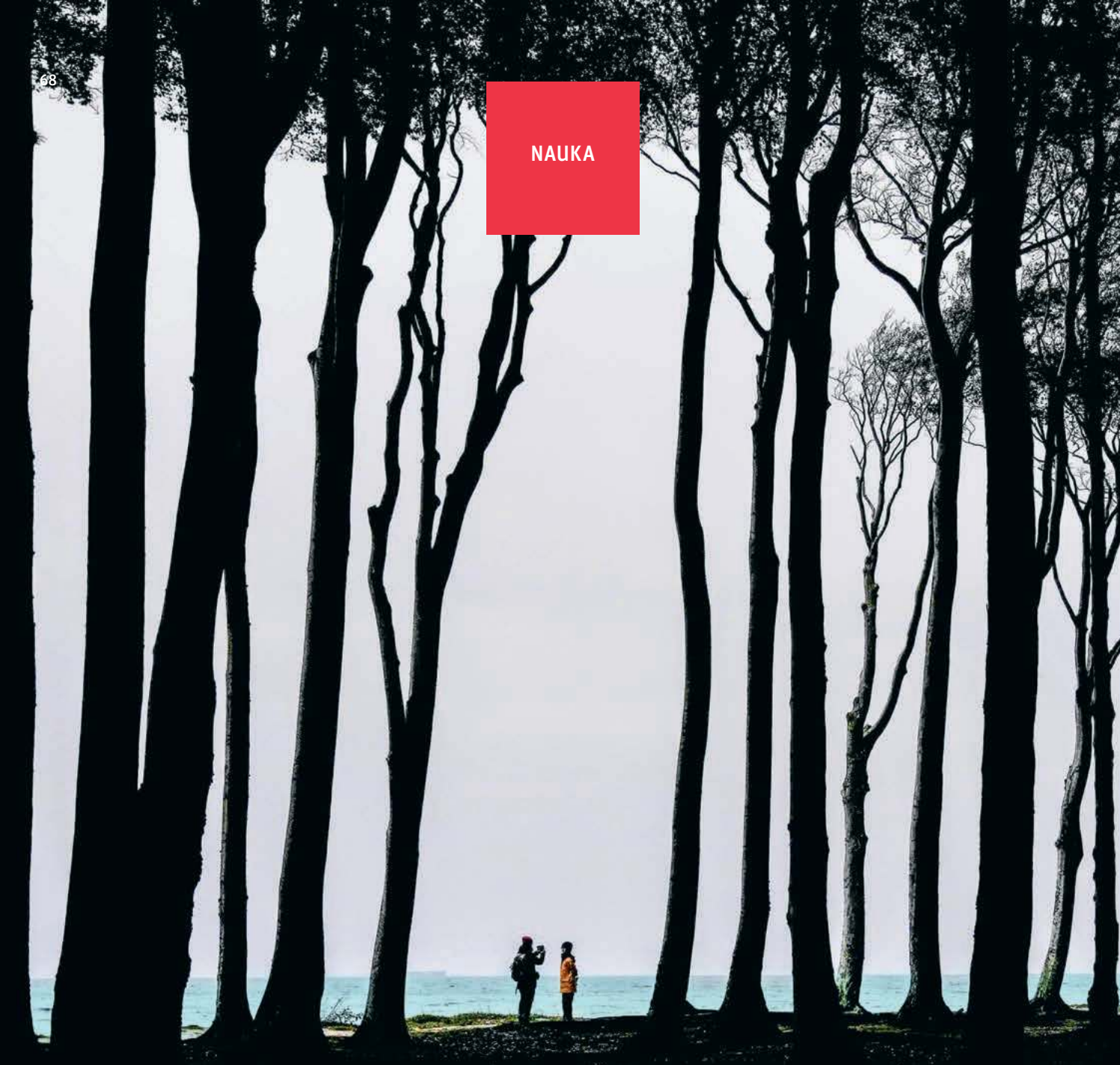

BLISKIE SPOTKANIA TRZECIEGO STOPNIA

Ludzie na całym świecie donoszą o kontaktach z istotami nadprzyrodzonymi. Współczesna psychologia nie traktuje tych świadectw jako objawów zaburzeń myślenia. Pozwalają one zrozumieć, jak działa zdrowy umysł.

PIOTR SZYMANEK I MATEUSZ HOHOL

Kultury całego świata opływają w narracje poświęcone duchom, demonom czy obcym. Wiele z nich liczy całe stulecia, choć istnieją też współczesne mity. Maciej Czeremski, religioznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego, plasuje wśród nich tzw. miejskie legendy, takie jak opowieści o czarnych wołgach porywających dzieci, lub pogłoski o białym krokodylu zamieszkującym kanały Nowego Jorku. Jednak narracje to nie wszystko, bowiem tysiące osób twierdzi, że faktycznie przeżyły spotkanie z nadprzyrodzoną siłą.

Co piąty Amerykanin uważa, że doświadczył obecności ducha, a co dziesiąty miał widzieć UFO. W 1967 r. dwóch kalifornijczyków nagrało film przedstawiający rzekomą Wielką Stopę, zaś lata 90. przyniosły dziesiątki doniesień o kontakcie z Chupacabrą, „wysysaczem kóz" dręczącym gospodarstwa Ameryki Łacińskiej. Po naszej stronie globu badanie przeprowadzone w Wielkiej Brytanii wśród studentów pokazało, że 14 proc. doznało kontaktu ze zmarłymi, a odpowiednio 5 i 4 proc. widziało UFO lub doświadczyło działania czarów. Skąd biorą się podobne świadectwa?

Padaczka, brzytwy i dusiołki

Jeśli założymy nawet, że w większości tych przypadków mamy do czynienia z mistyfikacją, wciąż możemy zadać sobie pytanie, skąd bierze się reszta podobnych doniesień. Jednym ze sposobów wyjaśniania tych zjawisk może być odwołanie do zaburzeń w funkcjonowaniu ludzkiej percepcji. Po pierwsze, doświadczenia kontaktu z nadprzyrodzonymi siłami mogą być halucynacją wynikającą z ataku padaczki, epizodu psychozy czy działania substancji psychoaktywnych.

Jerzy Vetulani był orędownikiem zwłaszcza tego pierwszego wyjaśnienia. Jak argumentował, padaczka obejmująca obszary skroniowe naszego mózgu (podczas epizodu dochodzi do gwałtownej aktywacji neuronów) może wywoływać wrażenie obecności lub jedności ze światem. Tę dość popularną ideę poddano testom z użyciem przezczaszkowej stymulacji magnetycznej, jednak aktywacja tą metodą kory mózgowej nie przyniosła żadnych specyficznych rezultatów. Tak czy inaczej, wydaje się, że „spotkania trzeciego stopnia" wymagają bardziej systematycznego wyjaśnienia niż sporadyczne i wysoce indywidualne zaburzenia poznawcze.

Nieco lepsza pod tym względem jest teoria zaproponowana przez brytyjską psycholożkę Susan Blackmore, zainteresowaną wyjaśnieniem, skąd biorą się świadectwa nocnych porwań przez UFO. Za punkt wyjścia Blackmore obrała doświadczane przez wiele osób paraliże przysenne, które z kolei wiążą się z bardzo złożonymi i realistycznymi halucynacjami. Paraliż przysenny to stan, w który wpadamy każdego dnia – nasze ciało na czas odpoczynku rozluźnia bowiem wszystkie niepotrzebne mięśnie. Pojęcia tego zaczęto jednak używać w odniesieniu do patologicznego, choć nieszkodliwego stanu, w którym władza nad mięśniami wraca do śniącego dopiero kilka sekund lub nawet minut po przebudzeniu.

W tym krótkim momencie „sparaliżowany" może doznać nieprzyjemnych halucynacji, takich jak poczucie obecności, ból lub wrażenie bycia duszonym. Jeśli czytelnikowi przychodzi na myśl obraz „Nocna mara" Füssliego lub wiersz o Dusiołku, skojarzenie to jest uzasadnione – Blackmore twierdzi bowiem, że w stanie paraliżu przysennego nasz umysł wypełniają obrazy osadzone w kulturze, w której żyjemy. W XVIII w., gdy Füssli malował swój obraz, śpiącego dusił zły demon; w XX w. natomiast, gdy świat przesiąkł opowieściami o UFO, demona zastąpili obcy wszczepiający ludziom chipy.

Choć koncepcja Blackmore nie wyjaśnia wszystkich nadprzyrodzonych doświadczeń, skraca przynajmniej naszą listę o jedną pozycję. By wyjaśnić szeroką gamę doświadczeń kontaktu z nadprzyrodzonymi istotami i zjawiskami, potrzeba jednak bardziej uniwersalnej teorii. Odwołanie do substancji psychoaktywnych czy paraliżu przysennego jest kuszące, ponieważ pozwala całe zjawisko sprowadzić do prostej modyfikacji działania umysłu.

Sprawa robi się jednak złożona, gdy weźmiemy pod uwagę np. to, że spotkania trzeciego stopnia bywają nieraz doświadczeniami zbiorowymi i wręcz poszukiwanymi (np. przy grupowym wywoływaniu duchów) i że zdarzają się one osobom zupełnie zdrowym. Co więcej, istnieją miejsca znane z wielkiej ilości podobnych zdarzeń, takie jak nawiedzone lasy i domy. W literaturze opisano nawet tzw. syndrom jerozolimski, który polega na tym, że niektórzy pielgrzymi do świętych miejsc doświadczają depersonalizacji, dezorientacji oraz urojeń o tematyce religijnej.

W swojej ostatniej książce „Rozpad umysłu" amerykański psychiatra Jeffrey Lieberman wyznaje, że podczas wizyty pod Ścianą Płaczu sam doznał tego syndromu. Jak się zdaje, aby w pełni wyjaśnić, skąd pochodzą podobne świadectwa, konieczne jest przyjrzenie się nie tyle zaburzeniom umysłu, co samym podstawom jego działania.

Umysł w kulturze

Psychologia zwykła traktować umysł jako przypominający komputer system zamknięty w granicach naszej czaszki, obojętny na ciało i na otaczające nas środowisko. Dominującą metodą badań był i wciąż pozostaje izolowany eksperyment, w którym osoby badane reagują na przedstawiane im na ekranie komputera bodźce, a badacze rejestrują poprawność i czas wykonywania zadań, a niekiedy także aktywność mózgową.

Choć podejście takie owocuje niezliczonymi wynikami, narażone jest ono na zarzut braku tzw. trafności ekologicznej. W naszym naturalnym funkcjonowaniu rzadko reagujemy na kropki, światełka i dźwięki produkowane przez komputer, siedząc w fotelu zamkniętym wewnątrz czterech ścian laboratorium. Bardziej realistyczny obraz ludzkiego poznania zakłada, że nasze myśli są silnie związane z tym, co właśnie robimy i jakie przyświecają nam cele (np. czy poszukujemy jakichś doznań, czy unikamy ich), jakie sygnały płyną z naszego ciała, a także z kulturą, w której jesteśmy zanurzeni.

Wątki te nie są w psychologii nowością – rozwijał je William James, jeden z prekursorów tej dyscypliny jeszcze w XIX w. – począwszy od lat 70. XX w. badacze, tacy jak noblista Herbert Simon, przyjęli zarysowany wyżej, raczej ascetyczny obraz umysłu po to, by móc badać go w ściśle kontrolowanych eksperymentach. Niemniej jednak, w ostatnich dekadach postuluje się zerwanie z owym ascetyzmem, stawiając na próby wyjaśniania umysłu jako powiązanego ściśle z kulturą, otoczeniem i ciałem.

Jak prąd powyższych zmian w rozumieniu umysłu przekłada się na temat ↦

„Las duchów" w Nienhagen, Niemcy, październik 2023 r.

MATTHIAS SCHRADER / AP / EAST NEWS

spotkań trzeciego stopnia? Koncepcja umysłu „odizolowanego" od ciała i kontekstu społecznego wymaga, by nadprzyrodzone doświadczenia konceptualizować wyłącznie w kategoriach zaburzeń. Nowe podejście zmusza zaś, by wziąć pod uwagę, że przeżycie kontaktu z czymś nadprzyrodzonym może wiązać się z tym, jak wpływa na nas otaczająca kultura, w tym religia. Spekulować można, że święte miejsca – takie jak Jerozolima – są nasycone artefaktami, kierującymi uwagę wiernych na treści religijne i wytwarzającymi oczekiwania przeżyć religijnych.

Bardziej systematyczną koncepcję na temat tego, w jaki sposób nasze otoczenie kulturowe może sprzyjać doświadczeniom religijnym, zaproponowała amerykańska antropolożka Tanya Luhrmann. Podjęła się badań małej społeczności chrześcijańskiej należącej do kościołów ze stowarzyszenia Winnica (ang. *Vineyard Church*). Badaczka odkryła, że wierni z tej wspólnoty angażują się w praktyki religijne, które stopniowo zmieniają ich rozumienie własnego umysłu.

Psychologia potoczna

Ludzie posiadają potoczne rozumienia umysłu (np. każdego dnia nieświadomie zakładamy, że innymi ludźmi kierują pewne intencje i że mają oni jakieś przekonania). W większości kultur Zachodu ta tzw. psychologia potoczna zakłada, że umysł jest prywatnym systemem, do którego bezpośredni dostęp ma wyłącznie jego „posiadacz" – tylko ja mogę myśleć i czuć w obrębie mojego umysłu. Tymczasem praktyki w kościele „Winnicy" stopniowo wpływają na to konkretne założenie i sprawiają, że koncepcja umysłu u wiernych staje się bardziej „porowata" – dopuszcza, że Bóg może komunikować się ze mną przez mój umysł.

Dzięki tej zmianie w postrzeganiu własnego umysłu, członkowie Winnicy zaczynają interpretować treść własnych myśli jako przekaz od Boga, co ostatecznie skutkuje żywymi i głębokimi doświadczeniami rozmowy ze Stwórcą. W taki oto sposób otaczające nas praktyki kulturowe mogą modyfikować naszą interpretację źródła własnych myśli, w efekcie prowadząc do przeżywania kontaktu z siłami nadprzyrodzonymi. Badania Luhrmann wskazują, że kultury, w których umysł jest naturalnie postrzegany jako porowaty, są najbardziej obfite w zjawiska takie jak opętania czy kontakt ze zmarłymi. W tym sensie kultura, w której jesteśmy zanurzeni, może sama w sobie otwierać nas na niezwykłe doświadczenia.

> Postrzeganie jest procesem aktywnym, tzn. kształtowanym na bieżąco przez nasze oczekiwania na temat tego, co **zobaczymy, usłyszymy czy poczujemy.**

Przedmioty używane w kontekstach nadprzyrodzonych również mogą mieć wielkie znaczenie. Wskazuje na to eksperyment Marca Andersena z Uniwersytetu w Aarhus i współpracowników. Badacze byli zainteresowani tzw. planszą Ouija używaną podczas seansów spirytystycznych. Na planszy tej rozpisany jest alfabet, a osoby biorące udział w seansie kładą wspólnie dłonie na małym, ruchomym przyrządzie, którym można przesuwać po planszy, wskazując kolejne litery. Podczas seansów uzyskane w ten sposób słowa są interpretowane przez świadków jako przekaz z zaświatów.

Jak pokazało badanie, choć wszystkie osoby biorące udział w seansie z użyciem Ouija same poruszają przyrządem, robią to z niskim poczuciem sprawstwa, zupełnie jak gdyby bagatelizowali własny wpływ na ruch przyrządu. Jednocześnie uczestnicy eksperymentu nie potrafili przewidzieć, jaka będzie kolejna litera, którą wskaże przyrząd, kiedy używali planszy razem z innymi osobami – gdy natomiast korzystali z planszy sami, ten efekt zupełnie znikał. Jak komentują autorzy, dzięki temu, że Ouija używana jest kolektywnie, wszystkie zaangażowane osoby mają wrażenie, jak gdyby ruchem przyrządu kierowała nieprzewidywalna, zewnętrzna siła, co w świetle kontekstu nadprzyrodzonego skutkuje doświadczeniem kontaktu ze zmarłymi.

Siła oczekiwań

Są jednak i takie sytuacje, gdy ludzie nie próbują rozmawiać z Bogiem ani nie mają przed sobą planszy Ouija, a jednak doświadczają spontanicznego kontaktu z istotami nadprzyrodzonymi. Jak wyjaśnić tę klasę doznań?

Poza swoistą „izolacją" umysłu, popularne koncepcje psychologiczne traktowały go jako bierną maszynę, która odbiera i przetwarza sygnały wpływające doń przez „okno na świat", czyli zmysły. O tym, że nasz system poznawczy jest biernym odbiorcą informacji, mówił już Arystoteles – według niego przedmioty odciskają się w umyśle za pośrednictwem zmysłów. Dziś coraz więcej teoretyków przyjmuje jednak pogląd, że postrzeganie jest procesem aktywnym, tzn. kształtowanym na bieżąco przez nasze oczekiwania na temat tego, co zobaczymy, usłyszymy czy poczujemy.

Pogląd ten dobrze ilustruje zjawisko rywalizacji obuocznej. Co do zasady, nasze obie gałki oczne odbierają niemalże ten sam obraz, co prawda przesunięty o kilka stopni kątowych, ale spajany w naszym mózgu w jedną reprezentację rzeczywistości. Kiedy jednak osobom badanym założy się na głowę kask, który przedstawia gałkom ocznym dwa różne obrazy – np. kota oraz dom – nasz mózg nie miksuje tych dwóch informacji w jedną spójną reprezentację koto-domu, lecz przeskakuje raz po raz między obydwoma przedstawieniami: badany widzi przez kilka sekund kota, potem dom, potem znów kota... i tak w kółko.

Trudno wyjaśnić to zjawisko, nie odwołując się do naszych oczekiwań na temat świata: każdy z nas bowiem widział wiele kotów i wiele domów, ale bardzo niewiele koto-domów. Dlatego też, na podstawie naszych przeszłych doświadczeń percepcyjnych, spodziewamy się, że w danym momencie zobaczymy tylko kota lub dom, jednak każde z tych oczekiwań (kot lub dom) wyjaśnia docierające informacje zaledwie w 50 procentach, co skutkuje ciągłą zmianą oczekiwań. Badania z wykorzystaniem bodźców poprzedzających potwierdzają tę interpretację – jeśli bowiem przed seansem w hełmie pokaże się osobie badanej obrazek z kotem, podczas badania widzieć będzie ona częściej to zwierzę niż dom.

Wirtualne duchy

Opierając się na teorii umysłu, która zakłada, że nasze oczekiwania mają silny wpływ na percepcję, wspomniany już Marc Andersen zaproponował wyja-

śnienie nadprzyrodzonych doświadczeń oparte na tym efekcie.

Teoria „aktywnej percepcji" zakłada, że nasz mózg tym mocniej korzysta z oczekiwań, im bardziej niejednoznaczne są informacje, które doń docierają. Pomyślmy o sytuacji, w której patrzymy na psa w pełnym świetle dnia. Nawet, gdyby nasze oczekiwania mówiły nam, że to, co stoi przed nami, to kot; nawet, gdyby tysiąc osób powiedziało nam, że to kot; nawet wtedy oczekiwania nie mogłyby zdominować naszej percepcji, bo sygnał docierający do naszej siatkówki mówiłby wyraźnie, z czym mamy do czynienia.

Sytuacja zmieniłaby się, gdyby coś zakłócało nasze naturalne procesy rozpoznawania obiektów. Moglibyśmy np. widzieć zwierzę z bardzo daleka lub w ciemnościach, albo przez grubą szybę, która rozmazuje kontury. W takiej sytuacji nasz umysł nie ma lepszej strategii, niż zdać się w większym stopniu na oczekiwania.

Andersen zauważył, że istoty takie jak duchy rzadko kiedy pojawiają się w biały dzień, gdy nasza percepcja działa, tylko w niewielkim stopniu bazując na oczekiwaniach. W dodatku wiele z osób, które odwiedzają nawiedzone domy i owiane tajemniczymi historiami lasy, spodziewa się kontaktu z duchem: być może ktoś powiedział im, gdzie można spotkać ducha, słyszeli doniesienia o poprzednich spotkaniach, albo przynajmniej – jak typowa osoba zanurzona w naszej kulturze – mają pewne wyobrażenia na temat tego, jak zachowują się duchy.

Badacz zaproponował więc, by spotkania trzeciego stopnia wyjaśnić powyższymi dwoma czynnikami: brakiem dostępu do rzetelnych (tj. pełnych i dokładnych) informacji płynących przez nasze zmysły oraz wpływem oczekiwań. Wyobraźmy sobie więc osobę, która postanawia zwiedzić ruiny samotnego domu, o którym mówi się od lat, że jest nawiedzony. Znając te pogłoski, wchodzi do przybytku spodziewając się, że spotka tam ducha; a że w starych, sypiących się domach jest zwykle ciemno, a w powietrzu unoszą się tumany kurzu, jej pozbawiony solidnych danych mózg czerpie z oczekiwań – w efekcie bohater naszej historii ma wrażenie, że zobaczył ducha.

Andersen przetestował tę teorię z wykorzystaniem wirtualnej rzeczywistości. W jego eksperymencie badani mieli zwiedzać niewielki, wirtualny las i naciskać przycisk za każdym razem, gdy wykryją w pobliżu obecność jakiejś istoty. Trik polegał na tym, że autorzy badania nie zamieścili w wirtualnym środowisku żadnych istot. Mimo to badani wielokrotnie klikali przycisk, interpretując zwykłe cienie albo trzaski gałęzi jako świadectwo czyjejś obecności. Co więcej, zarówno oczekiwania, jak i dostęp do solidnych danych sensorycznych miały gigantyczne znaczenie, bowiem połowie badanych powiedziano, że istot w lesie jest bardzo dużo, a drugiej połowie – że bardzo mało. Dodatkowo wszyscy badani przechodzili przez dwie wersje tego samego lasu: jedną rozświetloną blaskiem dnia, drugą pogrążoną w ciemnościach i we mgle. Wyniki badania są jednoznaczne: w drugiej wersji lasu zanotowano najwięcej kliknięć, a rekordową liczbę nieistniejących stworów wykrywali badani spodziewający się dużej liczby istot.

Głosy w naszej głowie

W badaniu opisanym niedawno w czasopiśmie „Consciousness and Cognition" sprawdziliśmy, czy efekt odkryty przez Andersena działa również w przypadku percepcji słuchowej i czy w związku z tym może on wyjaśniać niekliniczne doświadczenia słyszenia głosów (np. Boga lub zmarłych). Zadaniem uczestników naszego eksperymentu było naciśnięcie odpowiedniego przycisku za każdym razem, gdy pośród dźwięków lasu usłyszą ludzki głos.

Choć w rzeczywistości głosy obecne były dokładnie w połowie dźwięków, część osób badanych poinstruowaliśmy, że będą słyszeli je bardzo często (w 75 proc. wszystkich dźwięków), a część, że bardzo rzadko (tylko w 25 proc. przypadków). Nasze badanie ponownie pokazało, że oczekiwania w istocie kształtują percepcję – osoby, które spodziewały się większej ilości głosów, słyszały ich więcej, a te, które miały mniejsze oczekiwania, słyszały mniej głosów, niż było ich w rzeczywistości. Dodatkowo odkryliśmy, że efekt ten będzie wzmocniony, gdy dźwięki są bardziej zaszumione, a przez to trudniej je jednoznacznie zinterpretować.

Jak się więc zdaje, przynajmniej część spotkań trzeciego stopnia można wyjaśnić wpływem naszej kultury, artefaktów oraz oczekiwań na nasze procesy poznawcze. A wszystko to w całkowicie zdrowym mózgu, który ewolucja zaprogramowała tak, by czerpał garściami z informacji pochodzących z jego otoczenia oraz z minionych doświadczeń. Wspomniane teorie, wciąż rozwijane i pogłębiane, mają potencjał, by wyjaśnić dużą część nadprzyrodzonych doświadczeń, choć pełne zrozumienie interakcji między naszym umysłem a sferą przekonań religijnych i paranormalnych pozostaje wciąż poza naszym zasięgiem.

Warto jednak wyciągnąć z opisanych tu badań i koncepcji jeszcze jedną lekcję: tylko odpowiednio dostrojony mózg może poczuć kontakt z tym, co „nie z tego świata". Ostatecznie, w naszym badaniu słuchowym osoby, które oczekiwały niskiej liczby głosów, nie usłyszały tych głosów, które naprawdę tam były.

© PIOTR SZYMANEK, MATEUSZ HOHOL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA" DODATEK SPECJALNY

Witold Gombrowicz i Marek Hłasko

a w nim:
- Aneta Korycińska o tym, jak opowiadać o Hłasce i Gombrowiczu w szkole
- Wywiad z Gombrowiczem z 1965 r., w którym surowo ocenia krytyków literackich
- Michał Sowiński o tym, czy autor „Trans-Atlantyku" wciąż jest polskim antywieszczem
- Rozmowa z Radosławem Młynarczykiem, biografem Hłaski
- Dawid Szkoła o wszystkich miastach, które kochał i nienawidził Hłasko

INSTYTUT LITERACKI
FUNDACJA KULTURY PARYSKIEJ

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 18 WRZEŚNIA

KULTURA

EWANGELIA I SZTUKA REPASACJI

Maryse Condé toczy wojnę o duszę. Jej matka była oddaną wyznawczynią Chrystusa. Ojciec był zadeklarowanym ateistą. Córka z rozmysłem nie została ani pisarką jednej religii, ani świata bez Boga.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Najbardziej lubiła pisać wczesnym rankiem, spoglądając zza biurka na górujący za oknem jej gwadelupskiego domu wulkan La Soufrière. Pod koniec życia traciła wzrok. Nie mogła już samodzielnie pisać i redagować. Maryse Condé podyktowała więc „Ewangelię Nowego Świata" przyjaciółce i mężowi, który niedługo po tym, jak uznała czytany jej manuskrypt za udany, zaczął tłumaczyć go na angielski. Miała świadomość, że będzie to jej ostatnia książka.

Mimo że tekst został poddany redakcji, podczas lektury słychać, że mamy do czynienia z opowieścią mówioną, gawędą snutą dla przyjemności autorki i słuchaczy. Condé wraca w niej do wojenki o duszę, która toczyła się, gdy była dzieckiem. W rozmowie towarzyszącej zeszłorocznej nominacji do Nagrody Bookera (jej książka znalazła się w 2023 r. na krótkiej liście) wspomina pełen uszczypliwości konflikt między matką, oddaną wyznawczynią Chrystusa, a ojcem, zadeklarowanym ateistą. Córka, z rozmysłem nie została pisarką jednej religii ani świata bez Boga.

Zmarła w kwietniu Condé była pisarką z kolonii, ale wykształcona w metropolii, zaczytuje się w europejskim kanonie literackim, a potem szuka w nim dziur. Pisze tak, jakby była repasaczką cudzych opowieści. To trochę zapomniane słowo pochodzi od francuskiego *rapiéçage*, oznaczającego łatanie i naprawę odzieży. Uszkodzone pończochy i rajstopy zanosiło się do repasacji, a zręczna kobieta za pomocą specjalnej igły z haczykiem i zapadką „podciągała oczko". Czasem używała nici z innych, sprutych pończoch. Im lepsza repasaczka, tym połączenie było mniej widoczne.

U Condé dochodzi do takiego bezbłędnego połączenia, ale nić, której używa do repasacji snutych historii, jest w kontrastowym kolorze. Choć doskonale przylega do całości, to jednocześnie się od niej odróżnia. Tak żebyśmy otulając się w znaną gawędę, nie mieli wątpliwości, w czyim imieniu jest opowiadana.

Wszystkie drogi do Paryża

Przyszła „wielka dama karaibskiej literatury", jak w upupiający sposób zwykło się ją nazywać, urodziła się na Gwadelupie, w archipelagu Małych Antyli, jako najmłodsza z ośmiorga rodzeństwa. Był 1934 r. Minęło niemal trzysta lat od momentu, jak Francuzi, z błogosławieństwem kardynała Richelieu, zaczęli kolonizować Gwadelupę. Gdy Maryse Boucolon (to jej rodowe nazwisko) miała dwa lata, mianowano pierwszego czarnego zarządcę wyspy, Félixa Éboué. Powiew zmian czuć było także w rodzinnym domu Boucolonów. Matka, Jeanne Quidal, kierowała jedną z pierwszych na wyspie szkół dla lokalnych dziewcząt. Ojciec, Auguste Boucolon, był współzałożycielem kasy oszczędnościowej, która z czasem przekształciła się w ważny na Antylach bank. Rodzice skutecznie szukali szczelin w kolonialnym systemie, które pozwoliły im na względną niezależność.

Jednak dzieci kształcili po francusku, w czci do literatury z metropolii i kulcie tamtejszych szkół. Droga do awansu społecznego prowadziła przez Paryż. Na czarno-białej fotografii rodzice pisarki siedzą w Ogrodzie Luksemburskim, zmęczeni, poważni i patrzący w dal. Za ich plecami francuskie dzieci szaleją na placu zabaw. Boucolonowie być może snują właśnie wizję, w której ich potomstwo tak idealnie wpasowuje się w paryskie mieszczaństwo, że ich kolor zblaknie. Na początku lat 50. ich najmłodsza córka wyjechała do stolicy Francji, aby w prywatnym katolickim liceum Fénelon przygotowywać się do egzaminów na studia. Jednak nie wszystko poszło tak, jak życzyliby sobie tego jej rodzice.

Dostała się na Sorbonę i zradykalizowała pod wpływem Jeana Geneta, Malcolma X, marksizmu, ruchów Négritude oraz Black Power. Później nabrała do nich dystansu, nie zgadzając się na redukowanie sprawy Czarnych do jednej tożsamości, bezwzględnie antagonistycznej wobec białej kultury. Choć na czarną twarz zakładała białą maskę, nie odczuwała z jej powodu takiego samego bólu. Nie chodzi o to, że rasizm ją oszczędzał. Jako wnuczka ↦

ARNOLD JEROCKI / GETTY IMAGES

Maryse Condé w ogrodzie swojego domu w Paryżu. 27 lipca 2021 r.

↦ kucharki z Małych Antyli mogłaby zreferować całą typologię form stłamszenia. Jednak to w klasycznej, europejskiej literaturze, która prześlepia los czarnego człowieka, od najmłodszych lat szukała schronienia. Zaczytywała się w powieściach Victora Hugo i „Wichrowych Wzgórzach" Emily Brontë. I z nich czerpała.

Przenosi jednak akcję z metropolii do jej zamorskich departamentów, przesuwa kadr i zmienia perspektywę. Zaprasza czytelników, by umościli się w znanej fabule jak w wygodnym uszatym fotelu. Tyle tylko, że pod miękki plusz wkłada twarde ziarna, tak aby historia kłuła i uwierała. W taki sposób oddziałuje m.in. powieść „La Migration des cœurs" (Migracja serc, 1995), gdzie przepisała „Wichrowe Wzgórza" Brontë na gwadelupską sagę o odrzuceniu i odkupieniu.

ARCHIWUM RODZINY MARYSE CONDÉ

Auguste Boucolon i Jeanne Quidal, rodzice Maryse Condé, Ogród Luksemburski, Paryż, lata 60.

Uzdrowicielka z Salem

Lekcję dał jej kilkuletni pobyt w Gwinei, Ghanie i Senegalu. W Afryce Zachodniej mieszkała z czwórką dzieci, zarabiając uczeniem francuskiego i artykułami dla prasy. Nazwisko Condé dostała od pierwszego męża, gwinejskiego aktora, ale związek na dobre i na złe stworzyła z poznanym dekadę później tłumaczem Richardem Philcoxem. W latach 70. obroniła doktorat z literatury i debiutowała powieścią „Hérémakhonon".

Połowa lat 80. okazała się dla niej przełomem. Prezentem, jaki sprawiła sobie na 50. urodziny, była świetnie przyjęta dwutomowa saga „Segu" o Afryce, o jakiej rzadko uczy się w europejskich szkołach. Tytułowe Segu to stolica państwa ludu Bambara, które rozciągało się między Bamako i Timbuktu, na ziemiach dziś należących do Mali. Na przełomie XVIII i XIX wieku kraina rolników i pasterzy rządzona przez Mansę Monzona przeżywała okres świetności. „Segu, świat zamykający się na samym sobie. Nie do zdobycia. Odmawia wstępu białemu człowiekowi, skazanemu na błądzenie pod jego murami" – pisze Condé. Ale Dussika Traore nie potrafi spać spokojnie. Sen spędza mu z oczu trwoga o pozycję na dworze, strach przed przybyszami z Europy, a zwłaszcza troska o licznych synów. Kobiety nie są już tak uległe, jak w jego młodości, odchodzą na własnych warunkach. Islam rośnie w siłę, wypierając lokalną religię. Inne ludy wschodniej Afryki, a także misjonarze i handlarze niewolnikami coraz częściej zapuszczają się w rodzinne strony Dussiki. Przywożą ze sobą rasizm.

Condé nie idealizuje odchodzącego w mrok historii królestwa. Rozlicza przemoc, afekty oraz religie odbierające ludziom godność. W 1991 r. pierwszy tom sagi przetłumaczyła Danuta Topczewska-Baranowska. Jednak PIW, który zamówił przekład, z powodów turbulencji finansowych wycofał się z zamiaru publikacji. Dopiero w 2015 r., już po śmierci tłumaczki, Uniwersytet Warszawski wydał jej przekład pt. „Gdy zadrżą fetysze Segu" – niestety, jedynie w 30 egzemplarzach, dwa z nich znalazłam w warszawskich bibliotekach.

Rok po „Segu" opublikowała kolejną powieść, która rozeszła się w wielotysięcznym nakładzie. W „Ja, Tituba, czarownica z Salem" oddała głos zapomnianej bohaterce osławionych procesów o czary, toczących się w ostatniej dekadzie XVII wieku w purytańskim Salem, niedaleko Bostonu. W słynnym dramacie „Czarownice z Salem" Arthura Millera z 1953 r. Tituba, urodzona na Barbadosie niewolnica, przemawia koślawą angielszczyzną ledwie w trzech scenach. Jest marionetką w rękach sędziów i alibi dla białych kobiet, bo *de facto* jako jedyna zna tajniki magii.

„Ubolewałam nad tym, że w całej aferze odegrałam jedynie rolę podrzędnej statystki, której los nikogo nie obchodzi. »Tituba, niewolnica z Barbadosu, prawdopodobnie uprawiająca wudu«. Kilka linijek w opasłych tomach poświęconych wydarzeniom w Massachusetts" – żali się Tituba w powieści Condé. O jej życiu po opuszczeniu więzienia w Salem nie wiadomo nic pewnego. Pisarka pozwala jej wrócić na Barbados i połączyć się z duchami bliskich. Zaklęcia, które wypowiada, są wołaniem o zdrowie, siłę i siostrzaną solidarność. W świetle byłej-niebyłej dramatycznej historii Barbadoski perypetie białych wydają się jedynie przypisem. Przed „Ewangelią Nowego Świata" tylko ta powieść ukazała się w Polsce w głównym obiegu wydawniczym, w przekładzie Krystyny Arustowicz.

Na Gwadelupę Condé wróciła w 1985 r. razem z Philcoxem i długo nie mogła znaleźć pracy. Na odsiecz przyszły amerykańskie uniwersytety, które po sukcesie „Segu" zapraszały ją, by wykładała literaturę frankofońską. Najdłużej była związana z nowojorskim Uniwersytetem Columbia. Wreszcie dostrzegło ją państwo francuskie. Jacques Chirac postawił ją na czele Narodowego Komitetu Pamięci i Historii Niewolnictwa. Przyczyniła się do tego, że 10 maja stał się we Francji dniem pamięci o niewolnictwie.

Latami mówiło się, że jest murowaną kandydatką do literackiej Nagrody Nobla. W 2018 r., kiedy wskutek skandalu seksualnego w Akademii Szwedzkiej nagroda nie została przyznana, do jej rąk trafiła „jednorazowa" Nowa Nagroda Literacka, okrzyknięta alternatywnym Noblem.

Literacki kanibalizm

Długo nosiła w głowie książkę o Jezusie innym niż ten Europejczyków. Dopiero

lektura „Ewangelii według Jezusa Chrystusa” Joségo Saramago oraz trylogii „Życie Jezusa” J.M. Coetzeego ośmieliła ją, by tę historię opowiedzieć. A może naprawić. Właśnie wydana w Polsce „Ewangelia Nowego Świata” zrazu wydaje się igraszką i humoreską swobodnie osnutą na kanwie Nowego Testamentu. Współczesne *alter ego* Jezusa z karaibskiej wyspy dostaje imię Pascal – na pamiątkę tego, co zakładał się o istnienie Boga i w świetle swojej wiary zakład ten wygrał.

Początkowo analogie między Chrystusem a Pascalem są ostentacyjne, ba, trywialne. Pascal rodzi się w szopie, do snu tuli go osioł. Młoda matka porzuca go, bojąc się stygmatu panny z dzieckiem. Zostawia go w gospodarstwie porządnych ludzi, którym do szczęścia brakuje potomstwa. Co może pójść nie tak? W zasadzie wszystko, jeśli przybrana matka wejdzie w rolę wyznawczyni małego człowieka/boga (niepotrzebne skreślić).

Wraz z dorastaniem Pascala nobliwa historia nabiera rumieńców i ciężaru. Młody mężczyzna poznaje Judasa Éluthère’a i wchodzi w erotyczną relację z kobietą, w której przegląda się zarówno Maria Magdalena, jak i Maria z Betanii. Odkrywa Nietzschego oraz zarazę zwaną kapitalizmem i nadzieję zwaną socjalizmem. Do wyzyskiwanych przez plantatora kawy robotników wygłasza wykłady o sprawiedliwości społecznej. „Wyszło na to, że Pascal nawet jeśli nie jest synem Boga, jest na pewno wichrzycielem” – mówi/pisze autorka, ujawniając w od niechcenia rzuconej uwadze tajemnicę ambiwalencji towarzyszącej głównemu bohaterowi. Najbliższy Bogu staje się wtedy, gdy wybiera drogę krytyka ładu społecznego, który panuje w mikrokosmosie jego wyspy.

Jednak partykularna potrzeba odciąga go od zabiegania o wspólny interes robotników. Kiedy odnajduje biologiczną matkę i poznaje imię ojca, całą energię wkłada w jego odszukanie. To dążenie okazuje się jednak zabawą w kotka i myszkę, albo raczej w człowieka poszukującego bezskutecznie dowodu na istnienie Boga.

Ostatnia powieść pisarki z Gwadelupy nie jest więc tylko parodią Nowego Testamentu. Condé chce pokazać, że relacja człowieka z Bogiem to koniec końców kwestia wiary w wybranych ludzi i wynoszenia ich ponad innych. Układa przypowieść o niemożności zbudowania gdziekolwiek na ziemi zarówno Królestwa Bożego, jak i bezreligijnego społeczeństwa równych wobec siebie i prawa ludzi, o którym śpiewał John Lennon. Tu nikt nie ma jednoznacznej tożsamości etnicznej, każdy jest migrantem skądś. Obraz brutalnych relacji panujących wszędzie tam, gdzie człowiek zaczyna się bawić w boga, zostaje uwznioślony poprzez subtelne wplecenie elementów karaibskiej i południowoamerykańskiej duchowości.

Znamienne, że biologiczna matka Pascala, Maya, która po konwersji na islam przyjmuje imię Fatima, przywołuje w rozmowie z synem „Manifest antropofagiczny” Brazylijczyka Oswalda de Andrade. Opublikowane w 1928 r. dzieło brutalnie i sarkastycznie odcina się od kolonialnego „poczęcia” Ameryki Łacińskiej. Czyniąc, za Andradem, z kanibala zjadającego prześladowców wzór wojownika o wolność, przestrzega, że wroga nie wystarczy pożreć. Z obcym w trzewiach kopiuje się jego taktykę i błędy. Obcego trzeba przetrawić i wydalić. Dopiero wtedy można odrzucić cudzą cywilizację, bez poczucia gorszości i braku.

„Nigdy nie ulegliśmy katechizacji. Za to zrobiliśmy Karnawał” – pisze de Andrade (w 2016 r. jego manifest przełożyła Daria Mikocka). Prawie sto lat później Condé dokonuje „de-katechizacji” opowieści o Jezusie, fundamentalnej dla świata zdominowanego przez chrześcijańską Europę. Nasza ewangelia okazuje się za prosta dla kulturowej wielości półkuli zachodniej. Za dowody na nieistnienie jednej narracji służą jej ironiczne odniesienia do kanonicznych autorów literatury „starego świata”: nużącego Flauberta, kwiecistego Pascala, naiwnego Prousta, klaustrofobicznego Kafki.

Ich słowami i stylem można opowiedzieć tylko fragmenty doświadczenia współczesnych innych. Ale kanibal je ludzkie ciało dlatego, że chce się nasycić i mieć przewagę nad wrogami. Dlatego zamiast nazywać Condé pisarką-kanibalką, wolę widzieć w niej repasaczkę języka, która naprawionej opowieści nie traktuje jako łup, ale chce się nią dzielić, jak rozmnożonym chlebem.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Maryse Condé, **EWANGELIA NOWEGO ŚWIATA**, przełożyła Marta Szafrańska-Brandt, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024.

Condé: naprawione historie

▪ „HÉRÉMAKHONON” (1976)

Młoda kobieta i ciężki bagaż w rolach głównych. „Hérémakhonon” oznacza w języku ludów Malinke czekanie na szczęście. Véronica Mercier wyrusza, by je znaleźć. W Gwadelupie mówią jej: jedź do Francji, to twój świat. W Paryżu namawiają ją: jedź do Afryki, poznaj swoje korzenie. W Afryce słyszy, że jest „podrobioną” Afrykanką, Karaibką na wakacjach.

▪ „SEGU” (1984-1985)

Rozpisany na dwa tomy kunsztowny fresk o kilku pokoleniach rodziny Traore przenosi nas do potężnego królestwa, które istniało na terenie Mali. Na przestrzeni sześciu dekad (1797-1860) upadają możne rody, zmierzchają bogowie i rodzi się przemoc. „Saga rodu Forsyte’ów” i „Buddenbrookowie” to przy „Segu” grzeczne czytadła.

▪ „JA, TITUBA, CZAROWNICA Z SALEM” (1986)

Zanim sąd wyda wyrok, powinien wysłuchać wszystkich stron. Pisząc o Barbadosce sądzonej za czary w Salem, Condé waży siłę słów pisarki z zamorskiego departamentu Francji. Wchodzi w dialog z wydanym cztery lata wcześniej „Kolorem purpury” Alice Walker. O ile Celia musi dojrzeć do samostanowienia, Tituba zachowuje wolną duszę nawet w niewoli.

▪ „LE COEUR À RIRE ET À PLEURER” (1999)

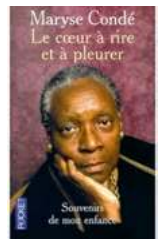

Polski tytuł brzmiałby pewnie: „Serce do śmiechu i do płaczu”. Condé wraca tu do dzieciństwa na Gwadelupie. Wspomnienia sielskich dni przeplatają się z żalem za odebranym jej prawem do własnego „ja”. To także hołd dla Frantza Fanona. Autor „Wyklętego ludu ziemi” to jej pierwszy przewodnik po zakamarkach antylskiej tożsamości. ©

Kurier z Bejrutu

JAN BŁASZCZAK

Nieprzypadkowo muzyka improwizowana znalazła swój dom w Libanie. Jej *spiritus movens*, Sharif Sehnaoui, wystąpi w Polsce podczas festiwalu Ad Libitum.

TONY ELIEH / MATERIAŁY PRASOWE ZESPOŁU

Zespół Karkhana

Nie czuliśmy się związani z muzyką arabską – wspomina libański basista Tony Elieh. – Tego słuchali nasi rodzice, a my próbowaliśmy się uwolnić od przeszłości, która przecież próbowała nas zniszczyć.

Zespół, o którym mówi, nazywał się Scrambled Eggs i powstał w Bejrucie w drugiej połowie lat 90. Wojna domowa zakończyła się kilka lat wcześniej, ale lokalne sklepy płytowe były wciąż mizernie zaopatrzone. Z zachodniego świata docierały tu w zasadzie tylko największe popkulturowe zjawiska. Nic dziwnego, że młodzi Libańczycy zaczęli od grania grunge'u. Później Scrambled Eggs skręcili w stronę punka, by ostatecznie wylądować w rejonach alternatywnego rocka. Choć zmieniały się stylistyki, niezmienny pozostawał powód, dla którego Elieh zajmował się muzyką. To doświadczenie wojny popchnęło go w stronę grania.

– W muzyce od początku szukałem możliwości ucieczki – przyznaje artysta. – Drogi wyjścia z rzeczywistości, z którą nie umiałem się pogodzić. I to była dobra decyzja, bo właśnie za sprawą muzyki cztery lata temu przeprowadziłem się do Berlina. Udało mi się zostawić życie, które na wielu poziomach było dla mnie nie do zniesienia.

Gitarzysta i *spiritus movens* libańskiej sceny eksperymentalnej Sharif Sehnaoui mógłby się skrzywić, czytając powyższy fragment. Nie dlatego, że nie zgadza się z Eliehem – tego nie wiem. Z pewnością przeszkadza mu natomiast egzotyzacja libańskiej muzyki – to jest postrzeganie jej przez pryzmat albo arabskich skal, albo tragedii wojny.

Może dlatego jego pierwszy zespół „A" Trio skupiał się na wypracowaniu autorskiego języka, któremu trudno byłoby przypisać konkretne geograficzne współrzędne. A przecież i ten zespół brzmiałby zupełnie inaczej, gdyby nie wojna.

– Jako dziecko grałem na pianinie, próbowałem swoich sił na perkusji – wspomina Sehnaoui. – Jednak sytuacja w kraju zmuszała moją rodzinę do przeprowadzek, a z takimi instrumentami niełatwo jest podróżować. Z gitarą jest znacznie prościej. Nie był to więc mój instrument pierwszego wyboru. Mało tego, przyznam się, że dopiero kilka lat temu prawdziwie zakochałem się w gitarze. Wcześniej nie byłem jej taki pewien.

Można powiedzieć: lepiej późno niż wcale. Tym bardziej że w dniach 12-14 września Sharif Sehnaoui wystąpi jako artysta-rezydent podczas 19. festiwalu Ad Libitum, który w tym roku przygląda się właśnie gitarze.

Pierwsza czwórka

Tak jak wszystkie inne sektory gospodarki, tak i libańska kultura długo próbowała podźwignąć się po zakończonej wojnie. Pomagali jej w tym powracający do ojczyzny uchodźcy przywożący ze sobą nie tylko zgromadzony za granicą kapitał, ale także specjalistyczną wiedzę. Nie inaczej było w przypadku muzyki improwizowanej – tutaj także kluczowe było zaczerpnięcie z zachodnich doświadczeń i inspiracji. Z tym, że kurier do Bejrutu jeszcze nie dotarł. Ba, on z niego jeszcze nie wyjechał.

Stało się to dopiero w 1995 r., kiedy Sehnaoui wyruszył na studia muzyczne do Francji: – Pierwszą rzeczą, od której zakręciło mi się w głowie, były sklepy płytowe – wspomina. – Zamiast pokoiku z pięcioma stojakami wszedłem do olbrzymiego pomieszczenia, w którym znajdowały się tysiące albumów. Ta obfitość robiła tym większe wrażenie, że co chwila trafiałem na gatunki, o których istnieniu w ogóle nie wiedziałem.

Nowością dla studenta było także życie koncertowe. Kiedy tylko mógł, Sehnaoui wybierał się na występy rockowe, bluesowe, jazzowe, improwizowane, eksperymentalne. Swoimi odkryciami dzielił się później z libańskimi przyjaciółmi. Jednym z nich był Mazen Kerbaj, któremu kilka lat wcześniej podarował pierwszą trąbkę. W wywiadzie udzielonym magazynowi „Glissando" ten uznany dziś improwizator i artysta wizualny wspomina, że jazz kojarzył mu się wówczas z nudną muzyką starych ludzi. Sehnaoui przywoził jednak z Paryża płyty Aylera, Brötzmanna, późnego Coltrane'a – Kerbaj był w szoku, że można tak grać.

Być może to właśnie dzika energia zaklęta w tej muzyce pchnęła przyjaciół do podjęcia dość szalonego ruchu. Choć stawiali dopiero pierwsze kroki na tej scenie, a w całym Bejrucie osoby zainteresowane wolną improwizacją mogli policzyć na palcach jednej ręki, to w 2000 r. powołali do życia Irtijal Festival – wydarzenie poświęcone muzyce eksperymentalnej.

– Pierwszego roku było nas czterech – wspomina Sehnaoui. – Scena w znacznym stopniu wyrosła więc z i wokół festiwalu. Każdego roku Irtijal to był dla nas wóz albo przewóz. Mieliśmy odsłony, które były trudne, ale z reguły każda kolejna pchała scenę do przodu. Działo się to powoli, bo niektórzy artyści potrzebowali więcej czasu, by wejść w orbitę tej muzyki, by wejść w relację ze sceną.

Jednym z takich artystów był Elieh, który początkowo sceptycznie podchodził do oferty festiwalu. Do dziś pamięta ten pierwszy raz, kiedy usłyszał muzykę improwizowaną: – Mazen występował solo przed Scrambled Eggs, grając na trąbce. Nienawidziłem go tamtego wieczoru. Impreza odbywała się w dużym klubie i sala była pełna. Podczas koncertu Mazena ludzie zaczęli jednak wychodzić, co strasznie mnie zdenerwowało. Tym bardziej że nie miałem wcześniej do czynienia z taką muzyką, więc zupełnie nie rozumiałem, co on właściwie próbuje nam przekazać.

Potrzeba działania

Reakcja Elieha nie była wyjątkowa. Sehnaoui przyznaje, że bejrucka scena improwizowana wykształciła się dopiero w 2010-2011 r. – to były pierwsze lata, kiedy artysta zakładający nowy zespół miał komfort wyboru muzyków do współpracy. Wcześniej to były zawsze te same nazwiska. I nie było ich wiele. Przez pierwsze dziesięć lat organizowania festiwalu Sehnaoui i Kerbaj nie tylko budowali jego publiczność, ale także całe artystyczne środowisko wokół. Ich zapał, ale też osiągnięcia w tym zakresie są tym bardziej godne podziwu, że mowa o imprezie, która – nie mając systemowego wsparcia – od początku ściągała do Bejrutu czołówkę improwizowanej sceny.

– Nigdy nie korzystaliśmy z miejskiego czy państwowego wsparcia, a mimo to już na początku odwiedzili nas Fred Van Hove czy Peter Brötzmann – mówi Sehnaoui. – Informowaliśmy artystów, jak wygląda sytuacja, obiecywaliśmy opłacenie przelotu, nocleg, minimalne honorarium i wielu artystów przyjmowało taką propozycję z ochotą. Wydaje mi się, że dla niektórych sama możliwość grania w Libanie była ekscytująca.

Obecność prawdziwych legend sceny improwizowanej uwiarygodniała festiwal w oczach kolejnych muzyków, a także

ARCHIWUM PRYWATNE

Sharif Sehnaoui

prezentowała lokalnym twórcom free jazz w jego najbardziej pociągającej postaci. – Moje postrzeganie muzyki improwizowanej zmieniło się całkowicie w 2006 r. – wspomina Elieh. – To był występ Axela Dörnera z Michaelem Zerangiem.

– Na Irtijal poznałem libańskich artystów, których cechowała nie tylko duża świadomość artystyczna, ale także bardzo wysokie umiejętności, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich młody wiek – wspomina wybitny chicagowski perkusista Michael Zerang. – I to oni skrzyknęli improwizatorów z Europy i Bliskiego Wschodu na jednym festiwalu; wówczas nie było niczego podobnego w tym regionie. A jeśli się to zmieniło, to tylko dzięki Irtijal i jego oddziaływaniu.

Przytakuje mu Alan Bishop, wokalista, gitarzysta legendarnej grupy Sun City Girls, a także współtwórca wytwórni Sublime Frequencies, skupiającej się na prezentacji twórców spoza kręgu muzyki zachodniej. – Silna wola i wysiłek, jakich wymaga konsekwentne rozwijanie Irtijal, to chyba po prostu cechy potrzebne, żeby radzić sobie na co dzień z wyzwaniami rzucanymi przez to miejsce – zastanawia się Bishop. – Nieustająco obrywasz od systemowej korupcji, wewnętrznej i zewnętrznej manipulacji, przemocy. Libańczycy nauczyli się lawirować w całym tym bagnie i myślę, że w jakiś sposób muzyka eksperymentalna, która znalazła u nich swój dom, jest owocem tego trudnego przeznaczenia.

O tym, jaki to los, Zerang przekonał się kilka miesięcy po pobycie w Libanie. Perkusista nagrał wtedy sesje z siedmioma bejruckimi muzykami. Kiedy słuchał ich po raz pierwszy w swoim chicagowskim mieszkaniu, na Bliskim Wschodzie wybuchała właśnie II wojna libańska. To z tego okresu pochodzą wstrząsające nagrania Mazena Kerbaja. Trębacz improwizuje na swoim balkonie przy akompaniamencie spadających bomb. Artysta nie przerywa nawet na moment – on też urodził się w czasie wojny, więc wie, że odgłos bomby to dobra wiadomość, bo – jak tłumaczył we wspomnianym wywiadzie dla „Glissando" – „jeśli ją słyszysz, to znaczy, że nie spadła na ciebie".

Zdaniem Zeranga te dramatyczne doświadczenia wpływają bezpośrednio na charakter libańskiej sceny. – Na Zachodzie artystom zdarza się czasem zapętlić w teorii, w różnych abstrakcyjnych rozważaniach. U libańskich artystów brakuje tego całego pieprzenia głupot. Wchodzisz na scenę i grasz, bo to może być twój ostatni dzień. Co oczywiście nie oznacza, że Sharif czy Mazen nie znają teorii, nie mają głębokich przemyśleń – mają, ale przede wszystkim mają pilną potrzebę działania.

Improwizowana scena

Choć organizatorzy napotykają w Libanie na wiele obiektywnych trudności, Bishop wcale nie jest zaskoczony, że najważniejszy festiwal muzyki eksperymentalnej Bliskiego Wschodu odbywa się właśnie w Bejrucie. A ma porównanie, bo od kilkunastu lat na stałe mieszka w Kairze. – W Libanie jest więcej infrastruktury, możliwości finansowania i przede wszystkim tolerancji względem muzyki niezależnej – twierdzi artysta. – Łatwiej tu przekraczać pewne granice niż w bardziej konserwatywnych, restrykcyjnych państwach arabskich. Gospodarka może i jest zdziesiątkowana, ale Libańczycy mają niezwykłą sprawność w obchodzeniu wszelakich przeszkód.

Nie powinno dziwić, że takie kombinowanie czy też – no właśnie – improwizowanie dotyczy też sceny, która przez lata była na tyle mała, że bejruccy artyści byli gotowi współpracować z każdym, kto był otwarty na innowacje. Jazzmani zakładali więc składy z rockmanami, wirtuozi oud eksperymentowali ramię w ramię z awangardzistami. Sehnaoui krzywi się na sprowadzanie muzyki libańskiej do arabskich makamów, co nie znaczy, że odcina się ↦

↦ od tych tradycji. Chodzi tylko, by próbować robić z nią coś nowego, ożywczego.

Najlepszym przykładem takiego podejścia, a także wizytówką libańskiej sceny jako muzycznego serca regionu jest Karkhana. Septet, w którego skład wchodzi trójka artystów z Libanu (Sehnaoui, Kerbaj, Elieh), egipski klawiszowiec i gitarzysta Maurice Louca, pochodzący z Egiptu gitarzysta i oudzista Sam Shalabi, turecki multiinstrumentalista Umut Çağlar oraz Michael Zerang – Amerykanin o asyryjskich korzeniach. Muzyka Karkhany jest potężna, przetacza się przez głośniki niczym tornado, zasysając post-rock, wielkie chicagowskie składy Brötzmanna czy Mazurka, ogłuszające riffy rodem ze Swans i tropy bliskowschodnich tradycji rozsypane po tych utworach niczym arabskie diaspory.

– W Karkhanie niektóre tematy, struktury i formy tworzymy wspólnie: rzucam pomysł na melodię czy rytm, zaczynamy go grać i nagle Sharif mówi: „a teraz spróbujmy tego!", więc wrzucamy ten jego trop do gara i wspólnie próbujemy go wyłowić – tłumaczy Zerang. – Żaden z naszych utworów nie jest dziełem jednego kompozytora, wszystko powstaje wspólnie. I w tym procesie absolutnie nie czuję, kto pochodzi z Egiptu, kto z Libanu, a kto z Ameryki. Chyba na tym polega siła muzyki. Możemy usiąść razem i się nie pozabijać. Czy to nie wspaniałe?

Trudne sprawy

Na takie zintegrowanie bejruckiego środowiska zwraca moją uwagę perkusista Adam Gołębiewski, który od wielu lat współpracuje z Sehnaouim. Artyści poznali się kilkanaście lat temu podczas poznańskiego festiwalu muzyki improwizowanej Friv. – Jego formułą było zapraszanie muzyków z konkretnych scen i konfrontowanie ich z miejscowymi artystami – tłumaczy Gołębiewski. – Natomiast dobór składów odbywał się losowo i opatrzność tak zadecydowała, że zagrałem właśnie w duecie z Sharifem. I ten set wyszedł dobrze, bardzo spójnie. Po jakimś czasie Sharif skontaktował się ze mną z propozycją zagrania wspólnej trasy, potem pojawiła się płyta i historia zaczęła się tworzyć.

Częścią tej historii były dwie rezydencje Gołębiewskiego w Bejrucie. Podczas pierwszej poznał m.in. Tony'ego Elieh, podczas drugiej zarejestrowali w trio materiał na płytę „Shadowcracker". – Samo nagranie nie napotkało przeszkód, natomiast wielkimi krokami zbliżała się pandemia i cały kryzys z nią związany, a także wybuch w bejruckim porcie, do którego doszło niedaleko studia, a w zasadzie to niedaleko wszystkiego, bo eksplozja była tak wielka, że sparaliżowała całe miasto – wspomina artysta. – Poczekaliśmy więc kilka lat na odpowiedni moment, aby ten album wydać. Wreszcie się udało.

Niestety ten moment przyszedł w środku kolejnego kryzysu. Dzień przed moją rozmową z Sehnaouim na Liban spadły bomby. Jego koncerty spadły natomiast z programów wszystkich niemieckich klubów. – W gruncie rzeczy to jest bardzo prosty mechanizm – tłumaczy Libańczyk. – W Niemczech nie możesz krytykować działań państwa Izrael. W tym zakresie panuje pełna cenzura. A ja wspieram palestyńską sprawę, widzę też przecież, jak Izrael atakuje mój kraj, łamiąc przy tym międzynarodowe prawo, zrzucając biały fosfor, niszcząc uprawy. Moja strategia oporu jest przy tym pokojowa: bojkotuję i nawołuję do bojkotowania Izraela. I to wystarczy, bym dla Niemców był antysemitą.

O komentarz proszę Tony'ego Elieh, w końcu libańskiego berlińczyka. – Boję się wypowiadać w tej sprawie. Naprawdę nie wiem, czy mogę dzielić się przemyśleniami na ten temat, jednocześnie pozostając uczciwym. Mam nadzieję, że taka odpowiedź też jest znacząca, bo daje obraz, w jakiej sytuacji się znajdujemy.

Szczęśliwie Libańczycy spotkają się w Warszawie, gdzie 12 września wystąpią w trio z Adamem Gołębiewskim, którego możliwości prezentuje album „Shadowcracker". – Ta płyta brzmi jeszcze lepiej niż to zapamiętałem – przyznaje Sehnaoui. – Może dlatego, że muzycznie mogliśmy pójść w każdym kierunku, w jakim tylko chcieliśmy. Udało nam się tu zestawić ze sobą elementy, które rzadko się ze sobą łączy: nie ma tu więc oczywistej muzycznej logiki, a mimo to różne wątki świetnie ze sobą koegzystują. Prawdę mówiąc, myślę, że to jedna z najlepszych płyt, jakie nagrałem.

Na okładce płyty tego potężnie brzmiącego, elektrycznego trio widać odrapaną fasadę bejruckiej kamienicy, a na niej świętą Ritę, patronkę spraw trudnych i beznadziejnych. Jeszcze da się ją rozpoznać, ale niedługo zniknie.

© JAN BŁASZCZAK

Bogowie też krwawią

JAKUB MAJMUREK

Czy „Kaos" jest opowieścią o wyzwoleniu ludzi spod władzy bogów, czy o tym, że nikt, nawet owi bogowie, nie są w stanie uciec przed swoim przeznaczeniem? Oto jest pytanie. Zasadnicze, tym bardziej że odpowiedzi bywają tu zabawne.

W Heraklionie trwają przygotowania do wielkiego święta ku czci Zeusa i innych olimpijskich bogów. Rządzący żelazną ręką miastem i wyspą Kretą Minos – rzadko występujący publicznie inaczej niż w obwieszonym medalami galowym mundurze – nie szczędzi starań, by uroczystości faktycznie były godne bogów. Planowane są ofiary z ludzi, odsłonięcie specjalnie przygotowanego pomnika, wreszcie koncert Orfeusza – niezwykle popularnej na wyspie muzycznej gwiazdy, bilbordy zapowiadające jego najnowszą płytę obecne są wszędzie.

Z góry, ze swojej luksusowej willi na Olimpie przygląda się temu wszystkiemu Zeus. Bóstwo oczekujące od ludzi, że będą oddawać mu bezgraniczną cześć. Choć pozornie ma wszystko, czego boska istota, w jakiejkolwiek mitologii, mogłaby sobie tylko zamarzyć, wydaje się dręczony melancholią i czymś w rodzaju boskiego odpowiednika kryzysu wieku średniego.

W ten sposób zaczyna się „Kaos" – dostępny na Netflixie serial roz-

JUSTIN DOWNING / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Jeff Goldblum jako Zeus. Serial „Kaos", Netflix.

grywający się w świecie, który, choć wygląda jak nasz współczesny, to wciąż rządzony jest przez starożytnych bogów. Posejdon w imieniu Zeusa czuwa nad Kretą i prowadzi za rękę Minosa, Dionizos anonimowo towarzyszy śmiertelnikom, zwłaszcza w miejscach, gdzie szukają upojenia i ekstazy, zmarli trafiają do Hadesu, który jest bardzo zużytym kurortem, przerobionym na obóz przejściowy dla uchodźców.

Bogowie za bardzo nam znani

Czemu ma służyć to uwspółcześnienie mitologicznych motywów? Charlie Covell, osoba showrunnerska – Covell identyfikuje się jako osoba niebinarna – ma tu kilka celów. Pierwszy z nich jest satyryczny. Uwspółcześniony świat bogów jest światem komicznym, a zaludniające go postacie są tyleż przerażające, co śmieszne w swojej małostkowości, zazdrości, paranoi, chciwości i braku umiaru.

W postaciach bogów bez problemu rozpoznajemy figury aż zbyt dobrze nam znane z otaczającego nas świata. Zamknięty w kokonie luksusu Zeus jest jak współczesny oligarcha albo dyktator, przekonany, że władza i pieniądze stawiają go ponad zwykłymi śmiertelnikami. Hera jest wariacją na temat znanej z telenowel obrzydliwe bogatej kobiety-łotrzycy w typie Alexis z „Dynastii". Posejdon wygląda jak gangster, który w swoim fachu doszedł tak daleko, że teraz może wygrzewać się półnagi w słońcu na swoim jachcie, w ramach zasłużonej, bardzo komfortowej emerytury, ale w razie czego potrafi jeszcze zastraszyć, zaszantażować, wymusić, skutecznie zagrozić przemocą. Dionizos wygląda jak pogubiony syn bardzo bogatego rodzica, mający o wiele więcej pieniędzy, niż powinna mieć tak młoda i nierozsądna osoba.

Aktorzy wyraźnie doskonale bawią się, ożywiając tak napisane mitologiczne postaci, tworzą przy okazji znakomite kreacje. Najwięcej pochwał zbiera Jeff Goldblum w roli Zeusa – choć czasami powtarza tu po prostu to, co grał tworząc postać Arcymistrza w marvelowskim „Thor: Ragnarok" (2017) Taiki Waititiego. I są to pochwały w pełni zasłużone.

Zeus według Goldbluma, obok komicznego, ma też autentycznie przerażający wymiar, a obie te strony bóstwa podszyte są realnym lękiem i smutkiem. Znakomici są też Janet McTeer jako Hera, a zwłaszcza David Thelwis jako Hades – z niechęcią, a jednocześnie z poczuciem obowiązku zarządzający Hadesem, jak rutynowy, doświadczony biurokrata, coraz częściej popadający w wątpliwości, czy wyżej postawione władze, którym stara się służyć, nie postradały czasem rozumu.

Serial „Kaos" jest gatunkową hybrydą, nieustannie na nowo łączącą różne telewizyjne konwencje i rejestry. Fragmenty z Olimpu przypominają pastisz telenoweli, odsyłają nas w klimaty bliskie niedawnej uwspółcześnionej adaptacji „Zagłady domu Usherów" (2023) czy znakomitej „Sukcesji" – choć rodzina Zeusa jest znacznie bardziej dysfunkcjonalna niż ta Royów, a jej członkowie jeszcze mniej sympatyczni.

Boskość jako zakumulowana nierówność

Ta wymierzona w mieszkańców Olimpu satyra ma przy tym wyraźny polityczny wymiar. Świat rządzony przez bogów odbija problemy tego naszego. Po Heraklionie snują się uchodźcy ze zniszczonej przez bogów Troi – ludzie bez państwa, funkcjonujący na Krecie bez żadnych praw. Napięcia, jakie wywołuje ich obecność, odsyłają do napięć, z jakimi zmagają się dzisiejsze wielokulturowe, ↦

JUSTIN DOWNING / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Killian Scott jako Orpheus i Ramon Tikaram jako Charon płyną przez Styks

↦ ukształtowane przez kolejne fale migracji zachodnie społeczeństwa.

Minos jest patriarchalnym dyktatorem w typie Putina czy Kadyrowa, rządzącym przy pomocy przemocy i strachu. Nieustannie powołuje się na wolę bogów, by zablokować jakąkolwiek zmianę, mogącą zagrozić jego pozycji.

Wreszcie olimpijczycy przypominają współczesnych miliarderów, elitę, która zakumulowała tak wiele różnego rodzaju zasobów, że całkowicie wymknęła się jakiejkolwiek demokratycznej, czy po prostu społecznej kontroli. Oglądając „Kaos" zadajemy sobie pytanie, czy naprawdę, inaczej niż ludzcy bohaterowie serialu, możemy poszczycić się tym, że jesteśmy wolni od kaprysów podobnie niezrównoważonych, samolubnych i okrutnych bóstw jak przedstawieni na ekranie Zeus i Hera? Czy „boskość", jaką pokazuje serial, nie jest po prostu metaforą skoncentrowanej władzy – ekonomicznej, politycznej, symbolicznej – nawarstwionych nierówności, zinstytucjonalizowanego przywileju? Sił, które ciągle kształtują nasze losy, często w sposób równie okrutny, co olimpijscy bogowie?

Prawda was wyzwoli

W centrum „Kaosu" stoją jednak nie postacie bogów, ale czwórka ludzi. Orfeusz i Eurydyka, Ariadna (córka Midasa), wreszcie Kajneus – uwięziony w Hadesie transmężczyzna, który urodził się jako kobieta wśród Amazonek i został zabity za to, że jako nastolatek stał się kimś, kim od zawsze się czuł.

Historia każdej z tych postaci jest historią buntu przeciw różnego rodzaju władzy. Ariadna buntuje się przeciw ojcu i jego tyranii, Eurydyka przeciw duszącej ją coraz bardziej relacji z Orfeuszem (jest gwiazdorem, śpiewa o niej dla tłumów fanów), Kajneus przeciw całej polityce płci swojej społeczności, Orfeusz przeciw samej śmierci. Wszyscy na różne sposoby rzucają też wyzwanie bogom.

Covell wskrzesza bowiem bogów i inne figury z greckich mitów – Mojry, Furie, Minotaura – nie po to, by potwierdzić „odwieczność", „uniwersalność" i „niezmienność" zawartych w micie praw, ale by przedstawić historię ludzi buntujących się przeciw ograniczeniom, jakie nakłada na nich mit, walczących o to, by wykroić sobie jak najszerszą przestrzeń wolności i podmiotowości wobec nieuprawnionych roszczeń bogów.

Naszym przewodnikiem po tej historii buntu jest w „Kaosie" chyba najbardziej do tego odpowiednia postać z całej starożytnej mitologii – Prometeusz. W serialu to niegdyś najbliższy przyjaciel Zeusa, pierwszy i jedyny, który miał odwagę mu powiedzieć, że zmienia wszystko w to, czego nienawidził w młodości. Za karę król bogów przykuł go do skał Kaukazu. A jednocześnie pokonany Prometeusz przed swoją klęską podjął kroki, które mają umożliwić scenariusz, mogący – za sprawą zaangażowania wspomnianej wyżej czwórki ludzkich bohaterów – przynieść kres panowania olimpijskich bogów.

W micie darem Prometeusza dla ludzkości, którego przestraszyli się bogowie, był ogień (pamiętajmy, że w tragedii Ajschylosa „Prometeusz skowany" przynosi nie ogień, lecz nadzieję). W „Kaosie" od ognia jeszcze bardziej niebezpieczna

RADIO 357

Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika"
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

jest prawda, jaką na ścieżkach wytyczonych z pomocą Prometeusza odkrywają bohaterowie. Prawda na temat śmierci i tego, co znajduje się po jej drugiej stronie, a przede wszystkim samych bogów i źródeł ich mocy. Największy sekret bogów, który ujawnia w „Kaosie" Prometeusz, polega bowiem na tym, że wbrew całej swojej potędze oni także krwawią, że nie mają żadnej innej mocy niż ta, którą najczęściej wbrew swojej woli dali im ludzie.

Covell powtarza za pewną tradycją krytyki religii: to nie bogowie tworzą ludzi, ale ludzie bogów. Bogowie z serialu zostali bogami, bo ludzie pozwolili im zawłaszczyć swoje życiowe siły. Ich władza, choć opiera się na kłamstwach, jest jednak jak najbardziej realna – i będzie tak długo, jak długo ludzie nie przestaną im wierzyć i nie zbuntują się przeciw ich rządom.

Krytycy piszący o „Kaosie" porównywali serial do pisarstwa Neila Gaimana, zwłaszcza powieści „Amerykańscy bogowie" czy powieści graficznych z serii „Sandman" – oba teksty doczekały się w ostatnich latach serialowych adaptacji. W światach stworzonych przez Gaimana ludzie są potężniejsi od bogów, bo nie ma innych bogów niż ci, którzy zostali wyśnieni, wymarzeni, wyfantazjowani, wyhalucynowani przez ludzi, stworzeni jako uosobienie ludzkich lęków, pragnień, marzeń i aspiracji. Ale jednocześnie bóstwa, wyłaniające się z naszych snów, zyskują nad nami realną władzę – przynajmniej tak długo, jak nie zaczniemy śnić o innych.

W „Kaosie" widać miejscami podobną wrażliwość w podejściu do mitów i opowieści, jakie one niosą, Covellowi bliżej niż do Gaimana jest jednak do Philipa Pullmana i jego także zekranizowanej jako serial trylogii „Mroczne materie". Pullman, piszący swoje dzieło w kontrze do C.S. Lewisa i religijnych wyobrażeń organizujących jego dzieła, na czele z powieściami z cyklu o Narnii, zainspirowany „Rajem utraconym" Miltona, przedstawiał multiwersum skutecznie buntujące się przeciw królestwu niebieskiemu i uzurpującej sobie władzę nad wszystkimi światami *quasi*-boskiej, tyrańskiej figurze. Ludzcy bohaterowie „Kaosu" – zwłaszcza Eurydyka i Kajneus – wydają się podążać bardzo podobną drogą.

Między wolnością a przeznaczeniem

Jednocześnie „Kaos" nie jest po prostu celebracją ludzkiej wolności, prawa i zdolności do buntu, zdolnych obalać tyranów o największych, boskich pretensjach. Obok bogów i walczących z nimi o własną wolność i godność ludzi, w świecie serialu działają jeszcze znacznie starsze i potężniejsze siły, uosabiane przez Mojry i Furie.

Podstawowy problem dręczący serialowego Zeusa brzmi bowiem: czy jako bóg zdołałem wznieść się ponad swoje przeznaczenie? Czy też podlegam mu jak inni śmiertelnicy? Dla pana na Olimpie to pytanie jest szczególnie dojmujące w kontekście przepowiedni, zapowiadającej upadek władzy jego rodziny.

„Kaos" ostatecznie może więc tyleż okazać się prometejską z ducha opowieścią o wyzwoleniu ludzi spod władzy bogów, co zupełnie inną historią – o tym, że nikt, nawet ci, którym wydaje się, że posiedli boskie atrybuty, nie jest w stanie uciec przed swoim przeznaczeniem. Na końcu którego zawsze znajduje się upadek, rozpad, zniszczenie, rozkład, śmierć. O tym, że pycha, w tym ta boska, zawsze zostanie ukarana przez bezosobowe, obojętne na ludzkie i boskie losy siły, pilnujące, by wszechświat pozostawał w równowadze.

Okaże się to w ewentualnych następnych sezonach. Pierwszy kończy się w zawieszeniu, pozostawiając nas bez odpowiedzi na cały szereg kluczowych pytań. Trzeba przyznać, że to zakończenie jest trochę rozczarowujące, że twórcom nie do końca udało się zebrać wszystkie wątki pracujące w ośmiu odcinkach, tak by widz miał wrażenie, że sezon jest pewną elegancko zamykającą się artystycznie całością, utrzymując przy tym jego zainteresowanie sezonami następnymi. Covellowi nie zawsze udaje się też do końca pogodzić satyryczną, telenowelową, komiczną warstwę „Kaosu" z wszystkimi mitotwórczymi i filozoficznymi ambicjami, jakie przejawia ta seria. Ale to tylko drobne potknięcia w naprawdę znakomitej, zabawnej, pomysłowej produkcji, która z godną podziwu dezynwolturą mierzy się z najbardziej fundamentalnymi opowieściami zachodniej kultury.

© JAKUB MAJMUREK

Wydawnictwo Czarne, Państwowy Instytut Wydawniczy, Wydawnictwo Wielka Litera oraz „Tygodnik Powszechny" ogłaszają

KONKURS NA OPOWIADANIE

Nagroda główna:

publikacja w „Tygodniku Powszechnym"!

Konkurs zapowiada minifestiwal literacki:

Temat: Opowiadania. Lekcja 2

REKLAMA

16 LISTOPADA

Księgarnia Czarnego, Księgarnia PIW

WARSZAWA

Regulamin dostępny od 1 września na stronach organizatorów.

WIELKA LITERA

Państwowy Instytut Wydawniczy

Sens życia i jego brak

ANITA PIOTROWSKA

W bezinteresownym zapatrzeniu na szczenięce wybryki kryje się nadzieja, że świat jeszcze do reszty nie zwariował.

Dotychczas aż do znudzenia mówiło się, że najlepsze filmy o współczesnej Polsce kręcą reżyserzy urodzeni w Bukareszcie. A zwłaszcza Cristi Puiu w „Sieranevadzie" czy Radu Jude w „Niefortunnym numerku lub szalonym porno" i ostatnio w „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata" (wejdzie do naszych kin już pod koniec września).

Tym razem mamy Warszawę w Budapeszcie, bowiem to, co robi Gábor Reisz, jako żywo przypomina nasz społeczno-polityczny świat nieprzedstawiony. Albo przedstawiany dotąd zbyt słabo bądź nazbyt stronniczo, ażeby dało się w nim całościowo przejrzeć. Zapewne przed rokiem „Wytłumaczenie wszystkiego" byłoby odbiciem znacznie ostrzejszym, choć przecież po 15 października nie zaniknęły stare podziały, wewnętrzne konflikty, złe emocje. O tym właśnie opowiada film węgierskiego twórcy. Być może chodzi w nim także o coś dużo większego niż polityka, na przykład o „sens życia oraz jego brak" – by zacytować wcześniejszy tytuł Reisza i jeszcze jeden tamtejszy głos w temacie niedojrzałości.

Główną bohaterką najnowszego filmu jest trójkolorowa przypinka, zakładana przez naszych „bratanków" 15 marca, w rocznicę wybuchu niepodległościowej rewolucji węgierskiej z 1848 r. Nastoletni Ábel (Gáspár Adonyi-Walsh) miał taki znaczek w klapie na maturze z historii, bo po prostu zapomniał go odpiąć. Ale że egzamin ów sromotnie oblał (nie był w stanie wydusić słowa na żaden z wylosowanych tematów), tłumaczył się potem w domu, że „facet od histy" uwziął się na niego z powodu owej „kokardy narodowej". Tudzież ojcowskich sympatii dla prawicowej partii Fidesz.

Wówczas György (István Znamenák) nie ma już wątpliwości, że jego syn padł ofiarą prywatno-politycznej zemsty. W końcu nauczyciel Jakab (András Rusznák) wygląda na typowego libka, co to ćwiczy jogę i jogging, nosi hipsterskiego koczka, a zamiast rozprawiać na lekcjach o ofiarach komunizmu, pokazuje uczniom filmy o Holokauście w rodzaju „Syna Szawła". Ábel, czyli sprawca całego zamieszania, ma też w nim swój bardziej osobisty interes – oto szkolna koleżanka, w której się podkochuje, dużo chętniej związałaby się z charyzmatycznym nauczycielem, gdyby miała jego przyzwolenie. Tymczasem afera z przypinką eskaluje w ideologiczny konflikt, a media sympatyzujące z obecną władzą tylko czekają, by rzecz jeszcze bardziej rozdmuchać i politycznie wykorzystać.

Bez pośpiechu i typowych dla tego rodzaju kina przerysowań czy kontrastów nakreśla Reisz dynamikę i tło owego konfliktu. Na pierwszym planie mamy tutaj dwie odmiany środkowoeuropejskiej klasy średniej, z jej różnymi wzorcami, fetyszami, aspiracjami. Tyle że reżyser i jego współscenarzystka, Éva Schulze, nie próbują pod tym względem iść na łatwiznę. Kiedy wydaje się, że to oczywiste, po której stronie lokuje się ich (i nasza) sympatia, nagle jakiś szczegół, chociażby natury obyczajowej, zaprósza ten czarno-biały obraz. Albo, gdy gotowi jesteśmy zafiksować kogoś na przeciwległym biegunie, prezentuje on postawę zupełnie niepasującą do stereotypu. I tak jak progresywny historyk bywa irytujący w swoim mędrkowaniu i męskim egoizmie, tak konserwatywny György zaskakuje nas czasem swą poczciwością. Choćby było to dobrowolne angażowanie się w prace domowe lub estetyczna niechęć do rodzimych „kossaków". Ktoś powie: czysty symetryzm, jednakże kino Reisza potrafi być od tego najdalsze. W końcu nie tylko zwolennicy Viktora Orbána zwykli nosić z dumą wspomnianą wyżej kokardę.

„Wytłumaczenie wszystkiego" na szczęście wszystkiego do końca nie tłumaczy i nie ośmiesza. Ani wojny o zawłaszczanie narodowych symboli, ani cynizmu współczesnego dziennikarstwa, zwłaszcza „dworskiego". Można potępiać młodą reporterkę Erikę, która w imię stołecznej kariery rzuca się na gorący temat, ale ciekawsze od tego jest samo studium absurdu – w jaki sposób przypadkowe zdarzenie, drobne kłamstewko czy podsłuchana mimochodem informacja stają się wodą na polityczny młyn. I z jaką łatwością wciąga on w swoje tryby obie strony. Scena, kiedy w kryzysowym momencie spotykają się twarzą w twarz i zaczynają polemikę, mogłaby być konstruktywnym rozładowaniem tego napięcia, o ile zapiekli przeciwnicy chcieliby porozumieć się ze sobą. Bo łączy ich

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

WYTŁUMACZENIE WSZYSTKIEGO
(Magyarázat mindenre) – reż. Gábor Reisz. Prod. Węgry/Słowacja 2023. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 13 września.

Gábor Reisz jest nagradzanym reżyserem, scenarzystą i kompozytorem węgierskim, znanym u nas z takich filmów, jak „Sens życia oraz jego brak" (2014) czy „Najgorsze wiersze świata" (2018). Ze swoim najnowszym tytułem, „Wytłumaczenie wszystkiego" (2023), wygrał m.in. w sekcji Orizzonti festiwalu w Wenecji oraz w tegorocznym konkursie Nowych Horyzontów we Wrocławiu.

Powyżej: kadr z filmu „Wytłumaczenie wszystkiego"

w gruncie rzeczy całkiem sporo i można by przekierować tę gniewną energię w zupełnie innym, bardziej sensownym kierunku.

Dla twórcy „Najgorszych wierszy świata" najważniejszy jest w tym wszystkim bierny z pozoru Ábel, dopiero wchodzący w życie. Co prawda sypie mu się wąs, lecz zdaje się dzieckiem we mgle, a jego egzamin dojrzałości, który stał się w pewnym momencie sprawą wagi państwowej, zamienia się w sprawdzian z realnej dorosłości. Z uodpornienia na konformizm i manipulacje, z bycia naprawdę wolnym. Nie przypadkiem bohater zdaje właśnie historię. Ta przez duże „H" miała się zakończyć wraz z upadkiem komuny, jednak zawsze, nie tylko pod austriackim czy sowieckim knutem, są okazje, by wykrzesać z siebie małe bohaterstwo. Zresztą nawet maturalne tematy wydają się ukrytym komentarzem do bieżącej sytuacji na Węgrzech. Dlaczego więc Ábel zaniemówił? Czemu w momencie, gdy waży się jego przyszłość i wokół całej sprawy starło się tyle rozmaitych interesów, on przyjmuje postawę „wolałbym nie" i woli korzystać z uroków lata w mieście? Reisz jedynie sugeruje odpowiedzi.

Przed nami dwugodzinna wersja filmu, czyli skrócona wobec pierwotnej o kilkadziesiąt minut. Można się spodziewać, że i w tamtej nie znaleźlibyśmy „wytłumaczenia wszystkiego" (młodzieńczym buntem, depresją, zawiedzioną miłością), ale raczej jego pogłębienie i zniuansowanie. Reisz zgrabnie porządkuje i zagęszcza fabułę, a oddając spojrzenia poszczególnym bohaterom, stopniowo ich „rozbiera" i dzięki temu każdego z nich jakoś uczłowiecza. W jego bezinteresownym zapatrzeniu na szczenięce wybryki Ábla kryje się nadzieja, iż ten świat do reszty jeszcze nie zwariował w swoich plemiennych zacietrzewieniach. Unikając antagonizowania na siłę i zarazem gestów naiwnie pojednawczych, udaje mu się sportretować zbiorowe zmęczenie – podsycaną odgórnie dwubiegunowością i wzajemnym brakiem zaufania. Ciekawe, kto mógłby w Polsce zrobić podobny film i jak szybko zostałby oskarżony o bagatelizowanie dominującego konfliktu. O rozmywanie politycznych czy moralnych racji. ©

Lektor:
Bezdomność i wolność

▪ *Jerzy Jarniewicz*
FROTAŻ. SZKICE O LITERATURZE ANGLOJĘZYCZNEJ
Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2024, ss. 448

Poeta, tłumacz, krytyk, autor książek o Philipie Larkinie i Seamusie Heaneyu, nauczyciel akademicki, kronikarz kontrkultury... Zbiór jego szkiców „Tłumacz między innymi" (wkrótce wznowienie) to w dziedzinie translatologii lektura obowiązkowa, nie tylko dla specjalistów. Za tom wierszy „Puste noce" otrzymał Silesiusa, za „Mondo cane" – Nike, a wybór „Landless Boys", przełożony na angielski przez Piotra Florczyka, znalazł się właśnie na liście nominacji do Amerykańskiej Nagrody Przekładowej. Obok m.in. nowych tłumaczeń „Iliady" i „Przemian" Owidiusza oraz książki znanego u nas ukraińskiego poety i slawisty Ostapa Sływynskiego. No a teraz nowa książka eseistyczna.

Tytuł odwołuje się do techniki malarskiej surrealisty Maksa Ernsta i jego obrazu ze sławnego Muzeum Sztuki w Łodzi. Wyruszamy więc w podróż po literaturze z rodzinnego miasta autora, zaprowadzi zaś nas ona do wiktoriańskiej Anglii (Dickens i George Eliot), XIX-wiecznej Ameryki (Mark Twain), a przede wszystkim w bliższe nam rewiry czasowe, od imażystów (jeden wiersz Hulme'a) i modernistów (przede wszystkim Joyce i Virginia Woolf), przez Orwella, Doris Lessing, Philipa Rotha, Updike'a i Cormaca McCarthy'ego, po zmarłą niedawno Hilary Mantel i Zadie Smith. Ta podróż jest nieoczywista, pełna pytań czasem bez odpowiedzi, niekiedy też polemik. Patronuje jej zdanie z motta, w którym Jan Klata przestrzega przed „bezpiecznie binarnym światem jedynie słusznych poglądów na wszystko".

No bo co zrobić na przykład z faktem, że za sprawą trybu pracy Joyce'a właściwie nie istnieje kanoniczna wersja „Ulissesa"? Albo z wiadomością, że współautorem zachwycających fraz w opowiadaniach Raymonda Carvera był jego redaktor? Albo z powieścią Hemingwaya (jak zauważa Jarniewicz, w pewnej chwili zniknął z kanonu, ale wraca), wydaną wiele lat po jego śmierci i wykrojoną z olbrzymiego maszynopisu? Przy tym literatura, ta już istniejąca, nie jest obojętna na czas, przeciwnie. „Literatura to czas. Jak moje płuca i serce, moja polszczyzna, chodniki na Piotrkowskiej". Czytając, współtworzymy ją naszą wyobraźnią. Daje nam chwilowy dom, choć sama jest bezdomnością, jak bezdomny jest irlandzki Żyd Leopold Bloom. „W bezdomności literatury tkwi jej racja bytu jako żywiołu niełatwej wolności, ruchu i przemian. Póki jest bezdomna, póty ma coś ważnego do powiedzenia". ©℗

OLGA

Drenda: *Świat bez kiosków*

Staromodne dowcipasy o zawartości przepastnych torebek zapobiegliwych dam nie wychodzą z obiegu. Taka torebka może pomieścić glebogryzarkę, pingwina, średni baobab i pełen skład Rady Miasta Sędziszowa, przy czym nie zawsze da się te niezbędne rzeczy od razu znaleźć. Są jednak niezbędne, i to wszystkie, ponieważ nigdy nie wiadomo, co może się przydać w tarapatach i lepiej na wszelki wypadek mieć wszystko pod ręką.

Śmieszki śmieszkami, ale teraz ze stylem życia zapobiegliwych pań warto się będzie przeprosić. Co bowiem zrobimy, gdy nagle, kiedy jesteśmy w drodze, zdarzy się nam nagła potrzeba skorzystania np. z agrafki? Albo taśmy klejącej? Człowiek dwudziestowieczny w mojej głowie od razu myśli sobie: oczywiście, należy pójść do kiosku. Ale nie ma dokąd iść: tam, gdzie przez lata stały kioski – nie ma kiosków, musieli wywieźć je na słynne cmentarzysko pod Łodzią. Albo są, ale zmieniły specjalizację – z mydła i powidła na kebab albo kawę. Zdumiona patrzę na znajome okolice, w których kiedyś co kilka przecznic mogłam znaleźć kioski, 1001 drobiazgów i rozmaite usługi, gdzie świat wydawał się gościnny i pomocny, bo można było powiedzieć sobie: jeśli coś się zepsuje, to wiem, gdzie i jak znaleźć pomoc.

Albo powiedzmy, że potrzebujesz plastikowej miski typu miednica. Każdemu się to może zdarzyć. Zapobiegliwa gospodyni ma z pewnością w domu niejedną miednicę (oraz stolnicę, parownicę, pierożnicę), ale jeśli akurat dopiero zaczynasz przygodę z praniem ręcznym lub myciem włosów na sposób harcerski, bo z powodu remontu nie ma ciepłej wody w bloku – miednicę trzeba zdobyć. Kupowało się je w sklepie przemysłowym albo na takimż dziale w miejscowym Społem. Ale gdzie w waszej okolicy jest przemysłowy i czy przypadkiem po miednicę nie musicie się wybrać na drugi koniec miejscowości, jak przed stu laty konno na targ? Taka to ta nasza epoka lotów na Marsa.

Poproszę agrafkę

OLGA DRENDA

Oczywiście, modele handlu zmieniają się przez cały czas i klient się przyzwyczaja. Samoobsługa, płatności kartą, niedziela niehandlowa – tego przecież jeszcze względnie niedawno nie było. Ale tu nie chodzi jedynie o same zakupy, lecz o całkowitą zmianę myślenia o tym, co to znaczy „pod ręką", „od ręki", „na poczekaniu", „po drodze". Przecież miednicę i agrafkę można kupić przez internet, wszyscy dzisiaj tak kupują, ktoś powie. Albo snuje wizję przyszłości, w której agrafkę w dowolnej chwili przyniesie mi drogą powietrzną dostawca-dron. Oczywiście, ale to wyklucza możliwość rozwiązania problemu po drodze. Zamawiając miednicę i agrafkę, zakładamy, że będą nam potrzebne, a nie kupujemy je na szybko, gdy ta potrzeba się pojawia. I co ważne – nie można ich zapomnieć.

Najlepiej wtedy przeobrazić się w tę zapobiegliwą panią, która nosi wszystko w torebce jak ślimak w swoim domku. I założyć, że skoro po drodze nie będzie się dało nic zrealizować, to lepiej być na każdą drogę przygotowanym. Co oczywiście wymusza również inne planowanie dróg – najlepiej bez przygód i maksymalnie efektywnie. Świat, w którym nie da się niczego kupić ani załatwić po drodze, to świat pozbawiony beztroski i kurczący radykalnie margines ryzyka. Jeśli nie można sobie powiedzieć „najwyżej poradzę sobie z tym gdzieś po drodze", to znaczy, że trzeba ściśle planować i zamienić własne życie w niezawodnie efektywny łańcuch logistyczno-spedycyjny.

Nasze miasta stają się puste – często, przemierzając ich centra, mijamy kolejne kartki „do wynajęcia". To nie świadczy tylko o niezrozumiałej polityce czynszowej. To również smutny dokument tego, jak zmienia się (zakładam, że niekoniecznie z woli mieszkańców) sposób, w jaki żyjemy. Przede wszystkim na taki, który eliminuje zatrzymywanie się: wejście gdzieś na chwilę, przy okazji. Zamiast tego – elektryczna hulajnoga wiezie naprzód, bez marnowania czasu na jakieś tam pauzy. Małe sklepy samoobsługowe, w których nie ma agrafek, i aplikacje mobilne obiecują nam, że zaoszczędzimy czas (który możemy przeznaczyć na zamawianie przez internet). Dobrze, że przynajmniej w niektórych kioskach jest jednak ten kebab i kawa.

Po internecie nadal krążą memy o stale rozwijanym asortymencie mydła i powidła w placówkach pocztowych – że można nabyć tam wszystko, zwłaszcza z zakresu kulinariów zakonnych i konfekcji łazienkowej, ale na najbardziej szarym z szarych końców znajdują się koperty i znaczki. Poczekajcie sobie śmieszki, myślę czasami w duchu – Poczta Polska nie miewa się podobno najlepiej i jeśli zamkną część placówek, to pozostanie wszystkim czekanie na dostarczenie zamówionej przez internet agrafki drogą kurierską. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo:
Kociołek imć Dodina

Rzadko się zdarza, żeby w szerokiej dystrybucji leciał film tak bardzo nam, pasibrzuchom, poświęcony, w dodatku kawał znakomitej aktorskiej roboty. Zresztą jak dla mnie Juliette Binoche mogłaby czytać przysłowiową książkę telefoniczną – a i tak bym siedział dwie godziny wgapiony w ekran. A co dopiero, kiedy panuje nad wielką kuchnią w zamku teoretyka i praktyka gastronomii w ostatniej ćwierci XIX w., urządzoną z przepyszną dbałością o najmniejszą łyżkę.

Wierności tzw. historycznej prawdzie w tym balecie nie ma, ot, choćby w wielkiej kuchni jest tylko jedna dziewka do pomocy. Ale natłok pobocznych postaci psułby taneczny układ dwójki bohaterów, ich frenetycznie zajętych dłoni i miłośnie skupionych oczu. Teatralność obrazu i dialogów osobliwej pary służy przecież nie temu, żebyśmy (jak u profesora Dumanowskiego) oglądali naukową rekonstrukcję, tylko przyswoili sobie przez oczy traktat o sztuce kulinarnej. Oraz utwierdzili się w przekonaniu, iż to Francuzi posiadają w tej materii najwyższą wiedzę i wrodzone talenta. Dlatego mogą czasem oddać innym nieco swej chwały – np. nazywając pewien rozkoszny deser „omletem norweskim", chociaż w surowej Norwegii nigdy by coś tak grzesznego nie powstało (wie coś o tym niejaka Babette...). Myślę, że właśnie po to, by film kojarzył się francusko i sensualnie, polski dystrybutor dał mu tytuł „Bulion i inne namiętności".

Otóż namiętności – jak najbardziej są, bulion też się pojawia, z ryby, sumiennie wyklarowany białkiem i okraszony stosownym pięknosłowiem stołowników. Ale przecież ucieleśnieniem mistycznej i w kółko sławionej z ekranu harmonii francuskiego gotowania jest centralne dla narracji filmu danie – *pot-au-feu*, które tłumaczę jako po prostu kociołek. Wywar gra tu rolę niemal produktu ubocznego, chodzi bowiem – o czym mogliśmy się snadnie przekonać w ujęciach nagrodzonych Złotą Palmą – o kompozycję parujących kawałków mięsiwa i jarzyny, podlanych zmieniającymi odbiór całości sosami. Dzięki nim strawa (którą pochłania zwierzę) podnosi się do rangi posiłku (który zjada człowiek).

Imć Dodin i jego goście – notable zabijający nudę prowincji celebrowaniem jadła i napitku – filozofują o jedzeniu słowami wyjętymi z kart Anthelme'a Brillat-Savarina albo naśladującymi jego styl. Autor „Fizjologii smaku" był już dwieście lat temu na tyle sprytny, że zawiłe rozważania wokół smaku jako klucza do człowieczeństwa poprzedził listą najzgrabniejszych aforyzmów. Scenarzysta, jak większość z nas, poza nie nie wyszedł (a szkoda, bo doczytalibyśmy, że ważniejszy od smaku jest jeszcze szósty zmysł zwany płciowością, obecny w organach rozrodczych). No więc na marginesie warto zauważyć, że Brillat-Savarin to już ramotka i tylko dobra gra ratuje niektóre dialogi przed pretensjonalnością. Wciąż możemy uważać, że jedzenie (oraz do tego wino i towarzystwo!) są pomostem do zrozumienia człowieka w jego kondycji tak egzystencjalnej, jak i społecznej – ale inaczej już o tym mówimy i już żadna Francja i jej XIX-wieczne, elitarne obyczaje nie służy nikomu za probierz doskonałości.

No chyba że ten kociołek... bardzo mi pasuje, że po polsku słowo ma zwyczajny wydźwięk: bo jeśli jest coś genialnego, wykraczającego poza kontekst kraju i epoki, to że do *pot-au-feu* można wrzucić coś, co akurat się ma pod ręką, a i tak efekt w istocie będzie ten sam, tyle że mniej zniuansowany niż w wersji bogatej. Pierwszy raz w życiu jadłem *pot-au-feu* we francuskim domu właśnie po plebejsku, z żeberkami i paroma rodzajami kiełbas oprócz pręgi wołowej. Do dziś pamiętam tę synkretyczną rozkosz, harmonię widoku, zapachu, ciepła łaskoczącego skórę i wreszcie podnietę smaku. Tak, zapomniałem wtedy o głodzie, o ciele, nawet o swej płciowości i na chwilę stałem się pełnym człowiekiem.

Krem salwatorski

ADOBE STOCK

250 ml śmietanki 30% 100 g crème fraiche
łyżka cukru pudru

Konsultantem filmu był gwiazdkowy szef Pierre Gagnaire, gra nawet jednego z kucharzy. Niedawno gościliśmy go na łamach (nr 32) z przepisem na prosty, ciekawy sos, odszukajcie, bo warto. Francuzi nie dość, że nadali swoje nazwy wszystkim możliwym sosom, to nawet bitą śmietanę z wanilią przemianowali na crème chantilly – od razu brzmi kosztownie. Zróbmy im na złość, łącząc ją z... crème fraiche, cóż, niestety i tu żaden naród nie zaproponował swojej nazwy na 40-procentową kwaśną śmietanę. Ale połączenie jest moje, arcypolskie, salwatorskie, trochę przypomina włoskie crema di mascarpone. Bardzo zimną śmietankę lekko solimy (koniecznie!), ubijamy na sztywno dodając łyżkę cukru pudru i ewentualnie kropelkę pasty z wanilii. Potem delikatnie, przerywanymi ruchami miksera na minimum albo drewnianą łyżką, wkręcamy ostrożnie crème fraiche. Podajemy od razu, ale dzięki temu dodatkowi śmietana nie podejdzie szybko wodą. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

SZNYT MODY

Cały ambaras ze strojami sportowymi polega na tym, że muszą łączyć przyzwoitość, praktyczność i elegancję. Taki melanż bywa problematyczny.

DOROTA MALINA

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA X3

Na początku nie było nic. W starożytnej Grecji mężczyźni, wolni i bogaci, ćwiczyli w stroju Adama, a kobiety nie ćwiczyły wcale. Młodym dziewczętom pozwalano co prawda biegać na herajach, czyli igrzyskach ku czci Hery, ale stanowiły one inicjację przedślubną, czyli ostatni zryw wolności. I to, co ciekawe, odbywany w męskich tunikach.

Średniowiecze na długie wieki oddzieliło brudne ciało od czystego umysłu, więc ruchu zażywali już tylko ci, którzy nie mieli wyjścia. Arystokracja odpoczywała, kler i uczeni studiowali księgi, pracując nad garbem i oświeceniem. To oczywiście uproszczenie, bo były w końcu polowania i potańcówki. Ale ogólnie rzecz ujmując, kto nie musiał wstawać, wolał siedzieć. Na tyle wygodnie, na ile pozwalały gorsety, fraki i krynoliny.

Idea ruchu dla sportu narodziła się w XVIII w. wraz z doktryną higienizmu, która w naszej części świata ma raczej złowieszcze konotacje, ale pierwotnie odnosiła się do profilaktycznego dbania o jadłospis, gimnastyki i podróży „do wód".

Najpierw były spacery. Już one wymagały zmiany garderoby, bo, jak widać na portretach osiemnastowiecznych arystokratek, szerokie suknie czasem nie mieściły się nawet we framugach, co ograniczało przestrzeń życiową właścicielek do salonów i fraucymerów. W kolejnych wiekach pojawił się tenis, automobil i tak aż do aerobiku z Jane Fondą. Co sport, to strój. A potem to już nawet strój bez sportu, bo niech pierwszy rzuci młotem ten, kto nigdy nie gnuśniał w dresie na kanapie.

Sprintem przez historię

Ewolucję ubrań sportowych przedstawia wystawa „La mode en mouvement" („Moda w ruchu") w paryskim Palais Galliera. Ścieżka edukacyjna prowadzi nas od XVIII-wiecznych fiszbin i stójek przez kolejne dekady, aż do współczesności (kończymy adidasem). Można też zanurzyć się w modzie plażowej, bo kilka sal wydzielono na prezentację kostiumów kąpielowych.

Kuratorki zadbały o to, by wizyta nie ograniczyła się do przyjemnej przechadzki wśród manekinów ubranych w pocieszne trykoty i cyklistówki. Już na wejściu dostajemy sążnisty tekst z wyjaśnieniem, jaka problematyka wyłania się z historycznego zestawienia i na co zwracać uwagę.

Nieuchronnie pada też słowo klucz wszystkich muzealnych katalogów, czyli „dialog". Co z czym dialoguje? Ubrania codzienne ze strojami sportowymi. I co wyłania się z tego dialogu? Zagadnienia takie jak: specjalizacja strojów sportowych, dostosowanie ubrań kobiecych do ćwiczeń, wpuszczenie *sportswearu* do codziennej garderoby oraz „ewolucja ciała sportowca i sposobów, w jakie strój podkreśla jego piękno" (tak, dla mnie też brzmi to dość mętnie).

Wyposażeni w tematy do przemyślenia i mapkę wystawy ruszamy do pierwszej sali, gdzie francuska publiczność musi przełknąć bolesną pigułkę: moda sportowa, wraz ze sportem, przywędrowała z Anglii. Zresztą do dziś widać to w języku – Akademia Francuska może gwizdać i wlepiać czerwone kartki, promować *jouer de tennis* i *chaussures de sport*, a i tak wszyscy, nawet dziennikarze ambitnych stacji, mówią *tennismania* i *baskets*.

Zanim jednak awansujemy do tenisa, golfa czy hippiki, zaliczamy pocieszną rozgrzewkę w postaci wspomnianych już

KOJI WATANABE / GETTY IMAGES

Siostry Williams w różnych strojach podczas występów na kortach świata.

spacerów. Gorsety musiały się bowiem poluzować, a spódnice minimalnie skrócić, inaczej nawet przechadzka po parku byłaby sportem ekstremalnym. Na uwagę zasługuje zmyślny zestaw troczków i sznureczków, który pozwalał spacerowiczce, w razie absolutnej konieczności, podnieść nieco rąbek spódnicy, a potem, jak najszybciej, skromnie go opuścić. Panom oczywiście od zawsze było łatwiej, bo mieli spodnie, laski, a na koniu mogli siadać okrakiem.

Biała miniówka

Żeby zobaczyć, jak daleko zaszłyśmy (albo – według ówczesnych standardów – jak nisko upadłyśmy), wystarczy zestawić stroje Igi Świątek, zwłaszcza te kolorowe od szwajcarskiej marki ON, ze „skandalizującym" kostiumem, który dla francuskiej tenisistki Suzanne Lenglen uszył Jean Patou. Publiczność Wimbledonu w 1919 r. spodziewała się tradycyjnej długiej do ziemi białej sukni z bufiastymi rękawami, tymczasem Lenglen wystąpiła w plisowanej spódnicy tuż za kolano. Warto przypomnieć, że niewiele wcześniej wiktorianie za szczyt wyuzdania uważali obnażenie kostki.

Spódniczka tenisowa – bo po Patou już nie było odwrotu i co turniej, to krócej – stanowi feministycznie ciekawy kazus. W wywiadzie dla „Madame Figaro" analityk trendów Thomas Zylberman zauważa, że z jednej strony miniówka wyzwoliła tenisistki, bo dała im swobodę ruchów, ale z drugiej „była erotycznie rozbuchana", głównie ku uciesze męskiej części widowni.

No i jeszcze ta biel – tradycyjne barwy tenisowe (i krykietowe, i golfowe – wiadomo, sporty dla bogatych, których stać na praczki) bywają problematyczne w, jak mawiają dziennikarze TVP Sport, „te dni". Tradycyjnie zawodnicy i zawodniczki nadal grają w bieli, choć regulamin większości turniejów wcale tego nie wymaga. Wyjątkiem jest Wimbledon, gdzie reguły „white only" przestrzega się tak rygorystycznie, że w 2013 r. Roger Federer musiał po pierwszej rundzie zmienić buty ze skandalicznie czerwoną podeszwą. Wcześniej André Agassi, wielbiciel kolorowych getrów, zupełnie zbojkotował londyński turniej. Czasy się zmieniają, reguły się luzują, ale biel nadal jest *de rigeur*. ↦

Skórzana pilotka

↦ Wracajmy jednak do muzeum. Jako się rzekło, początki sportu wiążą się z higienizmem. Na czarno-białych niemych filmikach możemy oglądać, jak dziewczęta w halkach i pumpach pociesznie podskakują i robią pajacyki. Po co? Żeby być zdrowe, a przede wszystkim, żeby rodzić zdrowe dzieci.

Arystokratki, oprócz radosnych podskoków przedciążowych, mogły uprawiać też „jazdę konną, myślistwo, strzelectwo, tenis ziemny, golf, szermierkę, krokieta i jazdę automobilem". Każda z dyscyplin stanowiła okazję do spotkań w kobiecym gronie i wymagała oczywiście odpowiedniego stroju, który umożliwia w miarę swobodny ruch, ale nie pozwala luzować obyczajów. Większość ciała była skromnie zakryta.

W przypadku automobilistyki zasłaniano też oczy, bo zawrotna prędkość ponad 10 kilometrów na godzinę wymagała ochrony przed kurzem. Służyły do tego okulary, które przypominają dzisiejsze okulary pływackie, tyle że z gumką ze skóry (takie jak u Ropucha z „O czym szumią wierzby"). Kobiety zakrywały jeszcze włosy, żeby wiatr nie potargał im fryzury. Na jedwabne apaszki noszone à la Audrey Hepburn przyjdzie czas później. Tymczasem należy przypomnieć sobie skórzaną pilotkę, jaką Tamara Łempicka ma na autoportrecie w zielonym Bugatti. W ogóle dominowały wtedy „naturalne" tkaniny, bo żeby nie zmarznąć podczas jazdy, opatulano się futrami szopa, kozy lub żbika.

Zanim przyszły kąpielówki

Jak można dostrzec już w pierwszych salach, cały ambaras ze strojami sportowymi polega na tym, że muszą łączyć przyzwoitość, praktyczność i elegancję. Ale ten melanż bywa problematyczny. Doskonale widać to w galerii strojów kąpielowych. Początkowo na dominację wysuwała się przyzwoitość – XIX-wieczne plaże i kąpieliska nie były koedukacyjne.

Zażywane wyłącznie w celach zdrowotnych kąpiele wymagały pełnego osprzętowania: pumpy, ciężka suknia, w której łatwo się było zaplątać, a jeszcze łatwiej utonąć. No i kabina kąpielowa na kółkach, którą wciągano do morza, żeby kąpielowiczka mogła się taplać z dala od wścibskich spojrzeń. Taplać, bo jeszcze w XIX w. tylko nieliczni potrafili pływać. Morze długo uważano za środowisko nieprzyjazne człowiekowi i pomysł, żeby dobrowolnie rzucać się na głęboką wodę, wydawał się takim samym absurdem, jak pokazywanie na plaży męskiego torsu (kąpielówki, w jakich panowie paradują dzisiaj, to dopiero lata 30. XX w.).

Stopniowo pływakom i pływaczkom przybywa jednak śmiałości, a kostiumom ubywa materiału. We Francji bombę obyczajową spuszczono dość wcześnie, bo już w 1946 r., kiedy na pływalnię Molitor w XVI dzielnicy Paryża wparowała tancerka wodewilowa Micheline Bernardini w trzech trójkątach materiału i, o zgrozo, z odsłoniętym pępkiem.

Polo, tenisówki i skarpety

Paryska socjeta od pierwszej połowy XIX w. rytualnie pielgrzymuje do Deauville. Odkąd do normandzkiej wioski doprowadzono linię kolejową, błyskawicznie powstał tam kurort z kasynem, torem wyścigów konnych, kortami tenisowymi i parasolkami do wynajęcia. Czyli mnóstwem rozrywek wymagających głębokich kieszeni i modnej odzieży. W Deauville, nazywanym XXI dzielnicą Paryża, nie można było spuszczać z tonu, gdyż prawdopodobieństwo spotkania znajomych było odwrotnie proporcjonalne do szansy wygranej w ruletkę.

W uroczym i nieco staroświeckim Musée Villa Montebello w sąsiednim Trouville na wystawie stałej poświęconej historii kąpieli morskich i rozwojowi turystyki w regionie, oprócz dzieł lokalnych impresjonistów podziwiać można też ubrania, głównie suknie, kapelusze i dziergane na szydełku kostiumy. Jak bowiem czytamy w przykurzonej gablotce, dzień w kurorcie był serią aktywności wymagających nieustannych zmian garderoby: suknia poranna, strój do krokieta, lekka suknia na obiad, kostium kąpielowy, kreacja na kolację, suknia na bal w kasynie.

Dziś w Deauville króluje odzież sportowa – eleganckie starsze pary w wygodnych tenisówkach i gustownych polo Lacoste, trochę blichtru w kasynach i na koncertach, ale ogólnie (pozorny) luz i lekki kicz. Łatwo dać się nabrać, kiedy człowiek spędza tam jedną upalną niedzielę. Coco Chanel (która swój pierwszy butik otworzyła właśnie w Deauville) przewracałaby się w grobie na widok dziewczyn w dresach z błyszczącym logo LV i chłopaków w klapkach i białych skarpetkach.

Nie od dziś jednak wiadomo, że moda jest językiem, a każde pokolenie ma swój idiom i nawet bez otwierania ust widać, kto z którego szymla. Ostatnio w poważnym programie w radio BBC analizowano na przykład TikTokową wojnę o długość skarpetek – by odróżnić się od milenialsów, zetki rytualnie wyrzucają stopki i wciągają skarpety za kostkę. Niby detal, ale znaczący. To samo w Deauville: pozornie wszystkie eleganckie paryżanki mają proste czarne kostiumy, ale wprawne oko wie, ile zer było na metce.

Sześć butów Jordana

Wróćmy z burżujskiego Deauville, gdzie od XIX w. głównym sportem niezmiennie pozostaje paradowanie po deptaku, do Palais Galliera. Jak dowiadujemy się z gablot poświęco-

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygnaturą II Ns 136/22 toczy się postępowanie z wniosku „ADGAR BC III spółki z ograniczoną odpowiedzialnością" spółki jawnej z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości gruntowych stanowiących działkę ewidencyjną nr 12/16 z obrębu 2-03-05 o powierzchni 251 m^2 oraz działkę ewidencyjną nr 14/5 z obrębu 2-03-05 o powierzchni 443 m^2, położonych przy ulicy Nowoberesteckiej w Warszawie, dzielnica Ochota.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili swój udział w postępowaniu w terminie 3 miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić zasiedzenie zgodnie z wnioskiem.

EGIDIO SCAIONI / PALAIS GALLIERA / PARIS MUSÉES

MATERIAŁY PRASOWE PALAIS GALLIERA / PARIS MUSÉES

Po lewej od góry: Kombinezon Sirène de Lucien Lelong, autorstwa Egidio Scaioniego, 1925-1929 r.
Fragment ekspozycji w Palais Gallier, strój damski do gry w tenisa.
Na sąsiedniej stronie: Wachlarz z reklamą perfum Piver, Igrzyska Olimpijskie, 1924 r.

nym latom 80. – po wspaniałym (we Francji) trzydziestoleciu (1945-1975) przychodzą kryzysy gospodarcze, epidemia AIDS i moda na amerykański rap, co odzwierciedla się we wzroście popularności wygodnego *sportswear*. Na przedmieściach, a potem na pokazach mody królować zaczynają sztuczne tkaniny, T-shirty, dresy i tenisówki.

A wiek XXI to już zupełna hegemonia ubrań sportowych. Tak silna, że nawet luksusowe marki *haute couture* nawiązują współpracę z ich producentami. I tak dresy, w których chłopcy z przedmieść paradowali pod blokiem, trafiają na wybieg „jako owoc twórczej współpracy Gucci i Adidasa".

Podobnie z butami, które po polsku niezależnie od marki nazywano adidasami, a które po francusku określa się jako *les baskets*. W muzeum poświęcono im prawie całą salę, bo to „ikony mody" – z butów, które początkowo naprawdę służyły do gry w koszykówkę, stały się obuwiem niemal uniwersalnym i już nikogo nie dziwi, że na wielkich galach do sukien i garniturów zakłada się trampki na słoninie. Obuwie sportowe produkują teraz nawet wielkie domy mody (Christian Dior, Chanel czy Valentino), a kolekcjom sneakersów poświęca się wystawy muzealne, albumy Taschena (World's Greatest Sneaker Collectors) i aukcje.

W lutym tego roku sześć butów Nike Air Jordan, które gwiazdor NBA nosił na meczach, poszło w Sotheby's za osiem milionów dolarów. Warto podkreślić, że pod młotek trafiło właśnie sześć butów, a nie trzy pary, co i tak nie ma pewnie większego znaczenia, bo przecież anonimowy nabywca i tak nie będzie w nich chodził. Przywołana nazwa modelu, Nike Air Jordan, pozwala musnąć temat sponsoringu.

Od lat 30. mężczyźni mogą publicznie pokazywać torsy. Co sporadycznie robią, na przykład na boisku, kiedy bardzo się cieszą ze zdobytego gola (od 2004 r. pod karą żółtej kartki). Czemu jednak nie grają w samych gatkach? Byłoby im mniej gorąco. Tylko gdzie widniałaby wtedy nazwa „dumnego partnera drużyny"? Może przemawia przeze mnie cynizm, ale mam mocne przypuszczenia, że Quatar Airlines wolą mieć logo na piersi niż na pupie Kyliana Mbappé.

Tak oto historia zatoczyła koło: ubrania sportowe, które nosiły wyłącznie klasy wyższe w ściśle określonych kontekstach, stały się strojem ulicy, który potem znów przejął świat luksusowej mody. Przejął i przemielił przez młyny sztuki i skandalizującej przesady, czego doskonałym przykładem są sneakersy 10XL Balenciagi. Za bagatelną kwotę 1100 euro można nabyć obuwie tak olbrzymie, że trudno w nim komukolwiek chodzić, a co dopiero biegać. Sztuka dla sztuki, bo raczej nie dla sportu.

© DOROTA MALINA

Wystawę **LA MODE EN MOUVEMENT** można oglądać w paryskim Palais Galliera do 5 stycznia 2025 r. Warto też obejrzeć dostępny na darmowej platformie ARTE film dokumentalny „Moda i sport".

STANISŁAW

Mancewicz:
Prezydent przystojny

Zaciekawiły nas publicznie snute fantazje o idealnym kandydacie Prawa i Sprawiedliwości, który miałby wystąpić w wyborach prezydenckich. Sięgnąwszy pamięcią nie przypominamy sobie, by jakakolwiek formacja polityczna klarowała sobie i nam, w taki sposób, na głos, kto oto mógłby ją najpiękniej i najgodniej reprezentować i jakie ów ideał będzie mieć przymioty ciała i umysłu.

Trzeba rzec na wstępie, że są to fantazje dość skromne, sumują się w oczekiwaniach dość banalnej fizyczności, rodem z opisu w serwisie randkowym, bądź pochodzące z ogłoszenia poszukiwań wodzireja imprez bezalkoholowych. Jeśli zaś idzie o walory intelektualne, ideał – jak słyszymy – powinien mówić językiem obcym, a najlepiej dwoma. Co ten pan miałby mieć w tych językach do powiedzenia? Nie wiadomo. Czemu nie może nie mówić żadnym językiem obcym? Nie wiadomo. Jesteśmy przecież w Polsce i powinniśmy tu mówić po polsku. „Tu jest Polska, nie Europa" – że zacytujemy jedno z najfajniejszych haseł, spostrzeżonych ongiś na jakimś pisowskim wiecu.

PiS poszukuje człowieka, który byłby wysokim, przystojnym i dobrze zbudowanym mężczyzną, obytym w świecie, który był tu i ówdzie, najlepiej z żoną, a nie tylko z mamą w Złotych Piaskach za wczesnego Żiwkowa. Dobrze, by kandydat miał dzieci, pieniądze, a więc też konto w banku, powinien mieć, zdaje się, jakąś nieruchomość i auto, powinien dobrze wyglądać w garniturze, co nie jest w Polsce częste. Tyle wiemy na razie, a każdy obywatel – nawet prawicowy – w miarę poważnie traktujący swe państwo, musi odczuwać programowy niedosyt.

Ponieważ, jeśli chodzi o prawicowe pomysły, odczuwamy zawsze przesyt – uważamy, że ów spis zalet i walorów jest aż nadto kłopotliwy dla kogoś, kto nie chciałby poprzez ogłoszenie swej kandydatury stracić na zawsze prywatności, intymności, anonimowości, więc tym samym błogości i bezkarności. Oto popatrzmy na utworzoną przez nas *ad hoc* symulację z ogłoszenia kandydata PiS-u w wyborach prezydenckich.

Po pierwsze – to chyba oczywiste w dzisiejszych czasach, że strona przeciwna kandydatowi PiS-u natychmiast zażąda medycznego badania jego płci, czy mianowicie na pewno ów przystojny mężczyzna nie jest kobietą. Są to na prawicy oczekiwania coraz powszechniejsze, że mianowicie każda kobieta, a więc chyba i mężczyzna, powinni móc w każdej chwili udowodnić, że nie są przebrani za płeć przeciwną. Żadne zaświadczenia czy oświadczenia o charakterze niemedycznym – a więc takoż gwarancje obecnego prezesa PiS – nie mogą być wiarygodne.

Po drugie – sprawa kont, zgromadzonych na nich pieniędzy, po trzecie – nieruchomości. Bądźmy poważni. W dzisiejszych czasach każdy kandydat PiS, na dowolne stanowisko, nie tylko na te najwyższe, powinien sam z siebie i nieproszony pokazywać nam pliki zaświadczeń od stosownych służb, od prokuratorów, sędziów i kontrolerów, a nawet od zwykłych kanarów, dowodzących, skąd miał i ma pieniądze, kiedy i za ile kupił dom, zegareczek i garnitur oraz z jakich funduszy państwowych skorzystał w ostatnich ośmiu latach, oraz czy aby nie jeździ na gapę. Powinien nam udowodnić, kto go nauczył po angielsku, a zwłaszcza po rosyjsku. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TYGODNIK POWSZECHNY

NOWOŚĆ!

Wygodna subskrypcja odnawialna Tygodnika.

7 dni za darmo, później **o połowę taniej**.

Nagradzane dziennikarstwo,
wydanie cyfrowe z płatnością cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu
- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

WYSTAWA CZASOWA

(po) ŻYDOWSKIE

Sztetl Opatów oczami Majera Kirszenblata

polin.pl

17.05-16.12.2024 r.